wolnelektury.pl

Tadeusz
Dołęga-Mostowicz

Bracia Dalcz i S-ka, tom drugi

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

Bracia Dalcz i s-ka

TOM DRUGI

ROZDZIAŁ I

Pierwszy przebłysk świadomości przyszedł po dwóch tygodniach. Zaczął się od uczucia spadania w jakąś bezdenną przepaść i ciało Pawła Dalcza sprężyło się odruchowo. Lekki ból ręki i dotyk czegoś miękkiego, co go więziło, stanowiły pierwszą chwilę przytomności. Następnym momentem był głos, znajomy głos kobiecy:

— Już druga, niech pani zadzwoni do doktora.

Dobrze znajomy, niski głos. W żaden jednak sposób nie mógł sobie przypomnieć, do kogo należy. Nagle błysk pamięci: Potworna huśtawka i przeraźliwy krzyk! Tak, ten sam głos.

Otworzył oczy. Wokół panowała zupełna prawie ciemność, tylko gdzieś w oddali żarzyło się ciemne purpurowe światło. Ulica Dworska, noc. Czarny cień, odrywający się od czarnej ściany parkanu, cios, lepka ciecz zalewająca oczy i mordercza huśtawka... A potem ten głos.

— Kto tu jest? — szept jego napełnił ciszę. — Kto tu jest? — powtórzył.

Na dywanie zaszeleściły kroki. Jakaś sylwetka przesłoniła czerwony odblask i przed chwilą słyszany głos powiedział:

— To ja, Pawle...

— Kto?

— Ja, Krzysztof...

Paweł zamknął oczy. Myśli przychodziły jedna za drugą leniwie, z trudem, ale przecież konsekwentnie: jak to może być głos Krzysztofa? Wyraźnie słyszał kobiecy alt[1]... A jednak niewątpliwie głos mówił prawdę... Tylko przypomnieć, porównać... I skąd Krzysztof?...

Palce przesunęły się po kołdrze, gdzieś blisko odezwało się bicie zegara.

— Gdzie jestem? — zapytał.

— Jesteś u siebie w domu — odpowiedział głos.

— Dlaczego jest tak ciemno? Już musi być późna noc?... Napadli mnie...

— Nie myśl o tym, Pawle... Już teraz wszystko dobrze.

— Nie widzę ciebie, dlaczego jest tak ciemno, zapal światło...

— Nie mogę zapalić. To by ci zaszkodziło...

— Dlaczego? — zdziwił się Paweł.

— Lekarz zabronił, póki twój wzrok dostatecznie się nie przyzwyczai. Tyle czasu nie otwierałeś oczu.

Paweł posłyszał lekkie trzaśnięcie klamki i wyraźnie dostrzegł drugą osobę, która właśnie weszła. Była to pielęgniarka w białym kitlu. Zrozumiał, że jest ciężko chory, i spróbował poruszyć się. Przyszło mu to z dużym wysiłkiem i właśnie zamierzał ponowić próbę, gdy głos powtórzył:

— Lekarz zabronił ci poruszać się, Pawle.

— Więc jest ze mną tak źle?

— Nie — odpowiedział Krzysztof — teraz już ci żadne niebezpieczeństwo nie grozi.

— Jak długo byłem nieprzytomny?

— Dwa tygodnie i dwa dni.

Paweł podniósł powieki i zapytał głośno, z niepokojem, którego nie umiał ukryć:

— Gdzie są moje klucze?!

— Bądź spokojny, od początku mam je w kieszeni.

Paweł chciał powiedzieć, że to go bynajmniej nie uspokaja, że żąda, by Krzysztof mu natychmiast klucze oddał, lecz w tejże chwili odezwała się pielęgniarka. Zapytywała Krzysztofa, czy nie zawiadomić zaraz lekarza o tym, że chory odzyskał przytomność.

— Sam to zrobię — powiedział Krzysztof i wyszedł z pokoju.

Paweł chciał krzyknąć, by go zatrzymać, lecz zabrakło mu głosu. Z krtani wydobyło się tylko jakieś nieartykułowane charczenie. Czoło, skronie i policzki pokryły się potem. Czuł, że ponownie traci przytomność, i całą siłą woli usiłował utrzymać powieki otwarte.

— Proszę to wypić — powiedziała pielęgniarka.

[1] *alt* (muz.) — niski głos kobiecy lub chłopięcy. [przypis edytorski]

Na wargach uczuł lepki, gorzkawy płyn. Przełknął i w przeciągu bardzo krótkiego czasu poddał się przemożnej senności. Gdy po pewnym czasie obudził się, czuł się znacznie silniejszy. Widocznie w pokoju rozjaśniono nieco światło, gdyż było znacznie wyraźniej widać kontury mebli, łóżko, kołdrę i na fotelu obok wysokiego mężczyznę z brodą, która w tym świetle wydawała się różowa.

Sen wzmocnił Pawła o tyle, że zupełnie przytomnie rozmawiał z lekarzem. Dowiedział się odeń, że na szczęście obrażenia, jakie odniósł podczas napadu, nie pozostawią w organizmie żadnych ujemnych skutków. Pęknięcie czaszki nie miało zbyt groźnych powikłań i goi się zupełnie zadowalająco. Porażenie wzroku było tylko czasowe, a następstwa wstrząsu małego móżdżku[2] minęły po upływie jednej doby. Już wtedy odzyskał możność ruchów. Nieco gorzej jest z lewą ręką, która, osłaniając głowę, uratowała mu życie, lecz sama uległa tak poważnemu zmiażdżeniu, iż pomimo trzykrotnych zabiegów operacyjnych nie dało się doprowadzić jej do pierwotnego stanu. Jednakże jest pewność, że Paweł będzie nią władał normalnie z wyjątkiem, niestety, trzech palców.

— A kiedy mnie pan wypuści z łóżka? — zapytał Paweł.

Lekarz zaśmiał się:

— No, teraz za wcześnie mówić o tym. Pan jest zbytnio wycieńczony.

— Jednakże mniej więcej?...

— Mniej więcej kwestia trzech tygodni.

Paweł skrzywił się i pomyślał, że doktor przesadza. Wprawdzie czuł się tak osłabiony, że aż dziwił się temu. Dotychczas nigdy nie chorował. To poczucie własnej słabości byłoby też dlań nieznośne, gdyby nie przeświadczenie, że prędko wyzdrowieje.

Pielęgniarka przyniosła obiad i lekarz wyszedł. Krzysztof, który przez cały czas milczał, poszedł go odprowadzić. Rosół był mocny i pachnący, a kotleciki z kury soczyste. Ręka jednak szybko zmęczyła się i Paweł odłożył widelec. Właśnie pielęgniarka zabierała się do karmienia Pawła, gdy Krzysztof wrócił i powiedział:

— Niech pani idzie na obiad. Ja to zrobię.

Usiadł na łóżku i wziął do ręki talerz. Ostrożnie podawał mu jedzenie bardzo drobnymi kęskami. Każdy kawałeczek mięsa maczał w sosie i uzupełniał odrobiną sałaty. Robił to z taką starannością i z takim przejęciem, że Paweł mimo woli uśmiechnął się doń[3]. Pomimo czerwonego zmroku Paweł dostrzegł wrażenie, jakie wywarło to na Krzysztofie. Trochę zmieszał się, lecz odstawił pusty talerz i z takąż systematycznością karmił Pawła winogronami. Każdą jagodę rozcinał, wyrzucał z niej pestki i ze skupieniem wkładał w usta chorego. Gdy skończył, Paweł powiedział:

— A ja myślałem, że ty mnie nienawidzisz...

— Jeżeli chcesz — szybko odpowiedział Krzysztof — możesz zapalić papierosa. Lekarz pozwolił.

— Dobrze, i zrób więcej światła. Mnie ta ciemność bardziej męczy, niż światło może mi zaszkodzić.

Krzysztof odsłonił okna w sąsiednim pokoju. Przez uchylone drzwi wpadła teraz szeroka smuga światła prawie niebieskiego. Teraz dopiero można było zauważyć, że Krzysztof bardzo zmizerniał i był niezwykle blady.

— Jak to było? — zapytał Paweł.

— Napadnięto cię na ulicy Dworskiej. Postąpiłeś bardzo lekkomyślnie...

Ponieważ odkąd było jaśniej w pokoju, Krzysztof trzymał się z daleka od łóżka, Paweł odezwał się prawie rozkapryszonym tonem:

— Usiądź tu przy mnie. Rozmowa na odległość mnie męczy.

— W ogóle nie powinieneś za dużo mówić...

— Toteż usiądź tu i opowiedz mi, jak się to stało...

Krzysztof zawahał się, lecz w końcu zajął miejsce na brzegu łóżka i zaczął mówić, unikając wzroku Pawła.

— To właściwie moja wina... Zabrałem ci samochód. Właśnie wracałem Dworską, gdy zobaczyłem ciebie, leżącego pod parkanem... Szofer myślał, że to jakiś pijak. Pomimo to zatrzymałem wóz... to było... — głos Krzysztofa załamał się. — Nie dawałeś... żadnych

[2] *móżdżek* (anat.) — część mózgu odpowiedzialna za koordynację ruchów. [przypis edytorski]

[3] *doń* — skrócone: do niego. [przypis edytorski]

oznak życia... Odwieźliśmy cię do domu. Na szczęście w porę przybył lekarz, a później chirurg... Po operacji jeszcze nie było wiadomo, czy jesteś uratowany... No, ale teraz już wszystko dobrze... Wszystko dobrze... Ja od razu wiedziałem, że ci nic złego stać się nie może. Nie masz pojęcia, co się działo. Więc przede wszystkim aresztowano wielu podejrzanych, ale istotnych sprawców nie znaleziono.

— Był tylko jeden.

— Jeden? — ze zdumieniem powtórzył Krzysztof.

— Dziwi cię, że jeden dał sobie ze mną radę?... Wyskoczył z zasadzki i miał w ręku łom żelazny czy młot. Coś bardzo ciężkiego. Nie zdążyłem przygotować się do obrony. Nie spodziewałem się napadu i zajęty byłem myślami. Zresztą sam sobie jestem winien. Mogłem to przewidzieć.

— Czy nie poznałeś go?

— Nie, ale wiem, kto to był.

— Kto? — zapytał Krzysztof, pochylając się nad nim. Jego oczy rozżarzyły się.

— Głupstwo — poruszył ręką Paweł. — Niedorzeczna zemsta za wydalenie z fabryki. Może pamiętasz, był taki zastępca Jachimowskiego, Karliczek? Wulgarne[4] zwierzę. Mniejsza o niego.

— Jak to, więc nie każesz go aresztować?

— Nie. Po co? Żeby poniósł karę?... Po prostu szkoda zachodu. Nie wierzę w pedagogiczne znaczenie kary. Ani w jej moralną wartość.

Krzysztof poruszył się niecierpliwie.

— Nie rozumiem cię. Możesz nie uznawać kary jako czynnika społecznie wychowawczego, ale pozostaje zawsze czysto ludzkie żądanie zadośćuczynienia, wynagrodzenia, zemsty!

Paweł zaśmiał się cicho i zrobił ruch, jakby chciał kiwnąć głową, lecz ostry ból wykrzywił jego usta:

Zemsta

— Zemsta jest idiotyzmem. Nazywano ją rozkoszą bogów. Niechże pozostanie ich rozkoszą. Bogowie, widzisz, są wieczni i nie mają nic lepszego do roboty. Człowiek natomiast nie powinien tracić czasu i nerwów na rzecz tak nieproduktywną jak zemsta. Czy pamiętasz historię tego wspaniałego kretyna starożytności, który kazał łańcuchami biczować nieposłuszne morze[5]? Imponowało mi to, póki nie skończyłem lat piętnastu. Powinien być mianowany patronem policji. Chyba nikt przed nim nie dał tak heroicznego dowodu wiary w skuteczność metod policyjnych. Kara jest to zemsta wywierana przez silniejszego na słabszym. Zbiorowość, mszcząc się na jednostce, nazywa to karą, żeby było wznioślej. Zawsze dziwiłem się ludziom, którzy wierzą w mądrość Boga, gdy jednocześnie przypisują Mu ustanowienie piekielnych kar dla ludzi. Po to służyć istocie nadprzyrodzonej, by ją mierzyć paragrafami kodeksu karnego! Już bardziej rozumiem Greków, których bogowie domagali się namacalnych ofiar z wina, mięsa i kobiet, a boginie zsyłały nieszczęścia na tych śmiertelników, którzy nie chcieli spać z nimi w jednym łóżku. Tam rzecz odbywała się w rodzinie i szczerze, po ludzku. Ale to jeszcze nie znaczy, że mądrze! Na odwrót, myśliciele hinduscy zalecają poniechanie wszelkiej zemsty. Siadaj na progu twego domu, a doczekasz się chwili, gdy przejdzie pogrzeb twego wroga. Jeżeli w tym jest coś nierozsądnego, to tylko owo siedzenie na progu. Mnie osobiście nic nie obchodzą pogrzeby moich wrogów. Mogę ich nie widzieć. Mam tyle innego do roboty.

Długie mówienie zmęczyło go. Przymknął powieki i umilkł. Musiał jednak wytłumaczyć Krzysztofowi, że naprawdę nie zależy mu na zemście, że Krzysztof sprawiłby mu tylko niepotrzebny kłopot, wyzyskując wiadomość o Karliczku. Śledztwo, sądy i tak dalej... A przecie i tak kilkotygodniowe pozostawanie w łóżku diabelnie pokrzyżowało pilne i ważne sprawy. Po wyzdrowieniu trzeba będzie zabrać się do nich ze zdwojoną energią...

[4] *wulgarny* (z łac. *vulgus*: pospólstwo, tłum) — pospolity; prostacki; ordynarny. [przypis edytorski]

[5] *historię tego wspaniałego kretyna starożytności, który kazał łańcuchami biczować nieposłuszne morze* — król Persji Kserkses (ok. 517–ok. 465 p.n.e) podczas wyprawy na Grecję nakazał zbudować most w celu przeprowadzenia armii przez cieśninę Hellespont, oddzielającą Azję Mniejszą od Europy. Kiedy świeżo zbudowany most został zniszczony przez potężną burzę, władca rozkazał ukarać morze biczowaniem i wrzucić w głębinę kajdany (Herodot, *Dzieje*, II 33–34). [przypis edytorski]

— Rozumiem cię — odezwał się Krzysztof — jednak policja jest przekonana, że ty po dojściu do przytomności wskażesz winowajców. Telefonują tu dość często z zapytaniem, czy możesz już zeznawać.

— Powiedz, że nie mam nic do zeznania. Możesz — Paweł uśmiechnął się — wytłumaczyć im to moją zasadą chrześcijańską: miłuję swe nieprzyjacioły[6] i nie chcę ich krzywdy.

— Jednakże ja nie przebaczyłbym temu zbrodniarzowi — zaciął usta Krzysztof.

Paweł udał zdziwienie.

— Ależ on tylko mnie wyrządził szkodę! Chyba że odczułeś to jako własną, osobistą krzywdę...

Krzysztof potrząsnął głową i smutny, niemal tragiczny uśmiech zjawił się na jego wargach:

— Nie, Pawle, przeciwnie... Powinienem żywić dlań wdzięczność, tak, wdzięczność, i żal, że cię nie zabił.

— Kłamiesz — cicho odpowiedział Paweł.

— Nie kłamię. Gdybyś zginął, zginęłoby moje nieszczęście.

— Nieprawda. Krzysztofie, mówisz nieprawdę. Zaraz ci to udowodnię. Kiedyście mnie znaleźli tam na ulicy Dworskiej, myślałeś, że już nie żyję. Nie byłem nieprzytomny. Słyszałem wszystko, co się wokół mnie działo, słyszałem też krzyk... Każdy dźwięk tego krzyku do dziś dnia mam w uszach. Był to krzyk rozpaczy. Był to twój krzyk.

— Leżałeś w kałuży krwi... Człowiek, każdy człowiek leżący w kałuży krwi...

— Nie — przerwał Paweł. — Pamiętam także i słowa, których wówczas nie mogłeś opanować, które prawdopodobnie zapomniałeś. Ale ja je pamiętam. To nawet bardzo niedyskretnie udawać trupa i podsłuchiwać. Ale, kto wie, może cena, jaką za to zapłaciłem, wcale nie była za wysoka?...

— Jakież to były słowa? — drżącym głosem zapytał Krzysztof.

— To były słowa, jakich nigdy od nikogo nie słyszałem, jakich nawet nie chciałbym słyszeć od... nikogo... Zaklinałeś mnie, bym żył, zapewniałeś, że mnie kochasz...

Krzysztof opuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

— Tak — ciągnął Paweł — to był twój głos, głos, który odkrył mi twoją tajemnicę... Jakże mogłem nie poznać cię wcześniej!... Teraz wprost wytłumaczyć tego sobie nie umiem. Trzeba było aż takiego wstrząsu, bym potrafił oddzielić twój kobiecy głos od twego wyglądu mężczyzny... A przecież powinienem był przeczuć, przecież...

W sąsiednim pokoju rozległy się czyjeś kroki. Krzysztof podniósł głowę, a Paweł urwał w pół słowa. Weszła pielęgniarka, duża tłusta kobieta, o której zaspokojonym apetycie świadczył ruch języka wewnątrz ust, powodujący mlaskanie, cmokanie i inne tego rodzaju dźwięki.

— Już samochód czeka, proszę pana — zwróciła się do Krzysztofa.

— Dziękuję pani — odpowiedział zmęczonym głosem i wstał.

— Wróci pan na opatrunek?

— Tak. Tymczasem, Pawle, mógłbyś się zdrzemnąć. Lekarz zalecił jak najwięcej snu. Zbyt długo rozmawialiśmy, to cię musiało zmęczyć.

Paweł obrzucił badawczym spojrzeniem mizerne rysy i zeszczuploną sylwetkę:

— Ty sam potrzebujesz wypoczynku — wyciągnął rękę.

Dłoń Krzysztofa była gładka i tak niewątpliwie kobieca, że jeszcze raz się zdumiał, jak mógł tak długo nie orientować się w tej tajemnicy.

— Do widzenia, Krzysztofie.

Przytrzymał rękę i puścił ją dopiero wówczas, gdy na jego twarzy spostrzegł niepokój.

— Do widzenia — cicho odpowiedział Krzysztof i wyszedł swoim szybkim elastycznym krokiem, krokiem, w którym każdy uważniejszy obserwator od dawna poznałby krok kobiecy.

Paweł przymknął powieki i postarał się wyobrazić sobie Krzysztofa w długiej sukni. Ponieważ jednak fantazja mu nie dopisała, odezwał się do pielęgniarki:

— Mój stryjeczny brat często mnie odwiedza?

— Odwiedza? — zdziwiła się.

---

[6] *nieprzyjacioły* (arch.) — dziś popr. forma B. lm: nieprzyjaciół. [przypis edytorski]

— No tak, pytam, czy podczas mojej choroby często tu bywał?

— Ależ, proszę pana, pan Dalcz był tu przez cały czas, od samego początku.

— Jak to przez cały czas?

— No tak. Trzeba go było wprost siłą wyprawiać na te kilka godzin snu. Przez pierwsze cztery doby nie odstąpił od pańskiego łóżka na jeden krok. Sama mówiłam, że po co ja w takim razie jestem potrzebna? Ledwie wyskoczył do jadalni przekąsić, już był z powrotem. Nawet doktorowi skarżyłam się, a doktor powiada: „Powinna pani się cieszyć, bo będziemy po wyleczeniu jednego pacjenta mieli drugiego". A pański kuzyn nawet nie uśmiechnął się. I tak nikomu nie dowierzał. Wszystko sam koło pana robił.

— Jak to wszystko?

— Ano pomagał przy opatrunkach, bieliznę panu zmieniał, nawet przy potrzebach pomagał. Aż dziwiłam się, że młody człowiek i chce mu się, bo to zwykle panowie takimi rzeczami się brzydzą. Niczym rodzona matka! Już to mówiliśmy, że rzadko się zdarza, żeby krewniaki[7] i w takiej przyjaźni byli.

— Tak... A więcej nikogo z mojej rodziny nie było?

— Jakże, proszę pana. Byli. Siostry pańskie przychodziły i brat specjalnie przyjechał, jeszcze wtedy, kiedy nie wiadomo było, czy pan z tego wyjdzie. Bo z początku to niby żadnej nadziei nie było. Mogę teraz mówić, bo już pan na pewno wyzdrowieje, ale z początku to tylko pański kuzyn w to wierzył. Toteż gdy zeszli się, szanownego pana znaczy się rodzina, to nikogo ani krokiem do sypialni nie wpuścił. To tam nie moja sprawa, ale słyszałam, bo bardzo głośno rozmawiali. To taki wysoki, łysy pan, pewno szwagier pana, a i brat domagali się, żeby im klucze wydać, bo pan pewno nie wyżyje, a jak nie daj Boże umrze, to oni tu mają prawo. A pański kuzyn to nawet gabinet im przed nosem zamknął i powiedział, że on doskonale wie, o co im chodzi, i że póki pan żyje, to za wcześnie na kruków[8]... Ja bardzo przepraszam, proszę pana, ale ja tylko powtarzam.

— I cóż dalej?

— To się bardzo gniewali, a pański znaczy się kuzyn powiedział, że mogą skargę do policji wnieść, a teraz żeby wynosili się, bo wie dobrze, że oni, niby znaczy szanowna rodzina pana, tylko czyhają na śmierć i że pan zakazał im tu wchodzić..

— A gdzie są te klucze? — zaniepokoił się Paweł.

— O, niech pan będzie spokojny. Pan Dalcz ich z ręki nie wypuszcza. Nawet jak szedł do łazienki, to zawsze ze sobą zabierał. Raz, kiedy pojechał do domu przebrać się, a zauważył, że w tamtym ubraniu je zostawił, to natychmiast wrócił po nie. Pamiętam dobrze, bo akurat nikogo ze służby nie było i sama schodziłam sprowadzić taksówkę.

— A teraz nie wie pani, czy mój kuzyn prędko wróci?

Pielęgniarka rzuciła okiem na zegarek i oświadczyła:

— A za jakieś dwie godziny. Zawsze tak. Do fabryki jedzie na dwie, najdłużej trzy godziny i czasami w tym czasie to dzwoni pięć, sześć razy z zapytaniem, jak się pan miewa. Na pewno niedługo wróci.

I Paweł spodziewał się tego. Stało się jednak inaczej.

Tego dnia Krzysztof nie pokazał się w ogóle. Nazajutrz telefonował wprawdzie kilkakrotnie, wypytując pielęgniarkę o zdrowie chorego, lecz też nie przyszedł. O ile początkowo irytowało to Pawła, zmuszało go do wypytywania pielęgniarki, która godzina itp., o tyle później był nawet zadowolony z nieobecności Krzysztofa. Czuł się wprawdzie o tyle jeszcze osłabiony, że kilka ruchów wyczerpywało zupełnie jego siły fizyczne, jednakże mózg powrócił do sprawnej, świadomej pracy. Na uplastycznienie sobie sytuacji nie potrzebował tracić zbyt wiele domysłów. Odkąd wiedział, że Krzysztof jest kobietą, cały szereg rzeczy dawniej dziwacznych i tajemniczych konstruowało się w logiczny związek. Teraz stawało się jasnym, czym należało tłumaczyć odosobniony, niemal wrogi stosunek Krzysztofa do całego otoczenia, demonstracyjny flirt z Marychną, zastępstwo w służbie wojskowej i wszystkie anomalie w sposobie bycia.

Sam fakt ukrycia płci Krzysztofa i wychowania go od dziecka jako chłopca nie pozostawiał też żadnych znaków zapytania. Majątek nieboszczyka Wyzbora, zapisany pierworodnemu synowi państwa Karolostwa, był aż nadto wyraźnym powodem. Nie ulegało

[7] *krewniaki* — popr.: krewniacy. [przypis edytorski]

[8] *za wcześnie na kruków* — tj. zbyt wcześnie na rozszarpywanie tego, co pozostało po kimś; zamiast B. rzecz. nieosob.: „na kruki", użyty B. rzecz. osobowego. [przypis edytorski]

wątpliwości, że nie tylko pan Karol, lecz i niektóre osoby z bliskiego otoczenia, jak na przykład Blumkiewicz, musiały wiedzieć o tym, i jeżeli wypadło dziwić się czemu, to jedynie ich wstrzemięźliwości w zachowaniu tajemnicy.

Co więcej, Paweł zrozumiał teraz także i powody własnej swej życzliwości dla Krzysztofa, czegoś, co go doń pociągało, czegoś, co go niemal rozbrajało, a w każdym razie uniemożliwiało trzeźwy i bezkompromisowy doń stosunek, taki jak do wszystkich innych. Uśmiechał się teraz do siebie na samą myśl, że dzięki tej maskaradzie posądzał siebie aż o popędy homoseksualne.

Niewątpliwie ta dziewczyna, przebrana za mężczyznę, miała w sobie coś fascynującego. Jakby miękkość przemocą umodelowaną w kanciaste formy, jakby skarykaturowany wdzięk, jakby subtelność, której nadano ostry, niemiły ton. A jednak pozostała ta specyficznie kobieca harmonia ruchów, nad której zamaskowaniem wiele musiano zużyć pracy, pozostały oczy ze swoim wyrazem i wspaniałe rzęsy, i linie twarzy, i świeże usta, do których nie dał się przykleić wyraz męskiej stanowczości... Jedno było pewne: spośród kobiet, z którymi się stykał, ta największe na nim robiła wrażenie.

Przez pewien czas leżąc z zamkniętymi oczyma, Paweł usiłował przekonać samego siebie, że nie zwróciłby wcale na nią uwagi, gdyby nie intrygujący szczegół męskiego przebrania. Ponieważ jednak w naturze Pawła nie było ani źdźbła talentu autosugestii, szybko pozbył się tej pożądanej myśli. Oczywiście w zwróceniu uwagi pewną rolę grać musiała niezwykłość sytuacji. Jednak w żadnej nie przeszedłby obok takiej dziewczyny obojętnie.

Najciekawsze było to, że interesowała go nie tylko fizycznie.

Mizoginia

Dotychczas jego poglądy na psychologię kobiety dałyby się wyrazić w kilku zdaniach: psychologia aparatu rozrodczego, krąg zainteresowań nieprzekraczający sfery płciowej. Wszystko, co pozostaje poza funkcją rozmnażania się i macierzyństwa, co nie jest w oczywisty, namacalny sposób z tym związane, jest dla każdej kobiety najdoskonalej obojętne. Tu, lub około tego, powstają i rozwijają się jej namiętności, poglądy, wierzenia.

Paweł uważał sferę płci za niższą warstwę życia i jeżeli nie pogardzał nią, to w każdym razie lekceważył tych, dla których stanowiła ona rzecz ważną. Znał kiedyś pewnego Serba, który tak był przywiązany do swego psa, że gdy go przejechał samochód, omal nie rzucił się pod następny, a w rezultacie popadł w rozstrój nerwowy. W przywiązaniu, a tym bardziej w miłości do kobiety, w miłości, która zdolna byłaby w jakiś dostrzegalny sposób wpłynąć na tryb życia mężczyzny, widział ten sam nonsens.

Dawniej, gdy po raz pierwszy zauważył coś, co trzeba było nazwać rodzajem słabości do Krzysztofa, irytował się trochę na siebie. Później, gdy tę słabość skonstatował[9] w sobie ponad wszelką wątpliwość, irytował się jeszcze bardziej. Teraz jednak, gdy odkrył źródło tej słabości, niezadowolenie z siebie minęło natychmiast. Na jego miejsce przyszła pewność, że rzecz została wyjaśniona, a tym samym unieszkodliwiona.

Nie żałował już tego, że pominął okazję, jaką wsuwała mu w ręce informacja Feliksiaka, a nie żałował dlatego, że pozbycie się Krzysztofa nie przedstawiało obecnie żadnego korzystnego interesu. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności przekonał się, że w tym, kogo uważał dotychczas za swego zawziętego wroga, znalazł istotę zdolną wręcz do ofiar na jego dobro, istotę, którą będzie mógł kierować w sposób, jaki dlań stanowić będzie największą wygodę.

Po tym, co usłyszał od pielęgniarki, mógł mieć pewność, że uczucia Krzysztofa dadzą się nazwać miłością. W inny sposób nie można było sobie wytłumaczyć postępowania tej dziewczyny. Niewątpliwie wiele jej zawdzięczał. Możliwe, że nawet życie. To jednak nie zobowiązywało go do niczego. Postępowała tak, jak nakazywał jej własny instynkt, własne upodobania, własna wola. Paweł nigdy dla nikogo nie miał uczucia wdzięczności. Może dlatego, że wszystko zawdzięczał sobie. I w tym wypadku fakt, że od zakochanej w nim dziewczyny doznał czegoś, za co według konwencjonalnych ludzkich pojęć musiałby zrewanżować się w taki czy w inny sposób, nie przemawiał doń wcale.

Jednakże przedłużająca się nieobecność Krzysztofa zaczynała go niecierpliwić ze względów zupełnie zrozumiałych. Pielęgniarka wprawdzie była bardzo gadatliwa i nawet czytywała mu głośno dzienniki, nie mogła jednak dostarczyć obchodzących go wiadomości.

[9] *konstatować* — stwierdzać jakiś fakt. [przypis edytorski]

Krzysztof pozostawał jako jedyny mniej więcej wystarczający łącznik ze światem. Dlatego wreszcie Paweł kazał pielęgniarce zatelefonować doń i zażądać, by przyjechał.

Dosłownie w kwadrans po telefonie Krzysztof zjawił się.

— Niech pani nas zostawi samych — zwrócił się Paweł do pielęgniarki.

Oczy Pawła przyzwyczaiły się już do światła, toteż okna sypialni były szeroko otwarte i w pokoju było jasno od słońca. Dwa dni wypoczynku musiały wywrzeć swój wpływ na wygląd Krzysztofa. Cerę miał bardzo świeżą. Spod oczu znikły niebieskie cienie. Stanął przed łóżkiem i przyglądał się Pawłowi wzrokiem, którego treści ślepy tylko nie mógłby odczytać.

— Dzień dobry. — Paweł wyciągnął rękę, a gdy Krzysztof podał swoją, pociągnął ją ku sobie. — Tak długo cię nie było... Zostawiasz mnie samego i pozwalasz tęsknić...

Krew uderzyła do twarzy Krzysztofa. Rzęsy załopotały gwałtownie i odwrócił głowę. Zrobił ruch, jakby chciał odejść, lecz Paweł nie puszczał ręki.

— Usiądź, Krzysztofie... Właściwie mam z tym duży kłopot. Nie wiem, jak mam cię nazywać. Muszę chyba skobiecić twoje imię... Krystyna, prawda?

— Nie. Nazywaj mnie tak, jak dawniej...

— To byłoby prawie perwersyjne[10].

Zaśmiał się, lecz nie zdołał wywołać uśmiechu na twarzy Krzysztofa. W ogóle odkąd go poznał na pogrzebie ojca, nie widział nigdy, by się uśmiechał, jeżeli nie brać pod uwagę uśmiechu ironicznego. Przypomniał sobie, że i Marychna to zauważyła, bo kiedyś, jeszcze przed wyjazdem do Szwajcarii, dziwiła się temu.

— Usiądź. Muszę teraz innymi oczyma przyjrzeć się tobie. Jesteś moją nowo narodzoną kuzynką. Wyobrażam sobie, jak ślicznie wyglądałabyś we właściwszym dla ciebie stroju. Czy nigdy nie nosiłaś sukni?

— Nigdy.

Powiedziała to tak smutnie, że aż się zdziwił:

— Dlaczego więc tego nie zrobisz? Przecie przynajmniej za granicą mogłabyś być sobą.

— Nie wiem, nie potrafiłbym już chyba. Nawet mówić o sobie jako o kobiecie nie umiem...

— I źle ci z tym?

— Dajmy temu spokój. Chciałeś, bym przyjechał. Czy masz jakieś dyspozycje?

Paweł przecząco poruszył głową i skonstatował:

— Widzisz, już mogę nawet potrząsać swoją mózgownicą, i nie odczuwam bólu.

— Tak, i wyglądasz znacznie lepiej. Lekarz mówił, że organizm tego typu, co twój, bardzo szybko powraca do równowagi.

— Mam żelazne zdrowie i fizycznie szybko wyzdrowieję, ale trzeba mi też coś dla ducha.

Zaśmiał się i dodał:

— A ty mi dla ducha pozostawiłaś tylko pielęgniarkę. Jesteś miłosierna tylko dla mego ciała.

— Paweł... Przecie wiem, że mnie nie potrzebujesz...

— Mylisz się. Nie posiadasz widocznie zmysłu obserwacyjnego, jeżeli mogłaś nie zauważyć tego, że od pierwszej chwili naszego spotkania robiłem wszystko, by się do ciebie zbliżyć. To ty na każdym kroku dawałaś mi odczuć, że jestem ci niepotrzebny, ba, nawet niemiły.

Krzysztof odwrócił głowę i wyszeptał:

— Chyba to rozumiesz...

— Nie — stanowczo zaprzeczył Paweł — nie rozumiem i zrozumieć nie potrafię. Jeżeli czegoś pragnę, idę ku temu, nie zaś w przeciwnym kierunku.

— Ale są rzeczy nieosiągalne!

— A dają się osiągnąć tylko wówczas, gdy ktoś dostanie parę uderzeń żelaznym łomem po czaszce. Nie, moja droga, nie rozumiem tej filozofii. Dla wielu ludzi utrudnianie sobie życia stanowi jakiś ulubiony sport.

[10] *perwersja* (z łac. *perversio*: przekręcenie) — wynaturzenie. [przypis edytorski]

— Nie ciekaw jesteś tego, co się dzieje w fabryce? — spróbował Krzysztof zmienić temat rozmowy.

Widocznie i Paweł nie przywiązywał wagi do natychmiastowego postawienia kropki nad i, łączącym ich dwoje, gdyż sam zaczął wypytywać o remont hartowni, o dział traktorów, o zamówienia na frezarki[11], o ceny stali, o koniunkturę[12] rynkową, o cały szereg spraw drobniejszych. Dowiedział się, że od czasu jego choroby zastępstwo objął Krzysztof, że szło mu dość ciężko, gdyż z wieloma kwestiami nie był obeznany, lecz odkładając jedne, a zasięgając rady osób kompetentnych w innych, jakoś dawał sobie radę. W fabryce wszystko szło normalnym biegiem, z wyjątkiem wstrzymania dostawy szlifierek, za które nie wpłacono kolejnej raty w związku z zachwianiem się Banku Bałtyckiego.

Nie zmieniając tonu, Krzysztof zakomunikował, że w stanie zdrowia jego ojca nastąpiło znaczne pogorszenie i że katastrofy należy się spodziewać lada dzień. Przez pewien czas ukrywano przed panem Karolem wypadek Pawła, w końcu jednak wiadomość o tym dotarła doń i była powodem niebezpiecznego wstrząsu nerwowego, który odbił się na osłabionym sercu.

— Ojciec bardzo cię lubi i ceni — zakończył Krzysztof.

— Miejmy nadzieję, że zdrowie jego poprawi się — ze współczuciem powiedział Paweł i przyszło mu na myśl, że w razie śmierci stryja Karola objąłby prezesurę, no i oczywiście rządziłby firmą bez niczyjej kontroli.

Przede wszystkim wypędziłby Blumkiewicza na cztery wiatry. Oczywiście po uprzednim zbadaniu, czy nie dorobił się na swoim totumfactwie[13] zbyt wysokich pieniędzy. Dowiedzieć się o tym mógł łatwo, choćby w ten sposób, że zaproponuje mu nabycie pakietu udziałów. Blumkiewicz zbytnio przywiązany był do domu Dalczów, zbytnio obeznany z interesami firmy, by nie dał się złapać na tę wędkę. Zresztą jako posłuszne narzędzie w rękach człowieka doświadczonego mógł być nawet pożyteczny.

Korzystając z informacji pielęgniarki, skierował rozmowę na swoją rodzinę. Spodziewał się, że Krzysztof zechce mu w najczarniejszych kolorach przedstawić ów zlot kruków i sępów. Tymczasem ten powiedział lakonicznie:

— Owszem. Byli tu. Chcieli mi nawet dopomóc w załatwianiu twoich spraw. Ja jednak mało ich znam i nie mam do nich dlatego zbyt wiele zaufania. Zresztą mogłem się obejść bez nich. Skorzystałem tylko z ofiarowanej pomocy przy pielęgnowaniu ciebie Nity Jachimowskiej.

— Tak? — zdziwił się Paweł.

— Zrobiła na mnie miłe wrażenie. No i miałem powody przypuszczać, że ta panna cieszy się twymi specjalnymi względami...

Mówiąc to, patrzyła na Pawła swymi szeroko rozwartymi czarnymi oczyma, w których był wyraz niepokoju, obawy i niemal prośby o zaprzeczenie. Paweł zaśmiał się:

— Zbyt wiele przypisujesz mi, moja droga, powodzenia w rodzinie.

— Nita jest bardzo ładną dziewczyną.

— Owszem. Mówiła mi kiedyś, że nie jestem jej typem, że natomiast podobają się jej tacy smukli, czarni chłopcy, jak ty. Jak widzisz, z nas dwojga raczej ja mógłbym mieć jakieś niepokoje.

Sięgnął po jej rękę i ukrył ją w swojej:

— Byłaś bardzo dobra dla mnie. Wiem wszystko. Czasami gadatliwość bywa zaletą. Mówię o pielęgniarce. Opowiedziała mi, jak wiele swego trudu i czasu marnowałaś dla mnie...

— O, nie...

— Tak. Nie zaprzeczaj. Wiem, dlaczego to robiłaś. I teraz wcale nie żałuję napadu i dziury w głowie. Warto było tę cenę zapłacić za możność przekonania się o tym, że mam na świecie kogoś tak mi bliskiego jak ty.

---

[11] *frezarka* — maszyna do obróbki skrawaniem za pomocą frezu; służy do wykonywania np. rowków, gwintów, kół zębatych. [przypis edytorski]

[12] *koniunktura* — splot okoliczności, szczególnie tych istotnych, mających wpływ na jakość życia, ekonomię itp. [przypis edytorski]

[13] *totumfactwo* — postawa i działania charakteryzujące *totumfackiego* (daw.): osobę zaufaną i wszystko komuś załatwiającą, wypełniającą bez sprzeciwu wszelkie polecenia (z łac. *totum facere*: wszystko czynić). [przypis edytorski]

Krzysztof zbladł i usta mu drżały, gdy powiedział:

— Nie mów tak, Pawle... Nie trzeba tego dotykać słowami. Nie chcę o tym myśleć, pozwól, by ten obłoczek naiwnego złudzenia jak najdłużej zasłaniał przed mymi oczyma nieszczęście, które przecie jest moim przeznaczeniem...

Paweł zmarszczył brwi:

— Dlaczego złudzenia? Dlaczego nieszczęście!

— Och, Pawle, a czymże jest moje życie?... Powiedz, czy był w nim jeden jasny promień, czy było jedno słowo tak bodaj ciepłe, jak te, którymi mi teraz dajesz jałmużnę?... Nie pytaj, Pawle. Nie pytaj, bo gdybym powiedział ci, co to jest miłość, taka jak moja, beznadziejna, rozpaczliwa miłość, tobyś się przeraził! Rozumiesz? Przeraziłbyś się jej chciwości, jej szaleństwa, jej bezgraniczności. Ona jest jak przepaść bez dna, w której cały świat i wszystkie jego sprawy są zaledwie drobną okruszyną, są niczym!... Och, Pawle, po co mi pozwalasz o tym mówić, po co mi pozwalasz!... Miejże tyle nade mną litości i każ mi milczeć! Zaśmiej się swoim zimnym śmiechem, odpędź mnie od siebie, póki jeszcze czas, bo będę się wlec za tobą jak kula u nogi, będę się czołgać jak wiecznie głodne zwierzę, którego ty, choćbyś chciał nakarmić, nie potrafisz, bo ja chcę ciebie całego, bo bez ciebie żyć nie umiem, bo żadnej najdrobniejszej cząstki twojej myśli, twego spojrzenia, twego ciała wyrzec się nie umiem, gdyż wówczas skończy się istnienie, a moje istnienie to największy skarb, bo to myśl o tobie, bo to rozpamiętywanie ciebie, bo to rozpacz, którą można upijać się aż do utraty przytomności...

Niski głęboki głos stawał się coraz cichszy, a przecież zdawało się, że brzmi coraz głośniej. Z twarzy uciekła ostatnia kropla krwi, wargi blade, jakby zmartwiałe, ledwo się poruszały i tylko oczy rozżarzały się niepojętą, wywołującą dreszcz ekstazą.

Paweł nie mógł znieść tego spojrzenia. Opuścił powieki, lecz i przez nie czuł wzrok, który go przenikał, napełniał wzburzeniem, jakimś niezrozumiałym niepokojem, jakimś obcym i wrogim jego mózgowi uczuciem, wywołującym bunt, potrzebę natychmiastowej reakcji.

Lecz nie mógł wymówić ani słowa. Pokój pełny był jeszcze szalonych słów tej dziewczyny, obezwładniających, narkotycznych, zawierających w sobie potęgę, w którą nie wierzył, która po prostu istnieć nie mogła, a której przecież ulegał.

Leżał z zamkniętymi oczyma i walczył z myślą, że oto przestaje być sobą, że postawiono przed nim zagadnienie, którego rozwiązać nie potrafi, że dogmat jego życia zachwiał się w podstawie i że znaleźć nie umie żadnego argumentu, żadnego odruchu wyobraźni, który by mógł równowagę przywrócić. Wprost drżał z obawy, że znowu zabrzmi głos tej dziewczyny, głos, którego dźwięku pragnął teraz bardziej niż kiedykolwiek...

Ona jednak umilkła.

Słyszał, że wstała i odeszła w drugi kąt pokoju. Szła krokiem wolnym, jakby śmiertelnie zmęczona. Przez otwarte okna, stuszowane[14] matowo, dobiegały odgłosy ruchu ulicznego. Milczeli oboje, lecz po długim czasie milczenie zaczynało być dla Pawła nieznośne. Nie umiał znaleźć wyrazów, którymi mógłby zacząć, wyrazów, które by miały ciężar gatunkowy chociaż w przybliżeniu odpowiedni.

— Przyjdź tu do mnie — odezwał się wreszcie.

— Pawle! — odpowiedział cichy głos.

Paweł kaszlnął i poruszył się w łóżku.

— Widzisz, moja mała, kochana Krysieńko, ja nie umiem... Zbyt twardy jestem, zaskorupiały, opancerzony, ale rozumiem cię, odczuwam, wiem, że...

— Nie, nie mów, Pawle — przerwała. — Tak cicho jest i dobrze.

— Chodź do mnie.

Zbliżyła się lekkim, prawie niedosłyszalnym krokiem, nie widział jej, gdyż miał zamknięte oczy, lecz wiedział, że pochyliła się nad nim, owionął go ciepły subtelny zapach i nagle na spieczonych wargach odczuł jej usta, drżące, łagodne i chłodne.

Wyciągnął rękę i przesunął palcami po jej twarzy. Wzięła jego dłoń w obie ręce i przywarła do niej ustami.

[14] *stuszowane (okna)* — takie, w których zmniejszono ostrość widocznego przez nie obrazu. [przypis edytorski]

— Jakże ja głupio postępuję — odezwała się z rozczuleniem. — Ty jesteś jeszcze tak bardzo osłabiony, a ja nie panuję nad sobą i zaprzątam ci myśli moimi sprawami... Daruj mi, Pawle...

Otworzył oczy i zobaczył tuż nad sobą jej twarz uśmiechniętą, nie uśmiechniętą, lecz jakby rozjaśnioną, i nagle bez żadnego przecie powodu, bez żadnej rozsądnej przyczyny poczuł w sobie radość.

W sąsiednim pokoju rozległy się człapiące kroki pielęgniarki. Przyszła i oznajmiła, że przyjechał lekarz.

Opatrunek zajął około godziny czasu. Rana nad skronią była już na zupełnym wygojeniu. Ręka natomiast wymagała jeszcze dłuższej kuracji. Doktor był zupełnie zadowolony ze stanu pacjenta. Wypytawszy i opukawszy go szczegółowo, orzekł, że przy uintensywnieniu odżywiania, w krótkim czasie Paweł będzie mógł wstawać z łóżka na kilka godzin dziennie. Zburczał też pielęgniarkę, że niepotrzebnie próżnuje:

— Pani już tu sama niewiele ma do roboty, a jeszcze akaparujecie[15] sobie pana Krzysztofa, który biedak schudł na szczapę. Powinien pan się wyspać dobrze i jeść za trzech.

Od tego dnia zaczęła się rekonwalescencja Pawła.

Początkowo, ulegając prośbom Krzysztofa (ilekroć byli razem, nazywał ją już kobiecym imieniem), nie zajmował się niczym, ograniczając się tylko do czytania czasopism. Jednakże już po czterech dniach kazał wezwać do siebie Holdera, a nazajutrz inżyniera Kamińskiego.

Od rana siadał w fotelu przy oknie, dokąd kazał przenieść aparat telefoniczny, i tak pomału powracał do dawnych zajęć. Najwięcej sprawiało mu kłopotu to, że nikomu nie mógł powierzyć opracowania sprawy kauczuku, a większość materiałów znajdowała się w biurku fabrycznym; nie chciał prosić Krzysztofa, by mu je przyniósł, gdyż nikogo nie mógł wtajemniczać w przygotowywaną akcję.

Tymczasem odbył konferencję z inżynierem Ottmanem. Z zadowoleniem dowiedział się, że budowa fabryki postępuje szybko i że nic nie wpłynęło na wstrzymanie robót. Polecił Ottmanowi zrobić wszystko, by jeszcze bardziej przyśpieszyć tę sprawę. Liczył na to, że przy końcu miesiąca da się rozpocząć pierwszą próbę kauczuku, a że w przeciągu dwóch fabryka będzie w pełnym biegu.

Powrócił też do prac związanych z projektowaną centralą eksportową, w związku z czym odwiedziło go kilka osobistości ze świata gospodarczego. Rzecz była na najlepszej drodze. Gdyby zdecydował się uruchomić centralę kapitałami obcymi oraz kredytem rządowym, udzielonym Związkowi Przemysłu Metalowego, właściwie mógł już przystępować do organizacji. Wolał jednak zaryzykować pogorszenie koniunktury i przeczekać, aż sam zdobędzie wystarczające kapitały. Kiedyś dlatego właśnie zainteresował się kauczukiem, przypuszczając, że ten da mu dużą płynną gotówkę, teraz jednak podczas długich samotnych godzin, spędzonych w fotelu, pomału zaczynała rysować się w jego wyobraźni całkiem nowa koncepcja sfinansowania centrali wywozu.

Myśl zrodziła się po przeczytaniu jednego z dzienników niemieckich, gdzie znalazł nie pozbawione złośliwości uwagi o kurczeniu się zapasu złota i walut w Banku Polskim, w związku z czym należało spodziewać się spadku złotego. Horoskopy te nie były pozbawione słuszności, miały logiczne oparcie w kurczeniu się polskiego bilansu płatniczego.

Dopływ walut obcych, a w szczególności dolarów i funtów, malał stale. Z drugiej strony Paweł wiedział, że i w rządzie z tego powodu panuje zrozumiałe zdenerwowanie i gorączkowe próby znalezienia dróg ratunku. Dróg takich w obecnej sytuacji nie było wiele. Najprostszą byłoby uzyskanie większej pożyczki zagranicznej, lecz nikt nie mógł się łudzić, by Polska miała na nią bodaj minimalne szanse ze względu na konfigurację międzynarodowych stosunków politycznych. Pozostawał jedyny realny sposób wyjścia: osiągnięcie z wywozu takiego dopływu walut, jaki zapewniłby utrzymanie kursu złotego i uniknięcie inflacji.

Tu trzeba było dwóch rzeczy: zdobycia rynków przez dumpingowe[16] obniżenie cen swoich towarów i koncentracji wpływających walut w rękach państwa.

---

[15] *akaparować* (daw., z fr. *accaparer*) — zagarniać dla siebie. [przypis edytorski]

[16] *dumping* (ekonom.) — taktyka polegająca na sprzedaży swoich produktów po cenach niższych niż obowiązujące na rynku (w skrajnym przypadku niższych od kosztów produkcji); celem może być wyeliminowanie konkurencji, podbicie nowego rynku itp. [przypis edytorski]

Jeżeli chodziło o dotychczasowe metody Skarbu w utrudnianiu cyrkulacji[17] walut obcych na terenie kraju, Paweł uważał je za bezsensowne i bez trudu mógł dowieść ich zupełnej nieskuteczności. Zakazy, kary i cały ten system policyjny mógł ograniczyć jedynie drobne, nic nieznaczące transakcje, lecz nawet nie stać go było na przeciwdziałanie pędowi lokowania oszczędności w dolarach czy frankach szwajcarskich.

Tu zatem mógł liczyć na zrozumienie swojej koncepcji wśród czynników decydujących w rządzie. Jeżeli chodziło o drugą stronę kwestii, to należało liczyć się z tym, że przemysł polski nie był w stanie obniżyć cen swojej produkcji w żadnym znacznym stopniu. W grę mogło wchodzić najwyżej pięć do siedmiu procent obniżki. Przynajmniej tak się miała rzecz z trzema głównymi artykułami: z węglem, żelazem i cynkiem. Nafta i produkty rolne mogłyby zejść do dziesięciu procent. Ta jednak obniżka nie stwarzałaby cen dostatecznie niskich, by towary polskie na rynkach obcych mogły zwycięsko konkurować z eksportem innych krajów.

Zatem należało uzyskać od rządu premię wywozową[18], a premia taka w żadnym razie nie mogła być jawna. Wywołałoby to szereg zatargów międzynarodowych i represji, w których wyniku polski Skarb musiałby premię cofnąć. Należało zatem w taki sposób ją ukryć, by istnienia jej trudno było się domyśleć, a tym bardziej udowodnić. I tu właśnie Centrala Eksportowa miała do odegrania swoją wielką rolę.

Paweł, znając stosunki rządowe, konserwatyzm osób decydujących i obawę przed eksperymentami, przewidywał także opór przemysłowców, którzy niewątpliwie dopatrzą się w projekcie nowej formy gospodarki etatystycznej[19]. Pomimo to powzięta myśl parła go do działania i nie dawała spokoju. Gdyby nie to, że poruszanie się w obrębie jednego pokoju sprawiało mu wiele zmęczenia, sam uwierzyłby, że ma już dość sił do porzucenia fotelu i zabrania się do dawnej wytężonej pracy.

Po upływie tygodnia był już w biegu spraw fabrycznych i posługując się telefonem, przejął faktycznie kierownictwo przedsiębiorstwa. Jedynym ustępstwem, jakie zrobił, ulegając prośbom Krzysztofa, było bezczynne spędzanie wieczoru.

Nad spełnieniem tej obietnicy czuwał sam Krzysztof, który codziennie wprost z fabryki przyjeżdżał do niego. Jedli razem obiad i rozmawiali przeważnie o sprawach fabrycznych. Krzysztof kilkakrotnie zauważył różne notatki i papiery, które nie miały nic wspólnego z Zakładami Dalczów, lecz po pierwszej wymijającej odpowiedzi Pawła nie pytał już więcej o nie. Paweł zaś nie mówił o swoich projektach nie dlatego, by nie miał do Krzysztofa zaufania, lecz po prostu z tej racji, że nigdy z nikim swymi planami się nie dzielił.

Ułożyło się między nimi tak, że oboje starali się też unikać spraw czysto osobistych. Paweł czuł nieszczerą atmosferę tego stanu rzeczy i nie było mu z tym zbyt wygodnie, gdyż nie lubił sytuacji, w których pozostawał dłużnikiem. Bądź co bądź winien był tej dziewczynie wiele i nie dokuczałoby mu to wcale, gdyby nie fakt, że i ona uświadamiać sobie musiała ów dług zawieszony w powietrzu.

Po wyznaniu, które sprowokował, czuł się obowiązany do swego rodzaju zadośćuczynienia, do pewnego, takiego czy innego, rewanżu, a w każdym razie do wyjaśnień. Wprawdzie dziewczyna bynajmniej nie nagliła go do nich. Przeciwnie, w jej sposobie bycia zdawała się panować równomierna pogoda, a w dźwięku jej głosu brzmiało coś, co miało ton bezinteresownego koleżeństwa.

Gdyby Paweł mniej szybko powracał do zdrowia, prawdopodobnie znalazłby czas na przemyślenie sposobów pozbycia się tego moralnego serwitutu[20]. Ponieważ jednak bez reszty pochłaniały go plany Centrali Eksportowej i wielkiego przedsięwzięcia kauczukowego, uwalniał siebie od obowiązku zaprzątania mózgu kwestiami, nieposiadającymi przecie żadnych terminów ani żadnych konkretnych kształtów.

---

[17] *cyrkulacja* (z łac.) — obieg. [przypis edytorski]

[18] *premia wywozowa* — tu: państwowa dopłata do eksportu towarów. [przypis edytorski]

[19] *etatystyczna gospodarka* (fr. *l'état*: państwo) — gospodarka, w której państwo dąży do objęcia przedsiębiorstw swoją władzą i kontrolą, tworząc nowe przedsiębiorstwa państwowe lub przedsiębiorstwa o kapitale państwowo-prywatnym, albo też przejmując istniejące spółki prywatne; w szerszym znaczeniu często utożsamiana z *interwencjonizmem*: polityką bezpośrednich ingerencji państwa w gospodarkę. [przypis edytorski]

[20] *serwitut* (z łac.) — przen. powinność, zobowiązanie. [przypis edytorski]

Pomimo to uczuwał pewnego typu skrępowanie, które występowało zwłaszcza wówczas, gdy oczekiwał jej przyjazdu. Z początku myślał, że uczucie to z biegiem czasu wytworzy w nim niechęć do Krzysztofa, dokuczliwe zniecierpliwienie i drażniącą nudę, jaką rodzi w beznadziejnie niewypłacalnym dłużniku ustawiczne zjawianie się wierzyciela.

Jednakże wystarczało kilkominutowe spóźnienie Krzysztofa, by całą rzecz w innym ukazać świetle. Była to niewątpliwa niecierpliwość, nie pozbawiona odrobiny niepokoju. I przeciwnie: obecność Krzysztofa, jego ciepły, na pozór obojętny głos, pełne harmonii ruchy, subtelne rysy i zapach jego wody kolońskiej napełniały pokój łagodnym powietrzem, w którym się znacznie lepiej oddychało, w którym uśmiech zjawiał się nie pod przymusem mózgu dla jakiejś dyplomatycznej racji, lecz całkiem bez sensu, bez powodu i bez celu.

Po prostu dobrze mu było z tą dziewczyną. Znikło wprawdzie dawniejsze zaciekawienie, dawniejsza nieuzasadniona zawziętość, z jaką starał się zbliżyć do Krzysztofa, lecz pozostała sympatia, która może nabrała jeszcze wyraźniejszego dźwięku w owe wieczory, kiedy w pokoju panował zupełny mrok, a przez otwarte okno światło latarń ulicznych rzucało na sufit ruchomą koronkę liści kasztanów.

W jeden z takich wieczorów przyszła Nita. Najpierw telefonowała, a w pół godziny potem zjawiła się roześmiana, głośna, żywiołowa:

— Oto obrazek! — zawołała. — Moi dwaj czcigodni i poważni wujowie siedzą tu po ciemku niczym romantyczna zakochana parka! Nigdy nie wyobrażałam sobie, by stateczni ludzie interesu nadawali się do marzeń o zmroku. Jakże się miewasz, wujaszku?

Paweł uścisnął jej rękę i pociągnął ku sobie:

— Zazdrościsz nam tych marzeń o zmroku? Zapal wobec tego światło.

— A może wuj Krzysztof nie chce? — zapytała z wyraźną kokieterią w głosie.

— Ależ proszę cię, Nito — uśmiechnął się Krzysztof i znacząco spojrzał na Pawła.

Pokój zalało światło i Paweł, mrużąc oczy, powiedział:

— Widzisz, gdybyśmy wyglądali tak ładnie, jak ty, nie ukrywalibyśmy się w cieniu.

Nita roześmiała się swobodnie, zdjęła beret, żakiet i szal, przysunęła sobie do okna krzesło i rzuciła swobodnie:

— No, ty nie wyglądasz jeszcze zachęcająco, ale wuj Krzysztof zyskuje w pełnym świetle.

Paweł pokiwał głową:

— Powiadam ci, Krzysiu, że ta mała gotowa jest w tobie zakochać się.

— A może! — wyzywająco podniosła nosek Nita.

— Pozostaje mi żałować — z udawaną powagą powiedział Paweł — że nie mogę dyskretnie ulotnić się i zostawić was samych. Darujcie moje niedołęstwo. Ma to jednak i dobre strony. Mogę odegrać rolę starego dziadunia w charakterze przyzwoitki. No, nie róbże takiego oka, moje dziecko. Powiadam ci, że wuj Krzysztof jest bardzo niedoświadczony w tych rzeczach i zbyt agresywny atak gotów go przerazić.

— Wątpię, czy jest taki strachliwy. Straciłby wszystko w moich oczach.

Na progu zjawił się służący z zapytaniem, czy może podawać kolację panom i czy jaśnie panienka też na niej zostanie. Nita oświadczyła, że nie ma zamiaru wracać teraz do domu i jeżeli wujowie pozwolą, będzie zastępowała panią domu. Podczas kolacji dość bezceremonialnie kokietowała Krzysztofa, co bardzo bawiło Pawła.

Przyszło mu na myśl, że Nita nie wyczuwa kobiecości Krzysztofa tylko dlatego, że sama jest jeszcze bardzo młoda, a co za tym idzie, nie może mieć dostatecznie wykształconego instynktu płciowego. Miał przecie sprawdzian na sobie.

Dochodziło do tego, że sam kiedyś posądzał siebie o podświadomy homoseksualizm, gdyż niewątpliwie czuł fizyczny pociąg do Krzysztofa, chociaż ani przez moment wówczas nie podejrzewał, że może to być kobieta. Widocznie muszą istnieć jakieś emanacje psychofizyczne, które dają znać instynktom samca o obecności samicy i odwrotnie, bez udziału ich świadomości.

Zmysły

Czytał kiedyś, że sępy odnajdują żer przy pomocy wzroku. Węch tak dalece nie odgrywa tu roli, że ptaki te mogły chodzić po padlinie przykrytej płótnem i nie zdradzały nawet przeczucia bliskości jadła. Natomiast obecność samicy rozpoznawały nawet wówczas, gdy nakładano im kaptur na głowę. Coś podobnego istnieje na pewno i u ludzi. Stwierdził to na sobie.

Kwestia ta tak go zaciekawiła, że po kilku dniach, kiedy utartym zwyczajem siedzieli z Krzysztofem przy oknie, postanowił go wypytać. Niewątpliwie Krzysztof miał możność porobienia wielu obserwacji. Stykając się z kolegami na politechnice, podczas praktyki za granicą, a i tu w fabryce, musiał spostrzec jakieś specyficzne cechy w ustosunkowaniu się mężczyzn. Krzysztof jednak zaprzeczył.

— Trzymałem się zawsze jak najdalej od wszystkich. Od dziecka wychowywano mnie w warunkach nienormalnych. Byłem zawsze sam. Do szkoły nie chodziłem. Egzaminy zdawałem jako ekstern[21]. Później na politechnice wprawdzie nieraz zbliżali się do mnie koledzy, lecz były to zbliżenia natury wyłącznie koleżeńskiej. Przynajmniej tak je wówczas przyjmowałem, a ze zrozumiałych względów uciekałem nawet od rozmów. Tłumaczono to sobie prawdopodobnie moją dzikością czy też obyczajami mego kraju. Zresztą starałem się dostroić jak najbardziej do tonu tych środowisk męskich. Używałem ordynarnych przekleństw i nieprzyzwoitych słów z zupełną swobodą. Nie potrzebuję ci dodawać, że tak samo nie cierpiałem kobiet...

— Ale u nich miałeś powodzenie?

— Nie. Możesz to łatwo zrozumieć. Przecie byłem skazany na spędzenie życia w sposób zupełnie bezpłciowy. Zostawiono mnie poza nawiasem życia...

Paweł przypomniał sobie szare arkusiki jedwabistego papieru. Miał wielką ochotę zapytać Krzysztofa, do kogo były pisane te rozpaczliwe listy. Oczywiście teraz wiedział już ponad wszelką wątpliwość, że Krzysztof pisał je do niego, lecz tak korciła go chęć usłyszenia potwierdzenia z jego własnych ust, że dużo trudu kosztowało Pawła powstrzymanie się od wyznania, że listy czytał. Tam też była mowa o owym nawiasie życia, zamkniętym na zawsze.

— To musiało zrodzić we mnie nienawiść do życia — ciągnął Krzysztof. — Stara bajka o lisie i winogronach...

— I mogłaś się z tym pogodzić? — zdziwił się Paweł. — Nie próbowałaś walczyć? Przecie, do licha, musiałaś odczuwać po prostu najzwyklejszy prozaiczny popęd, zwykłą „wolę bożą"!...

Krzysztof potrząsnął głową:

— Przeciwnie. Pogodziłem się ze swoim losem. Pocieszałem się tym, że nie jestem ani pierwszy, ani ostatni, a raczej ani pierwsza, ani ostatnia z kobiet, skazanych czy zmuszonych do przejścia przez życie w męskim przebraniu. Było ich wiele. Nie zdziwisz się, gdy ci powiem, że namiętnie zbierałem o nich wszystko, co się po różnych bibliotekach i archiwach dało znaleźć. Historia wielu rodów, tronów, a nawet Watykanu, zawiera dużo materiału w tej dziedzinie. Wyprawy krzyżowe, wojny średniowiecza, bunty, powstania, a także i kroniki kryminalne najdawniejszych czasów miały mi przynieść pociechę. Wiele było kobiet, które studiowały na uniwersytetach w męskim przebraniu, wiele udawało mężczyzn podczas Wielkiej Wojny[22]. Nie wierzyłem tylko w jedno: nie wierzyłem, by która z nich mogła być szczęśliwa.

— No, ale w końcu sobie jakoś radziły — uśmiechnął się Paweł.

— Zapewne. Niektóre z nich prowadziły podwójne życie...

Paweł zamyślił się i wreszcie zdecydował się zapytać:

— No, a ty?

Krzysztof wzruszył ramionami:

— Nie potrafię...

— Jednakże, daruj, ale co ma znaczyć wobec tego ta twoja sekretarka, ta, no, jakże jej, Marychna?

Krzysztof uśmiechnął się blado i wstał:

— Próba — powiedział ironicznym tonem — szaleńcza próba przystosowania się do warunków. Próba... ponad moje siły... Nie mówmy o tym...

— Jak to próba? — nie ustąpił Paweł.

Krzysztof stanął przy oknie i odezwał się dopiero po dłuższej chwili milczenia:

---

[21] *ekstern* (z łac. *externus*: zewnętrzny) — osoba ucząca się samodzielnie, która w szkole zdaje tylko egzaminy. [przypis edytorski]

[22] *Wielka Wojna* — określenie I wojny światowej (1914–1918) używane powszechnie w okresie międzywojennym, przed wybuchem II wojny światowej. [przypis edytorski]

— Ochotnik angielski podczas Wielkiej Wojny John Barcker[23], który doszedł do rangi pułkownika i zdobył wszystkie możliwe ordery za waleczność, był kobietą. Po wojnie ożenił się z siedemnastoletnią panienką i żył z nią przez lat pięć...

— Chyba nie powiesz, że mieli dzieci — zaśmiał się Paweł.

— Nie, ale jego żona dowiedziała się o tym, że pułkownik Barcker nie jest mężczyzną, dopiero wówczas, gdy aresztowano go za jakąś aferę i w więzieniu poddano przymusowej kąpieli. Rzecz skończyła się procesem. Myślałem, że znasz ten wypadek, gdyż rozpisywała się o tym bardzo obszernie cała prasa angielska i rzecz doszła nawet do Izby Gmin[24]. Działo się to mniej więcej przed czterema laty. Niepodobna, byś mieszkając w Anglii, nie zapamiętał tej głośnej historii.

— Możliwe, że obiło mi się to o uszy — odpowiedział Paweł. — Możliwe jednak, że w owym okresie nie byłem w Anglii. Interesy bawełniane zmuszały mnie nieraz do dłuższych wyjazdów.

Umilkł, a ponieważ Krzysztof milczał, Paweł zaniepokoił się, czy jednak Krzysztof, mając w ręku klucze, nie zajrzał do jego papierów. Gdyby tak było, znajdowałby się całkowicie w rękach tej wprawdzie zakochanej w nim, lecz niedoświadczonej i niewyrobionej życiowo dziewczyny.

Toteż zaraz nazajutrz pomimo zmęczenia, jakie mu to sprawiało, sprawdził bardzo starannie zawartość kasy ogniotrwałej i biurka. Na szczęście znalazł wszystko w takim samym porządku, w jakim utrzymywał swoje papiery. Było prawie pewne, że nikt do nich nie zaglądał i nikt ich nie ruszał. Że i w fabrycznym gabinecie rzecz miała się tak samo, mógł to sprawdzić dopiero po czterech dniach, kiedy po raz pierwszy wyszedł z domu.

Minister, niski krępy mężczyzna o siwiejących włosach i ociężałych ruchach, łypał grubymi powiekami z miną wysoce niezadowoloną. Projekt był tak szczelny w swojej logice, że nie mógł znaleźć miejsca, w którym jakiekolwiek pytanie nadwyrężyć mogłoby jego nieodpartą argumentację. A przecież czuł, że coś tu musi opierać się na fikcji.

Paweł dostrzegł to w wyrazie jego oczu i zaśmiał się swobodnie:

— Chyba pan minister nie uważa mnie za dziecko, które zawracałoby głowę panu i sobie czymś zupełnie nierealnym?

— Ależ bynajmniej, panie prezesie — nieco zdetonował się[25] minister. — Zbyt pana szanuję, jednakże wydaje mi się...

— Przepraszam — przerwał Paweł. — Może istnieć jeszcze i druga ewentualność, mianowicie ta, że na dnie mego projektu ukryte jest jakieś oszustwo?... O, niech pan mi pozwoli dokończyć, panie ministrze. Wiem dobrze, że wyklucza tę ewentualność pańskie przeświadczenie o mojej uczciwości, lecz tu wchodzi w grę z jednej strony interes polskiego świata gospodarczego, a z drugiej interes państwa. W danej chwili my tylko reprezentujemy te obie strony. Pan z urzędu, a ja z osobistego zainteresowania. Dlatego kwestia osób i zaufania do nich nie jest tu wystarczająca, ale przecie nie kto inny, jak właśnie rząd będzie miał nieustanną kontrolę nad całym przedsięwzięciem.

Minister skinął głową:

— Jednak wolałbym, by pan osobiście przedstawił tę rzecz w komitecie ekonomicznym Rady Ministrów. Ze swej strony zapewniam panu poparcie. Nie widzę wszakże możności wzięcia na siebie referatu[26].

To właśnie Paweł chciał przeprowadzić. Wiedział dobrze, że w komitecie ekonomicznym pójdzie mu trudniej. W razie zaś odrzucenia projektu ze strachu przed eksperymen-

[23] *John Barcker (…) który doszedł do rangi pułkownika i zdobył wszystkie możliwe ordery (…) był kobietą…* — chodzi o *Valerie Arkell-Smith* z d. *Baker* (1895–1960), żyjącą przez pewien czas jako „pułkownik Victor Barker". Valerie Barker w 1914 zgłosiła się do brytyjskich służb pomocniczych, prowadzących opiekę pielęgniarską w szpitalach wojskowych. W 1918 zawarła nieudane małżeństwo, po rozwodzie kolejne. W 1923 nawiązała romans z Elfridą Hayward, udając przed nią mężczyznę. Porzuciła męża i dzieci i jako sir Victor Barker, rzekomo były pułkownik lotnictwa, odznaczony Orderem za Wybitną Służbę, zamieszkała z Elfridą i zawarła z nią ślub. W 1926 porzuciła ją, w 1929 została aresztowana w związku z bankructwem, co przyczyniło się do ujawnienia prawdy. [przypis edytorski]

[24] *Izba Gmin* — niższa izba brytyjskiego parlamentu. [przypis edytorski]

[25] *zdetonować się* (daw.) — zmieszać się, stracić pewność siebie. [przypis edytorski]

[26] *referat* — tu: przedstawienie komuś zagadnienia, zreferowanie. [przypis edytorski]

tem, projektodawca zostanie zdyskredytowany. Po prostu będą chcieli usprawiedliwić sami siebie, ogłaszając projekt za efemeryczny[27], opinia autora efemerycznych projektów była tym, czego najbardziej należało się strzec.

Dlatego, nie tracąc cierpliwości, Paweł postanowił przekonać ministra:

— Wprost nie widzę tu miejsca na obiekcje. Rzecz sama przez się jest jasna. Państwo potrzebuje na gwałt dużego zapasu walut obcych. Daję te waluty. Według ustawy Banku Polskiego musi on mieć trzydziestoprocentowe pokrycie w złocie lub w walutach mocnych. Zatem, gdy wpłynie do Banku Polskiego, powiedzmy, sto milionów franków szwajcarskich, Bank będzie mógł wypuścić banknotów złotowych za trzysta milionów franków szwajcarskich. Z tego eksporterom wypłaca tylko sto milionów, zatem dwieście milionów franków pozostaje mu w ręku.

— No, tak — zaoponował minister. — Jednakże mówił pan, że konieczne jest płacenie naszym eksporterom z góry, a skąd Skarb ma wziąć takie olbrzymie sumy, skoro i tak z trudem łatamy dziury budżetowe?

— Sumy nie byłyby od razu tak wielkie. W pierwszej transzy[28] chodziłoby o kwotę piętnastu do dwudziestu milionów dolarów. Zważywszy ogrom przedsięwzięcia i naturalną szybkość obrotów, jest to drobiazg. Podjąłbym się znaczną część tej kwoty znaleźć.

— Przypuśćmy — powiedział minister. — Jednakże twierdzi pan, że rząd na sprzedawanych przez pańską Centralę Eksportową produktach musiałby tracić, musiałby dokładać premie, sięgające niekiedy czternastu procent. To już nie wytrzymuje żadnej kalkulacji.

— Przeciwnie, będzie to strata o dwie trzecie mniejsza niż ta, jaką trzeba byłoby płacić w charakterze procentu od pożyczki. Niech pan minister weźmie pod uwagę, że za każdego dolara czy franka, który wpłynie do kas Banku Polskiego, wypuszcza się złotych za trzy dolary czy trzy franki! Nadto przychodzi przecie i ten drobiazg, że pożyczkę trzeba zwrócić, tu zaś pieniądze, które wpłynęły, raz na zawsze pozostają własnością państwa. Jedynie ważnym momentem w tym przedsięwzięciu, absolutnie pozbawionym ryzyka, jest utrzymanie ścisłej tajemnicy kapitałów Centrali Eksportowej. Oczywiście bowiem, z chwilą gdy dowiedziano by się, że jest to ukryta premia wywozowa, pociągnęłoby to za sobą nieobliczalne skutki w polityce ceł innych państw w stosunku do nas. Dlatego Centrala jest niezbędna. Uważam też, że cztery procent od obrotu, oczywiście pod ścisłą kontrolą rządu, należy się jej w zupełności. Zresztą w memoriale[29], który pozwolę sobie panu ministrowi zostawić, podałem szczegółową kalkulację wykazującą rentowność przedsięwzięcia o wiele przekraczającą korzyści, jakie by można osiągnąć z uzyskania pożyczki zagranicznej na najlepszych bodaj warunkach. Poza tym, panie ministrze, nikt z nas się nie łudzi, o pożyczce teraz nie może być mowy. Nikt nam nie da złamanego szeląga, sposób zaś ratowania państwa przed inflacją, jaki ja podaję, jest sposobem jedynym i tylko cieszyć się wypada, że nie kryje w sobie absolutnie żadnych niebezpieczeństw. Proszę także wziąć pod uwagę, że udzielanie wielkich zamówień przemysłowi i rolnictwu wzbogaci je, wzmoże wpływy podatkowe, w znacznej mierze zlikwiduje bezrobocie i przyniesie cały szereg korzyści ubocznych. To chyba nie jest do pogardzenia. Powiem więcej, że niechwycenie się tego środka ratunku byłoby niewybaczalnym zaniedbaniem.

Paweł skończył, otworzył tekę, wydobył dwa arkusze, zapisane maszynowym pismem, i położył je na biurku. Minister wahał się przez chwilę, później przysunął je do siebie i zaczął szybko czytać. Paweł, ukrywając zniecierpliwienie, przyglądał się spod oka grze jego rysów.

— Słowem — podniósł znad biurka wzrok minister — pański projekt w streszczeniu jest taki: rząd zamawia przez Centralę Eksportową różne produkty, przy czym płaci gotówką, sprzedaje zaś na rynkach obcych za złoto lub mocne waluty również przez Centralę, po czym waluty wpływają do Banku Polskiego i ten zwiększa odpowiednio obieg banknotów.

---

[27] *efemeryczny* — ulotny, krótkotrwały. [przypis edytorski]

[28] *transza* — przekazana odbiorcy ustalona część całości towaru, pożyczki a. dofinansowania. [przypis edytorski]

[29] *memoriał* — oficjalne pismo do organów władzy, zawierające uzasadnienie prośby lub wyjaśnienie sprawy. [przypis edytorski]

— Przyzna pan minister, że rzecz jest prosta i że nie ma tu żadnego ryzyka. Jedyne ryzyko obciąża Centralę, ale o to rząd martwić się nie ma potrzeby. Jeżeli Centrala nie znajdzie odbiorców na swoje towary, będzie musiała i tak w terminie pieniądze wpłacić. Toteż jestem przekonany, że najdalej za tydzień będę mógł przystąpić do organizacji przedsiębiorstwa.

— No, jeżeli Rada Ministrów projekt zatwierdzi!

— Nie wątpię o tym — z całą swobodą zapewnił Paweł. — Zadecyduje tu autorytet pana ministra i jego wola ratowania za jednym zamachem waluty i gospodarstwa[30] krajowego. Prosiłbym też o pośpiech, gdyż obecnie mam wiele nawiązanych stosunków z importerami całego szeregu państw, a przy labilności[31] koniunktury w krótkim czasie mogą zajść zmiany na niekorzyść.

— Jeszcze jedna kwestia — powstrzymał go minister. — W jaki sposób ukryje pan przed wywiadem obcym fakt finansowania Centrali przez Skarb Polski?

— To drobiazg, puści się do prasy wiadomość, że uzyskałem od grupy finansistów zagranicznych znaczną pożyczkę. Dla nadania wiadomości znamienia prawdy nadmieni się przy tym, że rząd pożyczkę tę zagwarantował.

Wychodząc od ministra, Paweł nie wątpił, że projekt pójdzie szybko i dobrą drogą. Dla zapewnienia wszakże gwarancji jego powodzenia tegoż dnia odwiedził pana Kolbuszewskiego, radcę Ministerstwa Przemysłu i Handlu, który w łonie komitetu ekonomicznego z tytułu swojej wiedzy odgrywał jedną z najpoważniejszych ról. Z Kolbuszewskim stykał się już nieraz i wyrobił sobie zdanie, że jest to człowiek wszelkich pozorów urzędowego nieprzejednania: ten młody jeszcze biurokrata robił wiele wysiłków, by otrzymać intratniejsze stanowisko w przemyśle śląskim. Paweł nie dziwił się temu. Pensja sześciuset czy siedmiuset złotych nie mogła wystarczyć człowiekowi o tak dużych ambicjach jak Kolbuszewski.

Rozmowa z nim była krótka, lecz całkiem wyraźna. Projekt nie tylko nie wzbudził żadnych wątpliwości, lecz zjednał go od razu. Stanowisko zastępcy dyrektora Centrali Eksportowej odpowiadało mu całkowicie. Dokładnie w miesiąc po przyjęciu projektu przez komitet ekonomiczny Rady Ministrów Kolbuszewski miał złożyć swoją dymisję i przejść do Centrali z pensją czterech tysięcy miesięcznie i z trzyletnim kontraktem.

Nie była to ze strony Pawła łapówka.

Znał się na ludziach i wiedział, że w Kolbuszewskim znajdzie współpracownika godnego siebie. Oczywiście nie był to człowiek, do którego można było mieć zaufanie, lecz Paweł miał od dawna wyrobiony pogląd, według którego ludzie godni zaufania absolutnie nie nadawali się do interesów i więcej swoją poczciwością sprawiali strat, niż swoją uczciwością przynosili zysków. Był dość sceptycznie usposobionym szefem, dość miał zmysłu obserwacyjnego, by obawiać się zbyt dotkliwych nadużyć. Z góry na każdego pracownika przeznaczał pewne manko[32], które w ogólnej kalkulacji pokrywane było przez rzutkość, spryt i przedsiębiorczość tychże współpracowników.

Że teoria ta była trafna, miał przykład chociażby na Tolewskim. Ten drapichrust[33] był goły jak mysz kościelna, obecnie zaś można go było liczyć na blisko sto tysięcy złotych, jednak dzięki niemu Paweł zarobił kilkaset.

Z tego właśnie względu postanowił usunąć Ottmana od kierownictwa fabryki kauczukowej natychmiast po jej uruchomieniu. Podwyższy się mu pensję na dawnym stanowisku, rozszerzy się laboratorium i można będzie dać mu jeden lub dwa procent w zyskach, lecz z jego naiwnością nie można go pozostawić nie tylko na czele przedsiębiorstwa, lecz nawet na jakimkolwiek stanowisku, na którym miałby możność własnej decyzji.

ROZDZIAŁ II

Przy samym końcu ulicy Wolskiej, nie dojeżdżając do cmentarza prawosławnego, skręcało się w bok piaszczystą niebrukowaną drogą długości około pół kilometra. Przy końcu wznosiły się czerwone budynki dawnej cegielni Weigerta, przerabianej obecnie w tempie

[30] *gospodarstwo krajowe* — tu: gospodarka krajowa. [przypis edytorski]

[31] *labilność* (z łac.) — zmienność, chwiejność. [przypis edytorski]

[32] *manko* (hand., z wł. *mancamento*: brak, błąd) — niedobór pieniędzy w kasie a. towaru w sklepie lub magazynie wykryty przy porównaniu stanu rzeczywistego ze stanem rachunkowym. [przypis edytorski]

[33] *drapichrust* (pot.) — włóczęga, łobuz. [przypis edytorski]

gwałtownym. Robotnicy pracowali na trzy zmiany i czerwony pył od rozbijanej cegły pokrywał teren fabryki grubą warstwą.

Jednocześnie niwelowano plac, a od strony zachodniej nakładano już blaszany dach i tynkowano mury. Fabryka miała wyglądać jak cacko. Na każdym, kto by ją zobaczył, musiała wywierać wrażenie przedsiębiorstwa dostatniego, uporządkowanego jak kółka w zegarku, schludnego, słowem, budzącego zaufanie.

Wewnątrz kończono już betonowe fundamenty pod maszyny i zakładano armatury[34] wodociągowe. W budynku, gdzie miał mieścić się kantor[35], założona już była instalacja elektryczna, wiórkowano podłogi i rozpakowywano żółte, amerykańskiego typu meble biurowe.

Na spotkanie Pawła wybiegł Ottman, spocony i zaaferowany. Z kieszeni jego marynarki sterczała nieprawdopodobna liczba ołówków różnego koloru, składana calówka i ogromny suwak, który mu sięgał prawie do policzka. Pomimo zmęczenia i zakurzenia aż po dziurki od nosa, promieniowała z niego radość. Zaprowadził Pawła do podręcznego laboratorium fabrycznego. Tu już wszystko było gotowe, lśniło świeżością.

Wyszli z laboratorium i stanęli przed bramą wjazdową. Paweł w zamyśleniu przyglądał się wyboistej drodze, wiodącej do ulicy Wolskiej.

— To będzie pierwszy nasz eksponat, panie Ottman.

— Jak to eksponat? — nie zorientował się chemik.

— Pokryjemy tę jezdnię kauczukiem, po obu stronach ułoży się chodniki z płyt ebonitowych[36]. W ogóle wszystko, co się da zastąpić kauczukiem lub ebonitem, musi być zrobione z tych materiałów.

— Ależ to piekielny koszt, panie dyrektorze, bo chyba nie zamierza pan po trzech miesiącach wszystkiego zmieniać?

— Bynajmniej, wszystko to się zrobi z trwałego kauczuku. Wydatek będzie duży, ale wierzaj mi pan, że się na tym nic nie straci. No, do widzenia panu, liczę na to, że zrobi pan wszystko, by przyśpieszyć uruchomienie tej garkuchni[37]. Zechce pan już teraz pomyśleć o siarce, której będziemy potrzebowali do wulkanizacji, a także o terpentynie i kazeinie. Trzeba zażądać ofert od firm krajowych i postarać się o wypiłowanie ceny. Da im pan do zrozumienia, że oferent z najniższą ceną może liczyć w przyszłości na kolosalny zbyt.

— No, panie dyrektorze, kolosalny to może przesada. Ta fabryczka nie będzie zdolna do przerobienia ponad jakieś...

— Dziękuję panu — przerwał Paweł. — Obecnie nie chodzi mi o informacje, lecz o to, by pan uważnie wysłuchał moich zleceń i ściśle je wykonał.

Podał mu rękę i wsiadł do samochodu.

„Ludzi teraz będę potrzebował — myślał, podczas gdy auto podskakiwało na nierównym bruku ulicy Wolskiej — ludzi takich jak Kolbuszewski, jak Tolewski..."

Przypomniał sobie wszystkich po kolei ludzi poznanych od czasu powrotu do Warszawy. Przez chwilę myśl jego zatrzymała się na Zdzisławie i Jachimowskim, lecz tylko przez chwilę.

Stanowczo nikogo ze swej rodziny nie wciągnie do współpracy. Po pierwsze, nie cierpiał ich, po drugie zaś, był zdania, że krewni utrudniają tylko sprawne prowadzenie interesów przez wtrącanie się i przez chęć odegrania roli ważniejszej z tytułu właśnie pokrewieństwa.

Pozostawał Krzysztof, ale to było zupełnie coś innego... Oceniał w zupełności[38] zalety tej dziewczyny, wiedział, że nie znalazłby lepszego pomocnika, że mógłby tu liczyć na całkowite, bezgraniczne oddanie, a jednakże wolał nie wtajemniczać jej w swoje sprawy, nie dlatego, by te sprawy były znowuż aż tak nieczyste, nie dlatego, że należało tę dziewczynę w jakiś naiwny sposób idealizować, ale po prostu ona nie pasowała do jego przedsięwzięć,

[34] *armatura* — ogół pomocniczych elementów instalacji technicznej; wyposażenie, osprzęt. [przypis edytorski]

[35] *kantor* (z niem. *Kontor*: kantor, biuro, od łac. *computare*: liczyć, obliczać) — daw. biuro zakładu a. fabryki. [przypis edytorski]

[36] *ebonit* (z gr. *ébenos*: heban) — twarde, ciemnobrązowe lub czarne tworzywo sztuczne otrzymywane w wyniku wulkanizacji kauczuku dużą ilością siarki. [przypis edytorski]

[37] *garkuchnia* — podrzędna, tania jadłodajnia; tu lekceważąco o zakładzie chemii przemysłowej. [przypis edytorski]

[38] *oceniał w zupełności* — doceniał w zupełności. [przypis edytorski]

a te przedsięwzięcia do niej... Może zresztą nie było to tak całkiem po prostu, ale Paweł zbyt był zajęty ważnymi pilnymi interesami, by pozwalać sobie na dobieranie ścisłych definicji w kwestiach abstrakcyjnych.

Od czasu powrotu do zdrowia Paweł nie mógł jeszcze urwać ani pół godziny na wizytę u stryja Karola. Pomijając wszelkie względy kurtuazji[39] familijnej, musiał to wreszcie zrobić dla uregulowania spraw firmy.

Prezes Karol Dalcz dogorywał.

Leżał na wznak, a jego twarz bardziej niż kiedykolwiek przypominała twarz trupa. Usta prawie się nie poruszały, gdy mówił, a oczy już od szeregu dni były przeraźliwie otwarte i patrzyły wzrokiem ślepym, nic niewidzącym.

Trzeba je było zwilżać co kilka minut watą umaczaną w jakimś lekarstwie. Pani Teresa, wychudzona, z zapadłymi policzkami, postarzała się bardzo.

Nie ustawała w swoim bezszelestnym dreptaniu dookoła łóżka i na tle wielkiego ciemnego pokoju wyglądała jak mała, szara mrówka, na pozór bezcelowo krzątająca się koło zbyt ciężkiej dla siebie zdobyczy.

Chory mówił szeptem, szeptem ledwie dosłyszalnym, tak że trzeba było zbliżać ucho do samych prawie jego warg, by odróżnić brzmienie słów. Na szczęście tego popołudnia był zupełnie przytomny i gdy mu pani Teresa oznajmiła, że Paweł przyszedł, wyraził chęć pozostania z nim sam na sam.

— Dzień dobry, stryju — powiedział Paweł.

— To dobrze, że się doczekałem twego wyzdrowienia — przerywanym szeptem odezwał się pan Karol. — Złe czasy przyszły na naszą rodzinę... Musieliśmy bardzo zawinić Bogu... Ja umieram...

— Jeszcze się stryjowi poprawi — szablonowo rzucił Paweł.

— Nie. Umrę bardzo prędko... Czuję już to w sobie... Odchodzę, zostawiając za sobą mój wielki grzech i krzywdę swego dziecka... Pawle, jesteś surowym sędzią, nie wymagam od ciebie wyrozumiałości, ale miej miłosierdzie dla konającego... Zostawiam Terenię i Krzysztofa... Są słabi i samotni... Chcę z ust twoich usłyszeć obietnicę, że nie odmówisz im swojej opieki i pomocy. Nigdy nie byłeś czułostkowy, ale tym bardziej wierzę, że żywisz w sobie uczucie wspólnoty rodzinnej... Wszystko, co było grzechem, było moim grzechem. Nie wiń ich za to. Cokolwiek by się stało, cokolwiek by się odkryło, to moja wina i za nią odpowiem przed Bogiem...

Usta chorego, pergaminowe i zwiotczałe, przestały drgać, dźwięki szeptu zlały się w jeden długi cichy jęk, w którym nie można było rozróżnić sylab. Paweł odezwał się głosem spokojnym i dobitnym:

— Bądź pewien, stryju, że cokolwiek by się stało, nie zostawię twoich bez opieki. Możesz liczyć na mnie. Powiedz mi tylko, czy uregulowałeś sprawy majątkowe?

— Tak. Wszystko, co zostawiam, jest własnością Krzysztofa. On nie skrzywdzi Tereni... I ty ich nie skrzywdzisz... Dziękuję ci. Gdy dowiedziałem się o napadzie, ogarnęło mnie przerażenie. Błagałem Boga o twoje zdrowie, bo ty jeden potrafisz utrzymać losy naszej nieszczęsnej rodziny... Pawle, obiecaj mi jeszcze jedno, obiecaj, że za żadną cenę nie pozwolisz zginąć naszej firmie przez pamięć mego ojca a twego dziada, że nie pozwolisz, by przeszła w obce ręce...

Paweł odwrócił głowę i uśmiechnął się. Oczywiście zapewnił stryja, że spełni jego życzenie, i pomyślał jednocześnie, że byłby szaleńcem, gdyby upierał się przy posiadaniu fabryki, gdyby ta zaczęła dawać straty...

W pokoju było duszno i Paweł odetchnął pełną piersią, gdy znalazł się w hallu[40]. Tu czekała pani Teresa, Blumkiewicz i lekarz. Na zegarze biła właśnie godzina piąta, a o wpół do szóstej miał konferencję w jednym z banków. Śpiesznie pożegnał się z wszystkimi i szybkim krokiem szedł do biura Zarządu. Przed wyjazdem na miasto chciał jeszcze zobaczyć się z Krzysztofem. Właściwie nie miał mu nic do powiedzenia, lecz czuł potrzebę oznajmienia mu, że odbył rozmowę z jego ojcem.

W poczekalni zastał kilku interesantów, lecz oświadczył im, że dzisiaj absolutnie nie będzie miał dla nich czasu. Byli to petenci w jakichś drobnych sprawach.

---

[39] *kurtuazja* — wyszukana uprzejmość. [przypis edytorski]

[40] *hall* — duży, reprezentacyjny korytarz. [przypis edytorski]

W gabinecie Krzysztofa zastał tylko Marychnę. Od czasu wyzdrowienia ani razu nie zdarzyła mu się sposobność spotkania jej sam na sam, nie szukał zresztą tej sposobności po prostu dlatego, że zapomniał o jej istnieniu. Widocznie Marychna nie zapomniała jednak o nim. Zrobiła się różowa jak piwonia i machinalnie poprawiła sobie włosy.

— Pan Krzysztof jest jeszcze w fabryce? — zapytał Paweł.

— Tak jest, wyszedł do modelarni... Ale zaraz ma wrócić, w tej chwili ma wrócić...

Paweł roześmiał się:

— Na pewno w tej chwili?

— Tak mówił — spuściła oczy.

Paweł zbliżył się do niej i pogłaskał ją po twarzy takim ruchem, jak się to robi z dziećmi:

— Więc mam na niego poczekać?... No, cóż u ciebie słychać, Marychno? Jak ci się powodzi? Myślałaś pewno, że przejadę się na tamten świat? Ale widzisz, diabli nie śpieszyli się po moją duszę. I tak wierzą, że im nie ucieknie.

— To było straszne... Tak się bałam o...

Zawahała się, widocznie mając wątpliwości, czy wypada zwrócić się doń na ty, czy tytułować go panem dyrektorem. Paweł nie przyszedł jej z pomocą. Bawiło go zmieszanie dziewczyny. Przyglądał się jej z milczącym uśmiechem. Zrobiła się jeszcze bardziej czerwona, a w jej oczach zakręciły się łzy.

— Ja nawet bardzo chciałam odwiedzić... Ale nie wiedziałam, czy można...

W tej chwili na korytarzu rozległy się szybkie kroki Krzysztofa. Marychna szybko otarła oczy i pochyliła się nad maszyną.

— Jak się masz — przywitał Paweł Krzysztofa, a widząc jego podejrzliwe spojrzenie w stronę Marychny, prędko dodał: — Byłem u twego ojca. Biedak nieszczególnie wygląda.

— Tak. Tam już kwestia jest przesądzona — odpowiedział Krzysztof. — A jak ty się dziś czujesz? Czy minęło kłucie w łokciu?

— Dziękuję ci. Zapomniałem o łokciu — uśmiechnął się i zauważył przy tym, że w wyrazie twarzy Krzysztofa odbił się rodzaj zmieszania. Widocznie wziął uśmiech za podkreślenie swego zainteresowania wszystkim, co dotyczyło Pawła.

— Niepokoję się o matkę — szybko zaczął Krzysztof. — Zupełnie straciła apetyt, całe doby spędza albo w pokoju ojca, albo u siebie na klęczkach. Zdaje się, że dostała manii religijnej.

— Zauważyłem — potwierdził Paweł. — Dawniej była zawsze tak pogodna i miała coś jasnego w oczach. Bardzo zmizerniała. Trzeba liczyć na to, że po katastrofie stopniowo przyjdzie do siebie.

Krzysztof z powątpiewaniem pokręcił głową, chciał coś powiedzieć, lecz widząc, że Paweł spogląda na zegarek, zapytał:

— Śpieszysz?

— Tak. Mam ważną rozmowę w banku i właśnie chciałem cię prosić, byś podpisał dzisiejszą korespondencję. Przyniosą ci. Wieczorem nie będzie mnie w domu, ale zadzwonię dowiedzieć się o zdrowie stryja.

Podał rękę Krzysztofowi, skinął głową Marychnie i wyszedł.

Właściwie od dawna nosił się z zamiarem ostatecznego rozmówienia się z Krzysztofem w sprawie Feliksiaka. Wprawdzie ten nie pokazywał się ostatnimi czasy, jednakże należało się liczyć z tym, że prędzej czy później trzeba będzie uregulować jego sprawy. Byłoby nonsensem wypłacanie temu drabowi nieustającej premii za milczenie.

Teraz oczywiście Paweł ani przez chwilę nie myślał o wygraniu Feliksiaka przeciw Krzysztofowi. Ten atut stracił swoją wartość, zdewaluował się, wyszedł z gry.

Najprostszym rozwiązaniem sytuacji byłoby usunięcie samego momentu, na którym mógłby się opierać ewentualny szantaż ze strony Feliksiaka. Przy sposobności załatwiania innych spraw prawnych Paweł zapytał jednego z adwokatów, jak się przeprowadza urzędową zmianę w księgach ludności, gdy się okaże, iż na przykład kobieta jest mężczyzną lub odwrotnie. Z informacji udzielonych przez prawnika wynikało, że procedura przedstawiała się bardzo skomplikowanie, że bez śledztwa, badań lekarskich i tysiącznych

formalności nie dałoby się rzeczy załatwić, a już w żadnym razie utrzymać jej w tajemnicy, zwłaszcza że i władze wojskowe miałyby tu ważne słowo.

Wobec tego pomysł stawał się nierealny i o prawnym uregulowaniu pozycji Krzysztofa mowy być nie mogło, poza tym bowiem byłoby to postawieniem znaku zapytania na testamencie nieboszczyka Wyzbora, który wyraźnie zapisywał swój majątek pierworodnemu synowi Karolostwa Dalczów.

Kiedy stryj Karol ogólnikowo mówił o grzechu i o winie, jakie całkowicie nań spadają, Paweł udawał, że nie domyśla się, o co chodzi. Ułożyli z Krzysztofem, że jego rodzice nie powinni dowiedzieć się o tym, że Paweł wie o wszystkim. I tak po powrocie z Wiednia Krzysztof przyznał się matce, że jego tajemnicę zna Marychna. Wywołało to wówczas wielkie przerażenie pani Teresy i atak serca pana Karola.

Ile razy nad tym się zastanawiał, Paweł nie mógł wprost pojąć, jakie pobudki kierowały ludźmi tak uczciwymi jak stryjostwo, kiedy postanowili dopuścić się tak niebezpiecznego i grożącego wielkimi konsekwencjami oszustwa. Prawdopodobnie chciwość na spadek Wyzbora uzasadniona była miłością do dziecka, któremu chcieli zapewnić bogactwo, a sprawili pasztet nie do przełknięcia.

Zresztą samemu Pawłowi nie zależało zbytnio na przebraniu Krzysztofa w strój bardziej odpowiadający jego płci, na zmianie jego pozycji. Znajdował swego rodzaju przyjemność w tym, że miał do czynienia z Krzysztofem całkowicie zależnym od jego woli. Poza tym wciąż zwiększające się tempo pracy nie zostawiało wielu luk na zastanawianie się nad sprawami bezpośrednio niezwiązanymi z kauczukiem czy z Centralą Eksportową.

Pomimo wycieńczenia, sprawionego chorobą, znowu nie dosypiał nocami. Dnie całe pochłaniały konferencje, posiedzenia, olbrzymia korespondencja i narady. W gabinecie fabrycznym zainstalowano stałą stenotypistkę, w mieszkaniu na Ujazdowskiej drugą. Z biegiem czasu okazało się jednak, że i tego było za mało. Paweł nie mógł pozwolić sobie na marnotrawstwo tych minut, które spędzał w samochodzie. Toteż towarzyszył mu stale stenograf.

Nareszcie Rada Ministrów przyjęła i zaaprobowała projekt Pawła. Nie poszło to łatwo i on sam musiał stawać w jego obronie. Rzecz została załatwiona w najściślejszej tajemnicy. Do opinii sfer finansowych przedostała się jedynie wiadomość, że Paweł Dalcz uzyskał od rządu gwarancję na grubszą pożyczkę zagraniczną, na pożyczkę, której wysokość nie znajdowała się w żadnym stosunku do potrzeb Zakładów Przemysłowych Braci Dalcz.

Ponieważ zaś jednocześnie prasa podała informację o założeniu przez Pawła fabryki syntetycznego kauczuku, pożyczkę wiązano z tym interesem.

Początkowo pogłoski o wynalazku inżyniera Ottmana kursowały skąpo i przyjmowane były z wielkimi zastrzeżeniami. Nieco większe wrażenie wywołała wiadomość o opatentowaniu we wszystkich państwach syntetycznego kauczuku „Optima".

Nastąpiło to dlatego, że patenty zostały wykupione przez Pawła Dalcza i nikomu z kół przemysłowych nie przyszłoby na myśl powątpiewać nadal o wartości wynalazku. Znano już o tyle Pawła Dalcza, by wiedzieć, że nie przystąpiłby on do interesu nieopartego na realnych podstawach.

Wzmianki o kauczuku „Optima" ukazały się też we wszystkich fachowych pismach zagranicznych, przy czym zaznaczano, iż kauczuk ten będzie kalkulował się znacznie taniej niż naturalny, a jak zapewnia wynalazca, nie tylko naturalnemu nie ustępuje, lecz pod wieloma względami go przewyższa.

Nad dozorowaniem wszystkich tych wiadomości bacznie czuwał sam Paweł. Plan akcji kauczukowej obmyślony był precyzyjnie i jedno nieostrożne posunięcie mogło zachwiać całym przedsięwzięciem. Na liczne nagabywania ze strony banków i przemysłowców Paweł odpowiadał wiele mówiącym milczeniem lub bagatelizowaniem całej sprawy, ułożonym w ten sposób, że wypytujący odchodził z przeświadczeniem, iż rzecz jest już całkowicie pewna i że będzie to istna złota żyła.

W końcu lipca Paweł wyjechał do Londynu. Postarał się przy tym, by o jego wyjeździe dzienniki zamieściły wzmianki z zaznaczeniem, że stoi to w związku z uzyskaniem znacznych kredytów. W istocie celem wyjazdu Pawła była bliższa orientacja w rynku kauczukowym.

Fabryka na Woli była już na wykończeniu. Po dłuższym namyśle Paweł postanowił powierzyć jej kierownictwo Blumkiewiczowi, jednak rozmowę z nim na ten temat odkła-

dał do dnia swego powrotu. Wyjeżdżając, najsurowiej zabronił Ottmanowi wdawania się z kimkolwiek w rozmowy na temat kauczuku oraz udzielania jakichkolwiek informacji.

Na dworzec odprowadził Pawła Krzysztof. Prosił, by Paweł nie przeciągał swego pobytu za granicą, ze względu na lada dzień oczekiwany zgon pana Karola. Stan jego o tyle się pogorszył, że nie odzyskiwał już przytomności i odżywiano go sztucznie, co Paweł uważał za nonsens: Cierpienie, Choroba

— Gdybym ja był lekarzem — powiedział doktorowi — nie przedłużałbym konania, lecz przeciwnie, zastrzyknąłbym takiemu pacjentowi większą dawkę morfiny. Nie pojmuję robienia czegokolwiek bez celu.

Lekarz jednak nie chciał się do tego zastosować i Paweł wyjechał, nie doczekawszy śmierci stryja, narażając się na to, że będzie wezwany telegraficznie, gdyż na pogrzebie musiał być obecny ze względu na opinię publiczną i chciał być obecny ze względu na Krzysztofa.

Na dwa dni zatrzymał się w Paryżu, korzystając ze sposobności, by zobaczyć się z niektórymi ludźmi, związanymi z importem nafty i benzyny, by rozejrzeć się w możliwościach przywozu towarów polskich i zbadać stopień konsumpcji kauczukowej Francji.

Nadto, licząc się z przyszłymi ewentualnościami, złożył wizyty kilku potentatom[41] finansowym, co przyszło mu tym łatwiej, że ambasador polski otrzymał polecenie utorowania mu dróg do zawarcia potrzebnych znajomości.

Ułożył sobie pewną formułkę postępowania z tymi panami. Był poważnie żartobliwy i z punktu[42] zaznaczał, że jest pierwszym Polakiem, który przyjeżdża do Paryża bez zamiaru zaciągnięcia pożyczki, lecz odwrotnie, w celu nawiązania stosunków osobistych z tymi sferami, które byłyby zainteresowane w znalezieniu dużego rynku zbytu poza wschodnią granicą Polski.

Bardzo ostrożnie przy tym dawał do zrozumienia, że przemysł francuski miałby tu pierwszeństwo przed każdym innym, a drogi opanowania wspomnianego rynku należą do całkiem wyjątkowych i jemu tylko, Pawłowi Dalczowi, wiadomych.

Ponieważ w rozmowach tych zachowywał daleko posuniętą rezerwę i nadmieniał, że obecnie jedzie do Londynu, po czym „niektóre rzeczy mogą nabrać realnych kształtów", a poprzedzająca go prezentacja ambasady brzmiała bardzo przekonywająco, osiągnął tyle poza wywarciem dobrego wrażenia, że kilka grubych ryb przy pożegnaniu z naciskiem zaznaczyło, iż miło by im było kiedykolwiek z człowiekiem takim jak on mieć wspólne interesy.

Zbyt ścisłe wyliczenie czasu, jakiego Paweł trzymał się w Paryżu, przyczyniło się do straty prawie czterech godzin. Samochód hotelowy wskutek zatoru, jaki powstał przy skrzyżowaniu ulic, zmarnował tylko pięć minut czasu. To wystarczyło, by spóźnić się na pociąg do Calais. Ponieważ następny, mający dobre połączenie, odchodził dopiero o pierwszej z minutami, Pawłowi został ładny kawałek wieczoru do spędzenia w bezczynności. Zostawił rzeczy w przechowalni i wyszedł na miasto.

Z początku myśl jego pracowała jeszcze nad segregacją spraw załatwionych i nad wyciąganiem z nich wniosków.

Mijał ulice, place, jaskrawo oświetlone witryny sklepów, przechodził środkiem gwarnego tłumu i oczywiście wiedział, że znajduje się w Paryżu, że ta wielka smuga światła, ostro strzelająca w niebo, to reklama Citroëna na wieży Eiffla, że tam na czerwonawym niebie rysuje się kopuła Inwalidów[43], a z prawej strony wyrasta potężny masyw Łuku Triumfalnego[44] w centrum wielkiej gwiazdy zbiegających się ulic. Wiedział to, a przecież nie łączyło się to w nim z niczym, co tu kiedyś przeżywał. Kilka lat, jakie go dzieliły od Pawła Dalcza z owych czasów, wprost zatarły w nim poczucie ciągłości, tożsamości swego indywiduum[45].

---

[41] *potentat* — człowiek bogaty i wpływowy. [przypis edytorski]

[42] *z punktu* (daw.) — natychmiast, od razu. [przypis edytorski]

[43] *kopuła Inwalidów* — widoczna z daleka pozłacana kopuła monumentalnego paryskiego Kościoła Inwalidów, zbudowanego w 1706 na polecenie Ludwika XIV. [przypis edytorski]

[44] *Łuk Triumfalny (w Paryżu)* — pomnik na zach. krańcu Pól Elizejskich, zbudowany dla uczczenia żołnierzy, którzy walczyli i polegli za Francję w czasie wojen okresu rewolucji i wojen napoleońskich, mający formę jednoarkadowego rzymskiego łuku triumfalnego. [przypis edytorski]

[45] *indywiduum* (łac. *individuum*: niepodzielne) — jednostka, osobnik; tu: indywidualność, zespół cech psychicznych stanowiących konkretną, swoistą osobowość jednostki. [przypis edytorski]

Był teraz innym człowiekiem, człowiekiem zarówno dobrze poinformowanym o wszystkim, co stanowiło treść życia dawnego Pawła Dalcza, i zarówno[46] obojętnym temu wszystkiemu.

Wrażenie to uderzało świadomość Pawła już nie po raz pierwszy, lecz nigdy dotąd nie występowało z taką jaskrawością. Przyczyn tego można było doszukiwać się w fakcie, iż znajdował się obecnie nareszcie na pełnych wodach pod szeroko rozwiniętymi żaglami, a może po prostu w tym, że przeszłość stała się obojętna z chwilą, gdy przestała wchodzić w grę.

Zresztą komórki człowieka żyją tylko lat siedem. W ciągu siedmiu lat cały organizm odnawia się w każdym najdrobniejszym szczególe. Któż zaręczy, że nasze poczucie osobowości nie ulatnia się wraz z obumierającymi komórkami i że nie jesteśmy wciąż kimś nowym?...

Paweł zatrzymał się przed jakąś witryną i przyglądał się swemu odbiciu w szybie. Czy jest kimś nowym?... Oczywiście. W tym samym Paryżu, który też jest nowy. Kiedyś stanowił trampolinę, miał być startem, a teraz stanowił jeden z etapów...

Obok niego zatrzymała się jakaś dziewczyna i zapytała go z ironią:

— No i na którą z tych sukienek zdecyduje się pan wreszcie?

Dopiero teraz zauważył, że stoi przed wystawą kobiecych sukien. Dziewczyna była szelmowsko swobodna i mówiła wybitnie marsylskim akcentem. Pawłowi zdawało się, że kiedyś ją widział lub znał inną bardzo do niej podobną.

— Cóż tam dobrego w Marsylii? — zapytał prawie życzliwie.

— O la la — wydęła usta — jaki pan dowcipny. Niby wielka sztuka poznać, że jestem z Marsylii.

— Wypilibyśmy może szklankę czegoś lepszego? — zaproponował bez nacisku.

Potrząsnęła głową:

— Nie będę panu przeszkadzać, ale ja wolałabym zjeść coś smacznego w pańskim towarzystwie.

— Dobrze.

Bez ceremonii wsunęła dość dużą rękę w czarnej rękawiczce pod jego ramię i powiedziała:

— Więc miałam rację, że pan jest Amerykaninem?

— Amerykaninem?

— No, przecież nie Francuzem. Nie zastrzegł się pan, że wstąpimy do Duvala[47] — wybuchnęła śmiechem.

— Pójdziemy, gdzie chcesz — powiedział obojętnie — mam parę godzin czasu.

Skinęła na taksówkę i po kilku minutach byli przed dużą i przeciętnie elegancką restauracją gdzieś w okolicy St. Lazare[48]. Stoliki były gęsto obsadzone przez śpiesznie jedzących gości, przeważnie mężczyzn. Dziewczyna, nie patrząc na kartę, wyrecytowała dość długą litanię obstalunku[49]. Widocznie czuła się tu jak u siebie w domu. Paweł zamówił butelkę burgunda[50].

Przyglądając się profilowi szybko jedzącej dziewczyny, jeszcze bardziej utwierdził się w przekonaniu, że kogoś mu przypomina, lecz w żaden sposób nie mógł uprzytomnić sobie, kogo i kiedy widzianego. W każdym razie sprawiła miłe wrażenie. W niespełna pół godziny uporała się z zawartością półmisków i oświadczyła, że na kawę zaprasza go do siebie.

Mieszkała w pobliżu, na placu Europy w starej kamienicy z windą, w której ledwie we dwójkę mogli się pomieścić. Zajmowała dwa czyściutkie pokoiki na czwartym piętrze.

[46] *zarówno dobrze poinformowanym (…) i zarówno obojętnym* — dziś popr.: „zarówno dobrze poinformowanym, jak i obojętnym". [przypis edytorski]

[47] *Duval* — tu: lokal należący do sieci popularnych paryskich restauracji (tzw. *bouillons*), założonej przez rzeźnika Pierre-Louisa Duvala, serwujących po przystępnych cenach tradycyjne dania francuskie, w szczególności bulion, czyli rosół. [przypis edytorski]

[48] *St. Lazare*, właśc. *Gare Saint-Lazare* (Dworzec Świętego Łazarza) — ruchliwy paryski dworzec kolejowy zbudowany w 2 poł. XIX w., często pojawiający się na obrazach impresjonistów. [przypis edytorski]

[49] *obstalunek* — zamówienie, zlecenie. [przypis edytorski]

[50] *burgund* — francuskie wino z Burgundii. [przypis edytorski]

W równie czystej łazience mieściła się gazowa kuchenka, na której rozpoczęła przygotowywanie obiecanej kawy. Ponieważ jednak okazało się, że kawy zabrakło, poczęstowała go herbatą o takim smaku, że wolałby, gdyby i herbaty też zabrakło.

Gdy powiedział to głośno, wybuchnęła śmiechem:

— Jesteś paradny[51] i naprawdę podobasz mi się. Jesteś pierwszym Amerykaninem, którego można strawić bez niebezpieczeństwa zepsucia sobie humoru na tydzień.

— Skądże wiesz, że jestem Amerykaninem?

— O, na pewno. Człowieka interesów odróżnię od razu. No, przyznaj się: poszedłeś ze mną tylko dlatego, że nic innego nie masz do roboty. Wcale się do mnie nie palisz, co?

— Może i masz rację. W każdym razie nie upieram się przy tym, żeby cię trudzić.

Spojrzała nań z niechęcią:

— Jesteś zimną bestią — powiedziała jakby z obrazą w głosie i jednocześnie ulokowała się na jego kolanach.

Łóżko miała wygodne i szerokie i nie dziw, był to bowiem mebel centralny, stanowiący rację istnienia całego tego mieszkania i warunek istnienia jego właścicielki.

Systematycznie złożyła kapę, odchyliła kołdrę i poprawiła poduszki. Rozbierała się żartując i śmiejąc się bez przerwy. Miała biodra wąskie i małe, ledwie uwypuklone piersi. Jej czarne włosy były ostrzyżone krótko, prawie po męsku.

Paweł rozbierał się, nie mogąc pozbyć się myśli, że kiedyś znał tę dziewczynę, tylko na pewno wówczas nie była wesoła. Przysiągłby, że oczy pod tym wysokim czołem musiały być smutne, niemal tragiczne.

— Jeżeli tak będziesz śpieszył się na swój pogrzeb — odezwała się lekko, lecz z niejakim podrażnieniem — to obawiam się, mój przyjacielu, że odbędzie się bez ciebie.

Paweł burknął coś pod nosem i bez pośpiechu wsunął się pod kołdrę.

Dziwił się sobie samemu, lecz ta dziewczyna naprawdę go pociągała. Można to było wytłumaczyć tym, że już od dość dawna, to znaczy od ostatniej nocy spędzonej z Marychną jeszcze na długo przed napadem, żył w celibacie, jednak zdawało mu się, że to nie wystarczałoby.

Kontakt był tuż przy łóżku i wyciągnęła rękę, by zgasić światło.

Gdy je zapaliła po upływie pewnego czasu z powrotem, była już w czarnym szlafroczku i siedząc na łóżku, zaciągała się papierosem.

— Przyjaźń amerykańsko-francuska — powiedziała, wypuszczając wąską strugę dymu — została, zdaje się, zadokumentowana wystarczająco. Mam wrażenie, że nie zależy ci na dalszej wymianie not[52]?

Paweł, leżąc, przyglądał się jej spod oka. I nagle przymknął powieki.

Teraz, gdy siedziała zwrócona doń profilem z papierosem w ręku, odkrył podobieństwo: przypominała mu Krzysztofa. Miała znacznie mniejsze i trywialne oczy, miała brzydsze usta i bardziej smagłą cerę, ale ręce jej były prawie tak piękne, jak Krzysztofa...

Uczuł nagle przypływ wielkiego niezadowolenia i nie poruszając się powiedział:

— Pozwól. Będę się ubierał.

Paplała coś, lecz słyszał tylko dźwięk jej głosu wysoki, niemal brzęczący. Jakiż piękny głos ma Krzysztof... Przyszło mu na myśl, że mógłby wprost stąd pojechać na pocztę lub do pierwszego lepszego hotelu i zażądać telefonicznego połączenia z Warszawą. Dałoby się to przed Krzysztofem zupełnie rzeczowo umotywować: jak zdrowie stryja i co się dzieje w fabryce?...

Zawiązywał krawat, nie patrząc w lustro, i musiał zawiązać go krzywo, gdyż dziewczyna chciała mu go poprawić. Z niechęcią odsunął jej ręce, położył na tualecie[53] banknot stufrankowy i mruknąwszy „do widzenia", wyszedł.

Telefonowanie do Warszawy byłoby oczywistym nonsensem. Skąd w ogóle mógł przyjść taki pomysł!... Chociaż z drugiej strony można by to zrobić dla przyjemności

[51] *paradny* (daw.) — zabawny, śmieszny. [przypis edytorski]

[52] *nota* — oficjalne pismo rządu jednego państwa do drugiego. [przypis edytorski]

[53] *tualeta* — dziś popr.: toaleta; tu: toaletka, stolik z lustrem, z szufladami na przybory do higieny i pielęgnacji. [przypis edytorski]

Krzysztofa. To właśnie byłoby coś, co odpowiadałoby romantyzmowi tej dziewczyny, która odprowadzając go na dworzec, miała taki wyraz oczu, jakby chciała mu się rzucić na szyję... Zjednałby ją sobie jeszcze bardziej, biorąc ściśle, kosztem kilku minut czasu i kilkunastu franków opłaty za rozmowę.

Do odejścia pociągu miał jeszcze przeszło godzinę. Połączenie dostałby najdłużej w przeciągu kwadransa...

Wzdłuż ulicy szła żelazna balustrada. Stanął i spojrzał w dół. Wśród nielicznych latarń połyskiwały szyny torów kolejowych. Kolej podziemna wydobywała się tu na powierzchnię. Z lewej strony czerniły się symetryczne jamy tunelów. Raz po raz dobywał się z nich jazgoczący hałas i tuż pod nim przebiegały długie, roztrzęsione w pędzie wagony... Właśnie zjednanie Krzysztofa jeszcze bardziej, zbliżenie się, byłoby tylko przeszkodą, skrępowaniem ruchów, udzieleniem pewnych praw. A przede wszystkim zawadą.

Odwrócił się. Przy sąsiednim rogu był postój taksówek. Wsiadł i kazał zawieźć się na dworzec.

W wagonie otworzył walizkę i rozłożył przed sobą prospekty[54], ceduły[55], cenniki, wykazy i wszystko to, co zdołał zebrać w Paryżu, a co przed rozmowami w Londynie musiał gruntownie przestudiować.

Plan miał ułożony w ten sposób, że przede wszystkim musi zdobyć znajomość z głównymi angielskimi odbiorcami i hurtownikami kauczuku, a o ile to będzie możliwe, dotrzeć także i do Williama Willisa, amerykańskiego miliardera, który właśnie w ostatnich dwóch latach skupił w swoim ręku większość akcji amerykańskiego koncernu opon samochodowych i którego przyjazd do Anglii właśnie skłonił Pawła do równoczesnego wyjazdu.

Przede wszystkim należało poznać tych ludzi i zorientować się, z jakiego typu kontrahentami[56] będzie miało się do czynienia. Od tego zależała cała dalsza taktyka i maszyneria posunięć.

Znał Londyn z kilkakrotnych tam pobytów względnie dobrze i zatrzymał się w starym, solidnym szkockim hotelu przy Trafalgar Square[57]. Pomimo nie przespanej nocy nie czuł zmęczenia. Wziął kąpiel, przebrał się, zjadł śniadanie i wyszedł na miasto.

Pomimo stosunkowo wczesnej godziny upał był nieznośny. Asfalt ulic i mury kamienic wprost ziały żarem. Mężczyźni szli bez marynarek lub nieśli je przerzucone przez rękę. Kobiety były wszystkie w jasnych, przezroczystych sukniach, przeważnie bez pończoch. Upał jednak w niczym nie wpłynął na zmniejszenie ruchu.

Ulicami pędziły wartkie rzeki samochodów, autobusów, tramwajów, tak stłoczonych, że zdawało się, iż w tym pędzie lada moment dojdzie do straszliwej katastrofy. Spostrzegawczość Pawła uderzyła przede wszystkim zdumiewająca w tym ruchu cisza. Po wrzaskliwym, rozgestykulowanym, trąbiącym, krzyczącym, hałaśliwym Paryżu Londyn wydawał się miastem, na które nałożono tłumik, którego dźwięki dziwnie zmoderowano[58]. Na przestrzeni od Trafalgar Square aż do South Kensington[59] Paweł ani razu nie usłyszał trąbki samochodowej, ani razu zgrzytu gwałtownie naciskanych hamulców.

Zarówno kierowcy, jak i piesza publiczność uważali widocznie, że do uniknięcia wypadku w zupełności wystarczy baczność wzroku.

Pod tym względem nic od czasów przedwojennych w Londynie się nie zmieniło. Tylko w City[60] tu i ówdzie wyrosło kilka siedmio- i ośmiopiętrowych gmachów w nowoczesnym stylu, rażących oko swymi brutalnie wielkimi rozmiarami pośród niedużych dwu- i trzypiętrowych kamienic.

---

[54]*prospekt* — broszura informacyjno-reklamowa zawierająca np. informacje o produktach danej firmy. [przypis edytorski]

[55]*ceduła* (daw.) — tu zapewne: oficjalny komunikat giełdowy z wykazem kursów walut, notowań papierów wartościowych, cen towarów itp., albo też: rodzaj druku reklamowego z ofertą towarów. [przypis edytorski]

[56]*kontrahent* — jedna ze stron umowy handlowej. [przypis edytorski]

[57]*Trafalgar Square* — centralny plac Londynu, znana atrakcja turystyczna, upamiętnia zwycięstwo brytyjskiej marynarki wojennej w bitwie pod Trafalgarem (1805). Pośrodku znajduje się 55–metrowa kolumna Nelsona, plac zdobią także inne pomniki oraz fontanny. [przypis edytorski]

[58]*moderować* (z łac.) — łagodzić, uspokajać, powściągać. [przypis edytorski]

[59]*od Trafalgar Square aż do South Kensington* — dzielnica South Kensington znajduje się ok. 4 km na zachód od placu Trafalgar. [przypis edytorski]

[60]*City* — część Londynu, w której koncentruje się większość działalności finansowo-handlowej Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

Paweł lubił Londyn. Za jego spokój, za solidność, za ekskluzywność i zamkniętość w sobie małych mieszkalnych domków, z których każdy stanowił w tym olbrzymim mieście odrębną całość. Z powodu upału drzwi były pootwierane, lecz płócienne pasiaste portiery[61], zasłaniające wejścia, stanowiły takież same przeszkody nie do przebycia, jak i ciężkie rzeźbione w drzewie staroświeckie drzwi, za którymi Anglik czuł się bardziej u siebie niż cały naród angielski na Wyspach Brytyjskich.

Zewnętrzne warunki, które łączyły te domy w jedno miasto, zdawały się nieistotne, zdawały się łączyć je tylko powierzchownie, dzięki czemu Londyn przypominał potwornych rozmiarów plaster miodu, w którym każda pszczoła ma swoją własną, wyłączną komórkę, niekomunikującą się z innymi.

W westybulu[62] zatrzymał Pawła wysoki siwy portier w liberii[63] ozdobionej wieloma medalami. Pomimo bardzo oficjalnego wyglądu rozmówił się z Pawłem w poufały i dobroduszny sposób. Prezes Brighton wprawdzie jest w biurze, lecz należy wątpić, czy będzie miał czas przyjąć kogokolwiek. Na giełdzie dzisiaj coś nie jest w porządku. Lepiej pomówić z sekretarzem. Ten będzie wiedział, kiedy uda się złapać *mister*[64] Brightona.

Paweł jednak miał swój system i z sekretarzem mówić nie chciał. Przy tym z tak pewną miną podał portierowi swój bilet wizytowy i tak stanowczo oświadczył, że jednak prezes Brighton go przyjmie, że portier zdecydował się go zameldować. Bilet wizytowy pod nazwiskiem Pawła zawierał tytuł generalnego prezesa Związku Polskiego Przemysłu Metalurgicznego, niezupełnie zgodny z prawdą, lecz tym niemniej o tyle efektowny, że po pięciominutowym oczekiwaniu Paweł został zaproszony do gabinetu.

Brighton, żylasty, siwy starzec o długich, żółtych zębach, znajdował się widocznie w stanie dużego podniecenia, gdyż pomimo spokojnego głosu i opanowanych ruchów zdradzał zdenerwowanie tym, że gryzł bez przerwy cybuch krótkiej, czarnej fajki, z której nie wydobywała się ani odrobina dymu.

Prezes Brighton był wielorybem rynku kauczukowego, a przyjazd Williama Willisa nie mógł nic nie znaczyć, gdyż każdy krok Williama Willisa, każde jego słowo, każda minuta liczyła się na wagę złota.

W tych warunkach jakakolwiek rozmowa z Brightonem niedotycząca rzeczy konkretnych była nie do pomyślenia. I chociaż Paweł pierwotnie miał zamiar nadać swojej wizycie charakter nieobowiązujący, zmienił obecnie plan i oświadczył wprost, iż nabył wynalazek kauczuku syntetycznego, że ze względu na warunki ekonomiczne w Polsce nie chciałby tam rozpoczynać jego fabrykacji[65], i przede wszystkim uważał za stosowne porozumieć się z prezesem Brightonem.

— Słowem, chce mi pan sprzedać ten wynalazek? — zapytał Anglik, wyjmując z ust fajkę.

— Nie. Chciałem panu zaproponować spółkę.

Brighton rzucił okiem na kartę wizytową leżącą przed nim i nacisnął dzwonek. Na progu ukazała się korpulentna, starsza już kobieta z notatnikiem w ręku.

— Panno Nirmes — zapytał prezes — co wiemy o patencie polskim na kauczuk syntetyczny?

Urzędniczka znikła i po upływie niespełna minuty wróciła z teczką, którą położyła przed szefem. Brighton nałożył okulary i zaczął przeglądać jej zawartość.

Paweł ze swego miejsca widział, że było tam kilkanaście listów, wycinków z gazet i formularzy patentowych.

— Widzę, że pańskie biuro nie zasypia sprawy — powiedział z uznaniem.

— To jest konieczne. Tym mi przyjemniej, że ten kauczuk syntetyczny zdaje się robić wrażenie realnego interesu. Prosiłbym pana o dwie informacje: czy istotnie w masowej fabrykacji cena może być tak bajecznie niska? Pisma podały, że nie przekroczy ona dwudziestu pięciu procent ceny kauczuku naturalnego.

— Wiadomość ta — spokojnie odpowiedział Paweł — została podana przeze mnie.

---

[61] *portiera* — zasłona z grubego, ciężkiego materiału, umieszczana przy drzwiach. [przypis edytorski]
[62] *westybul* — reprezentacyjny przedpokój. [przypis edytorski]
[63] *liberia* — rodzaj munduru noszonego przez służbę. [przypis edytorski]
[64] *mister* (ang.) — pan. [przypis edytorski]
[65] *fabrykacja* — produkcja. [przypis edytorski]

W oczach Brightona przez króciutki moment błysnęło niedowierzanie. Jednakże wobec kategoryczności oświadczenia gościa nie mógł wyrazić powątpiewania.

— To ciekawe — powiedział. — A czy może mi pan zdradzić, na jakim surowcu rzecz jest oparta?

— Owszem. Głównym składnikiem jest terpentyna.

— Jak długo zabawi pan w Londynie?

— Dwa dni.

Brighton otworzył notes i dość długo wertował skrzętnie zapisane pozycje godzin.

— Niestety. To wprost niemożliwe. Rzecz wymagałaby dłuższego omówienia, a ja w ciągu trzech najbliższych dni dosłownie nie rozporządzam ani odrobiną wolnego czasu.

— Sprawa nie da się załatwić drogą korespondencji — zaznaczył Paweł.

— Oczywiście. — Brighton przetarł czoło i widocznie się namyślał. — Chyba że pan byłby tak łaskaw zaszczycić swoją obecnością małe przyjęcie, jakie urządzam u siebie na wsi jutro wieczorem?... Nie lubię niczego odkładać na później. Dlatego byłbym panu obowiązany za tę uprzejmość.

— W zupełności podzielam pańskie zdanie — skinął głową Paweł. — Obawiam się tylko, czy swoją obecnością w jego domu, no i swoim interesem nie utrudnię panu roli gospodarza.

— Bynajmniej — bez przekonania zapewnił Brighton. — Będzie to skromny obiad, na którym spotka pan kilka osób z naszego przemysłu. Bardzo żałuję, ale nie ośmielę się pana dłużej zatrzymywać.

Paweł wstał i prawie kordialnie[66] wyciągnął doń rękę:

— Rozumiem to. Jestem przecie w stolicy kraju, który odkrył, że czas jest synonimem pieniądza.

Dopiero na ulicy Paweł przypomniał sobie, że nie wziął adresu wiejskiej posiadłości Brightona. Ponieważ jednak na zostawionym u niego bilecie podał nazwę hotelu, w którym się zatrzymał, nie wątpił, że zastanie tam zaproszenie.

Było oczywiste, że przyjęcie wydawane przez Brightona miało ścisły związek z pobytem w Londynie Williama Willisa i że Willis na tym przyjęciu będzie. I właśnie dlatego Paweł postanowił doń dotrzeć jeszcze przed jutrzejszym spotkaniem.

Kazał się zawieźć na Fleet Street. W małym, niepozornym i bardzo starym domu mieściło się tu wydawnictwo „Commercial News", organ wielkiej finansjery City. Paweł zażądał kompletu dziennika z całego ubiegłego tygodnia i przewertował dokładnie tabelę cen przetworów kauczukowych. Z małej wzmianki informacyjnej można było wywnioskować, iż dość ostre wahania cen są wynikiem konkurencyjnej walki dwóch wielkich koncernów.

W grę wchodzili tu zarówno producenci, jak i towarzystwa handlowe, przesadnie rozbudowane w latach największego powodzenia, a nieumiejące obecnie skurczyć swych ram w złej koniunkturze. Jedno było pewne: konsumpcja kauczuku malała w bardzo szybkim tempie.

Głównym winowajcą tego stanu rzeczy był przemysł samochodowy. Jego monstrualny rozwój zasugestionował[67] producentów kauczuku i ci włożyli olbrzymie kapitały w powiększenie terenów eksploatacyjnych. Inwestowali miliony w zasadzenie tysięcy hektarów drzewem kauczukowym, w budowę składów przeładunkowych, kolejek dowozowych, portów rzecznych i taboru do przewożenia surowca wodą i lądem.

Tymczasem w obliczu kryzysu przemysł samochodowy z dnia na dzień zmniejszył swoją produkcję o połowę. W ten sposób główny odbiorca niespodziewanie podciął egzystencję dostawcy.

Przemysł kauczukowy, znacznie cięższy, nie był w stanie szybko pójść tą drogą i wytworzyła się sytuacja nad wyraz ryzykowna: beznadziejne wysiłki znalezienia odbiorców z jednej strony, a z drugiej obrona przed obniżeniem cen. Szeroko zakrojona kampania przeciw fabrykom samochodowym o takie obniżenie cen auta, by konsumpcję utrzymać na dotychczasowym poziomie, nie dała pożądanych wyników.

[66] *kordialnie* (z łac.) — serdecznie. [przypis edytorski]

[67] *zasugestionować* — dziś: sugerować. [przypis edytorski]

Słowem, Paweł zdawał sobie już dokładnie sprawę, że jego zjawienie się na rynku z surowcem czterokrotnie tańszym byłoby bezapelacyjnie ciosem morderczym dla wszystkich kauczukowców. Że i samemu kauczukowi poważnie groziło, nie martwiło to Pawła. Po pierwsze nie zależało mu na nim obecnie, a po wtóre cena czterokrotnie niższa otwierała całkiem nowe upusty konsumpcji.

W każdym razie ludzie, z którymi miał mieć do czynienia, zarówno prezes Brighton, jak i sam William Willis, nie przedstawiali groźnych bóstw i wszechwładnych panów, lecz raczej wielkie okręty, osiadające na mieliźnie i wołające o ratunek.

To przede wszystkim należało wziąć pod uwagę.

W grubej księdze adresowej Paweł bez trudu znalazł adresy biur tych agentów handlowych i maklerów giełdowych, którzy pracowali w kauczuku.

W szeregu nazwisk uwagę jego zatrzymało nazwisko Isaaksona, którego biuro mieściło się przy Charing Cross Road. Wynotował je sobie, sprawdził telefonicznie, czy zastanie agenta, i w pół godziny później był już w jego małym i ciemnym biurze na trzecim piętrze.

O ile lokal biurowy wywierał raczej wrażenie zaniedbania i ubóstwa, o tyle sam Isaakson wyglądał raczej na zażywnego bankiera. W sali, przedzielonej krzywą drewnianą balustradą, siedziało przy biurkach i maszynach do pisania pięć czy sześć osób. Róg tejże sali, oddzielony drewnianym przepierzeniem z powybijanymi lagrowymi[68] szybami, był siedziskiem samego szefa.

Isaakson, dowiedziawszy się, że jego interesantowi chodzi przede wszystkim o informacje z rynku kauczukowego, ożywił się natychmiast. Na jego okrągłej twarzy zjawił się uprzejmy uśmiech:

— Pan, zdaje się, jest obcokrajowcem? — zapytał. — Rozumiem, że panu trudno będzie zorientować się tu w naszych interesach. Jeżeli jednak pan zamierza nabyć jakieś akcje kauczukowe, załatwimy to w sposób ostrożny i delikatny. Nie mógł pan lepiej trafić niż do mnie. Od piętnastu lat robię w kauczuku i znam wszystko na wylot.

— Jeżeli pan tak dobrze na tym się zna — powiedział Paweł — nie przypuszczam, by miał pan do sprzedania papierów kauczukowych za jednego szylinga[69].

— Dlaczego? — zrobił zdziwioną minę agent.

— Z tej prostej przyczyny, że sprzedałby pan je już dawno bodaj za pół pensa.

Agent skrzywił się i spod oka spojrzał na Pawła:

— Jeżeli pan tak myśli, to co pana obchodzi kauczuk?

— Myślę, *mister* Isaakson, że na bessie[70] można zrobić takie same pieniądze, jak i na hossie[71]. Mam pewne dość duże kombinacje. Jak pan słusznie zauważył, jestem cudzoziemcem i będę potrzebował tu w Londynie kogoś, kto by mi całe tutejsze sprawy załatwiał.

— Przepraszam, a skąd pan jest?

— Z Warszawy. Mieszkam stale w Warszawie.

Twarz agenta rozpromieniła się nagle od ucha do ucha. Zerwał się z miejsca, wyciągnął ręce i zawołał najczystszą polszczyzną:

— Czego ja słyszę? To prawdziwy radość. Niech pan zgadnie, ale co tam zgadnie! My jesteśmy ziemlaki.

Potrząsnął mocno rękę Pawła i widać było, że naprawdę jest wzruszony. Okazało się, iż będąc młodzieńcem wyjechał z Polski i ani razu w niej nie był, ale ma w Warszawie rodzinę, z którą od czasu do czasu koresponduje. Są to bardzo biedni ludzie, mają sklepik łokciowy[72] na Franciszkańskiej i zdaje się im, że jak jaki krewniak mieszka w Londynie, to zaraz musi być milionerem, a tymczasem tu człowiek nieraz przez tydzień biega, lata,

[68] *lagrowe szyby* — wykonane ze szkła białego, lagrowego. [przypis edytorski]

[69] *szyling* — dawna angielska jednostka monetarna. Szyling był równy 1/20 funta i dzielił się na 12 pensów. [przypis edytorski]

[70] *bessa* — długotrwały spadek kursów papierów wartościowych lub cen towarów notowanych na giełdzie. [przypis edytorski]

[71] *hossa* — długotrwały wzrost kursów papierów wartościowych lub cen towarów notowanych na giełdzie. [przypis edytorski]

[72] *sklepik łokciowy* (przestarz.) — sklepik sprzedający tkaniny, wstążki itp. na łokcie, tj. odwijane z beli i przycinane do długości pożądanej przez klienta. [przypis edytorski]

telefonuje, poci się na giełdzie, żeby wyrwać kilka funtów, a życie jest drogie, bardzo drogie, a z kauczukiem kompletny zastój...

Lody były przełamane. Isaakson rozwodził się obszernie na temat ciężkiej sytuacji, wyciągał gazety i z oburzeniem stukał grubym palcem w szpalty[73] drobniutkiego druczku, który zawierał w sobie losy wielu firm, ba, wielu fortun.

Po godzinie Paweł rozstał się z agentem. Na razie wiedział już dość, by móc rozmówić się z Williamem Willisem. Sytuacja wyglądała bardzo dobrze, a wszystko szło tak gładko, że Paweł był przekonany, że z równą łatwością dotrze dziś jeszcze do Williama Willisa.

Miał dlań przygotowany dokument, który musi nawet na tak wielkim producencie opon samochodowych wywrzeć należyte wrażenie. Był to list polskiego Ministerstwa Spraw Wojskowych, upoważniający Pawła do zawarcia umowy na dostawę opon i dętek samochodowych dla armii na przeciąg[74] lat trzech. Dokument sporządzony był w języku francuskim i opatrzony wielkimi pieczęciami i zamaszystymi podpisami. Jedyną jego słabszą stroną było to, że nie był on prawdziwy, ale o tym William Willis wcale nie potrzebował wiedzieć.

W hotelu „Savoy", gdzie Willis zajmował wielki apartament, przyjął Pawła jeden z sekretarzy i z miejsca oświadczył, że o zobaczeniu się z samym *mister* Willisem nie może być mowy. Nie pomogły żadne perswazje i żadne argumenty. *Mister* Willis ma każdą minutę wyliczoną, a i tak jego pobyt w Londynie przeciągnie się o całych sześć godzin, wskutek czego będzie musiał jechać do Hamburga starym i niewygodnym okrętem.

— A wyjeżdża jutro wieczorem? — zapytał Paweł.

— Tak, ale niech pan nawet nie próbuje spotkać się i rozmówić się z nim w porcie, gdyż przyjedzie przed samym odejściem statku z pewnego oficjalnego przyjęcia. Wszystkie interesy może pan załatwić u naszego londyńskiego przedstawiciela, który ma całkowite pełnomocnictwo.

— Trudno — powiedział Paweł, pożegnał się i wyszedł.

Że spotka i pozna Willisa na obiedzie u Brightona, wiedział o tym dobrze. Natomiast było wysoce wątpliwe, czy na tym przyjęciu uda mu się zamienić z amerykańskim potentatem więcej niż kilka zdawkowych słów.

A rozmówić się z nim musiał, od tej rozmowy bowiem zależało zbyt wiele. Od tej rozmowy zależało, czy wynalazek Ottmana będzie tylko małym i niepewnym źródłem dochodu, czy żyłą, która przyniesie miliony. Zresztą i samo zaproszenie do Brightona nie było tak pewne, jak to początkowo przypuszczał.

Z niepokojem wracał do hotelu. Postanowił sobie, że nawet w wypadku nieotrzymania zaproszenia dowie się o adres wiejskiej posiadłości Brightona i pojedzie tam na siódmą lub ósmą. Jest cudzoziemcem i z powodzeniem może udawać, że nie zauważył takiego drobiazgu, jak zaproszenie bez podania adresu.

Obawy jednak były niesłuszne. W hotelu dowiedział się, iż Brighton polecił widocznie któremuś ze swych urzędników rzucić kartę, gdyż znalazł ją w swojej skrzynce wraz z listem, zapraszającym do Maring Hill pod Eton[75].

Przyszło kilka listów z kraju. Holder donosił, iż wszystko jest w porządku, załączył też listę kilkudziesięciu osób, które w tym czasie chciały się z Pawłem widzieć.

Od Krzysztofa nie było ani jednego słowa i Paweł pomyślał, że to zupełnie leży w naturze tej dziewczyny. Nigdy się nie narzuca. W gruncie rzeczy brak listu sprawił mu przykrość. Było to bardzo ładnie z jej strony, że nawet nie zapytała Pawła o cel podróży. Może jednak i naprawdę zupełnie się tym nie interesuje... Albo zadowalnia się[76] pisaniem swoich egzaltowanych, tragicznych listów, z góry przeznaczonych na niewysłanie.

Sięgnął do stojącego na biurku pudła i położył przed sobą arkusz papieru i kopertę. Długo rozkręcał wieczne pióro, lecz w końcu schował je do kieszeni i zszedł na obiad do sali restauracyjnej. Po drodze zatrzymał się przed portierem:

---

[73]*szpalty* — strony gazety a. książki z wydrukowanym tekstem; *szpalta* (druk.): pewna liczba wierszy druku tworząca pionowy pas, łam; [przypis edytorski]

[74]*na przeciąg trzech lat* — dziś popr.: na okres trzech lat. [przypis edytorski]

[75]*Eton* — angielskie miasteczko nad Tamizą, na zachód od Londynu; znane głównie jako siedziba *Eton College*, elitarnej internatowej szkoły męskiej. [przypis edytorski]

[76]*zadowalniać się* (daw.) — zadowalać się. [przypis edytorski]

— Jutro wieczorem — powiedział — wyjeżdżam na krótko do Hamburga. Numer[77] zatrzymuję. Muszę jechać okrętem, który odpływa jutro wieczorem między godziną dziesiątą a dwunastą lub może trochę później. Proszę wyszukać mi ścisłą godzinę odjazdu i kupić bilet pierwszej klasy.

W godzinę później, gdy Paweł wracał do siebie, portier oświadczył, iż rzecz załatwiona. Niestety jest to okręt posiadający tylko dwie kabiny pierwszej klasy i obie już sprzedane. Wobec tego portier zamówił kabinę drugiej klasy. Odjazd okrętu nastąpi punktualnie o godzinie dwunastej minut czterdzieści od przystani w Greenwich Pier[78].

Wieczór spędził Paweł na studiowaniu zebranych materiałów, a nazajutrz całe przedpołudnie na zbieraniu nowych. Widział się też z Isaaksonem i kierując się jego wskazówkami, zawarł znajomość z kilku ludźmi pomniejszych interesów w branży kauczukowej.

Wszystkie rozmowy i zabiegi dotyczące przyszłej działalności Centrali Eksportowej musiał odłożyć na później. Po przejrzeniu rozkładów jazdy i kursów okrętowych stwierdził, że w dwie godziny po przybyciu do Hamburga będzie miał powrotny okręt do Londynu. Nie zatrzyma się tu dłużej i wprost z portu pojedzie na dworzec kolejowy. Trzeba tylko już teraz kupić miejsce w wagonie sypialnym do Manchesteru.

Nie liczył zbytnio na bank „Lloyd and Bower", lecz w każdym razie zanim zacząłby zabiegać o kredyty w bankach londyńskich, sam rozsądek wskazywał zwrócenie się do banku, z którym ojciec znajdował się w stosunkach finansowych i który do samego nazwiska Dalczów musi mieć zaufanie.

Gdy zajechało eleganckie torpedo[79] hotelowe, wszystko już było gotowe. Paweł zajął miejsce obok szofera i auto ruszyło. Pomimo szybkiej jazdy upłynęło ponad trzy kwadranse, zanim zaczęły się przerzedzać ulice i rozpływać w zielonej przestrzeni.

Wreszcie wyciągnęła się pod kołami samochodu równa jak stół, lśniąca asfaltowa szosa, przecięta przez środek białą linią. Po obu stronach, odgrodzone półmetrowej wysokości kamiennym murkiem, rozciągały się nieprawdopodobnie zielone otwarte przestrzenie, parki o od wieków pielęgnowanych trawnikach, z rzadkimi kępami drzew i krzewów. Tu i ówdzie mijali farmy, tu i ówdzie dostrzegali pasące się jelenie i sarny. Z rzadka tylko mignął gdzieś kawałek użytkowej uprawnej ziemi. Bogactwo

Jak okiem sięgnąć wszystko tu było poddane gorliwej opiece ludzkiej, pracującej dla zachowania piękności krajobrazu i niepokalanej estetyki każdego szczegółu.

„Może sobie Anglia pozwolić na luksus niekorzystania z tego, co może dać ziemia" — myślał Paweł. „Przecie trzy piąte świata składa haracz swych bogactw i swego trudu na utrzymanie tych parków".

Przejeżdżali przez gęsto rozsypane wsie i miasteczka, przypominające raczej szykowne willowe osady niż skupiska domów zamieszkałych przez chłopów i drobne mieszczaństwo. Tooting, Merton, Kingston, wspaniały ogrom parków Hampton Court, Staines i oto spośród gajów wyrastające wzgórze Windsoru[80], ukoronowane masywnymi basztami starego królewskiego zamku. Wśród rozgałęzień asfaltowych szos wielka, szeroka, żółta wstęga, spływająca od wrót zamku w zielone niziny.

Szofer snadź[81] zauważył obejrzenie się Pawła w tę stronę, gdyż powiedział:

— Ta droga jest zamknięta dla pojazdów mechanicznych. Używana jest tylko raz do roku, kiedy król jedzie na otwarcie wyścigów.

Droga do Eton przebiegała tuż koło potężnych murów Windsoru, spadała w kilka głębokich siodeł pagórków i wciskała się w wąskie uliczki między gmachy starego kolegium. Tuż za Eton skręcała w prawo.

— Oto i Maring Hill — powiedział szofer, wskazując ruchem głowy szeroki, płaski budynek, niemal zupełnie zakryty drzewami na pobliskim wzgórzu.

Był to stary dom z końca osiemnastego wieku, odziedziczony lub prawdopodobnie nabyty przez prezesa Brightona. Niżej stały czworobokiem zabudowania gospodarskie,

[77] *numer* — tu: pokój hotelowy. [przypis edytorski]

[78] *Greenwich Pier* (ang.: Przystań Greenwich) — przystań na Tamizie w londyńskiej dzielnicy Greenwich. [przypis edytorski]

[79] *torpedo* — dawny typ samochodu o wydłużonym nadwoziu, popularny od pocz. XX w. do połowy lat 30. [przypis edytorski]

[80] *Windsor* — ang. miasto na zach. od Londynu, słynne z Zamku Windsor, głównej rezydencji królów Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

[81] *snadź* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

stajnie i garaże, z lewej rozciągało się pole golfowe. Za domem oczywiście musiał być kort tenisowy.

Wbrew zapowiedziom gospodarza o skromnym przyjęciu Paweł zastał już w hallu kilkanaście osób. Panowie prawie wszyscy już po pięćdziesiątce i również przeważnie starsze panie w jasnych wieczorowych sukniach rozmawiali grupkami w hallu i w przyległych pokojach.

Pan Brighton przedstawił Pawła żonie, bardzo wysokiej siwej damie o manierach królowej, z resztą towarzystwa nowo przybyły wymienił sakramentalne[82] sztywne skinięcie głowy.

Zapalono już światło, gdy przybył William Willis.

Był to jeszcze młody człowiek o różowej, szeroko uśmiechniętej twarzy, z kopą[83] źle uczesanych blond włosów na stożkowatej głowie. Wyglądał na pomocnika aptekarskiego z małego miasteczka, przy czym frak, sztywny gors[84] i wysoki kołnierzyk najwidoczniej bardzo mu przeszkadzały, gdyż ustawicznie wykonywał łopatkami niecierpliwe ruchy i zanurzał dwa lub trzy palce w czeluść między kołnierzykiem a szyją, przy czym wykrzywiał twarz i śmiał się krótkim, głośnym śmiechem.

Na tle arcypoprawnych panów i wytwornych pań postać ta musiała wzbudzić zdumienie. Na niczyjej twarzy nie dostrzegł jednak Paweł ani jednego drgnięcia, które by świadczyło, że jej właściciel trzęsie się wewnątrz ze śmiechu lub z oburzenia.

Jak było do przewidzenia, Brighton na jeden moment nie opuszczał Amerykanina i Paweł dość ryzykownie zbliżył się do nich, udając, że nie widzi manewru gospodarza, usiłującego zasłonić sobą cennego gościa.

— Bardzo żałuję — odezwał się Paweł — że nie będę mógł skorzystać ze spotkania pana w Londynie, *mister* Willis, gdyż bardzo chciałbym z panem pomówić o różnych interesach dotyczących wschodniej Europy, lecz właśnie gdy dowiedziałem się o pańskim pobycie w Anglii, interesy wzywają mnie do Hamburga.

— Ach, do Hamburga? — zdziwił się Amerykanin.

— Tak. Jadę tam na kilka dni, zanim zaś wrócę, już pan oczywiście odjedzie do Ameryki.

Brighton spojrzał na Pawła przeszywającym wzrokiem, przygryzł usta i nic nie odpowiedział.

— A kiedy pan jedzie? — zapytał Willis.

— Dziś wieczorem, niestety.

— Jeżeli statkiem „Corona", to, do licha, jedziemy razem!

— Nie wiem, jak się ten okręt nazywa — odpowiedział Paweł. — Odchodzi z Greenwich Pier o dwunastej czterdzieści.

— To świetnie! Zatem będziemy mieli dość czasu...

W tejże chwili stanął przy nich lokaj z tacą i pani domu, która widocznie dostrzegła wreszcie znaki dawane jej przez męża i przybyła z odsieczą. Zabrała też Pawła i wyholowała go na środek hallu.

Roznoszono cocktaile i przekąski. Paweł zaczął rozmowę z kilku luźnie stojącymi panami w ten sposób, że ściągnął ich w jedną grupę. Rozmowa dotyczyła oczywiście kauczuku. Wśród wielu nic nieznaczących frazesów jeden z panów powiedział lekko:

— Wszystko polega na solidarności. Nie wiem, czy Brighton potrafi o tym przekonać, kogo należy...

Otworzono drzwi do jadalni. Paweł otrzymał miejsce między chudym staruszkiem i jakąś damą o zielono-rudych włosach. Początkowo próbował ją bawić, lecz gdy po każdym jego odezwaniu się z niezmienną miną powtarzała identyczne „*es!?*", dał spokój.

Przy stole mówiono o interesach. Willis jadł szybko i żarłocznie, siedzący obok niego Brighton prawie wcale nie tknął talerza i wciąż klarował coś półgłosem sąsiadowi, na co Amerykanin odpowiadał pełnymi ustami, uzupełniając zniekształcone dźwięki „*yes*" potwierdzającym mruganiem swych nieco wyłupiastych oczu.

Oczywiście Brighton pracował nad utwierdzeniem Amerykanina w owej solidarności, o której mówił tamten jegomość w hallu. Solidarność ta mogła dotyczyć różnych rzeczy,

[82] *sakramentalny* — uświęcony zwyczajem, tradycją. [przypis edytorski]
[83] *kopa* — sterta siana, słomy itp. [przypis edytorski]
[84] *gors* — przednia część koszuli, zwł. męskiej. [przypis edytorski]

lecz Paweł był dość już obeznany z sytuacją na rynku kauczukowym, by wiedzieć, że chodzi o solidarność w niesprzedawaniu akcji kauczukowych.

Prawdopodobnie Brighton i oni tu wszyscy mają swoje kapitały zaangażowane w tych akcjach i gdyby Willis rzucił na giełdę swoje, powstałaby panika, a kursy spadłyby na łeb na szyję. Spodziewano się jednak widocznie jakiegoś ratunku, gdyż dotychczas dotrzymywano solidarności, a z miny Willisa można było wnioskować, że i on też jest przekonany.

W trakcie obiadu wzywano Willisa do telefonu dwa razy i podano mu jakąś bardzo długą depeszę. Wiadomości nie musiały być jednak przykre, gdyż na tak żywej twarzy, jak jego, niezadowolenie odbiłoby się na pewno. W każdym razie ostatni telefon sprawił to, że Amerykanin odjechał jeszcze przed zakończeniem obiadu, hałaśliwie przepraszając jedną z pań, którą przez pomyłkę wziął za panią domu.

Czarną kawę podano na tarasie. Brighton zbliżył się do Pawła i zaproponował mu przechadzkę. Po kilku ogólnikowych zdaniach zapytał wręcz:

— Czy zamierza pan pertraktować z Willisem o sprzedaż swego wynalazku?

— Czy robię na panu wrażenie człowieka grającego na dwa fronty? — odpowiedział pytaniem Paweł.

Brighton zmieszał się i bąknął niewyraźnie:

— Daruje pan, ale ten... zbieg okoliczności, że jedzie pan właśnie do Hamburga...

— W Hamburgu odbywa się zjazd kartelu[85] stalowego i niespodziewanie zostałem tam wezwany w związku z moim stanowiskiem w przemyśle metalurgicznym.

— Ale zechce pan wybaczyć, nie ośmieliłbym się prosić o wyjaśnienie. Zresztą to nie dotyczy interesującej nas sprawy. Otóż w zasadzie przyjmuję pańską propozycję. Przykro mi, że obecna sytuacja wyklucza możność natychmiastowej realizacji wynalazku. Sam pan to przyzna. Lecz różnica kilku miesięcy wyjdzie sprawie na lepsze. Jestem przeciwnikiem amerykańskiej gorączkowości w tych rzeczach. Jakie pańskim zdaniem kapitały potrzebne są na to przedsięwzięcie?

— Ze względu na wyjątkową taniość produkcji i surowca sądzę, że z dziesięcioma milionami dolarów można by rzecz rozpocząć od razu na większą skalę. Biorę pod uwagę uruchomienie trzech fabryk w Polsce i po jednej w Szwecji i Norwegii. W przyszłości główny ośrodek musiałby być w Kanadzie. Kanadyjska terpentyna kalkuluje się bowiem prawie o trzy procent taniej od polskiej, a o cztery i pół od skandynawskiej.

Przystąpili do omówienia szczegółów kalkulacji. Paweł jednak, pomimo znacznego wyrobienia i opanowania kontrahenta, nie dał się zwieść. Widział jasno, że Brightonowi zależy wyłącznie na przeciągnięciu sprawy. Było faktem, że człowiek ten myśli tylko o ratowaniu swoich interesów, w które jest uwikłany po uszy, nie zaś o robieniu nowych.

Tym bardziej Paweł udawał dobrą wiarę i gdy przeszli do gabinetu, bez namysłu położył swoją parafę[86] pod ogólnikową umowę, jaką spisali. Brighton zobowiązał się w niej do sfinansowania kauczuku syntetycznego, Paweł zaś do powstrzymania się od szukania innych wspólników, do ostatniego dnia bieżącego roku.

Umowa taka w gruncie rzeczy nic nie znaczyła i nikogo nie wiązała. Rozumieli to obaj, z tą różnicą, że Brighton był przekonany, że Paweł tego nie widzi. Dlatego też zgodził się prawie bez opozycji na otwarcie w swoim banku kredytu w wysokości pół miliona dolarów na wstępne prace przy realizacji wynalazku, oczywiście z tym, że o uruchomieniu tego kredytu musiał decydować Brighton.

To również nie zobowiązało Brightona do niczego, Pawłowi zaś dawało do ręki list banku, stwierdzający, iż na jego nazwisko otwarty został kredyt na sumę tak poważną. Tego rodzaju list z takiego banku, jak Bank Szkocki, nie był do pogardzenia.

Ponieważ Paweł z Hamburga miał jechać do Manchesteru, poprosił Brightona, by list ten tam mu wprost wysłano na adres dyrekcji banku „Lloyd and Bower", z którym od dawna prowadzi interesy. Rozstali się z tym, że wracając do kraju Paweł zatrzyma się w Londynie dla przeprowadzenia dalszych pertraktacji.

Szofer musiał wyciągać dobre sto kilometrów na godzinę, by zdążyć do Greenwich Pier na odejście okrętu. Pomimo późnego wieczoru spotykali bardzo wiele samochodów i Pawła zastanowiło to, że szofer podczas mijania innych wozów w największej szybkości

[85] *kartel* (ekon.) — porozumienie wielkich przedsiębiorstw określonej gałęzi przemysłu mające na celu zmonopolizowanie rynku. [przypis edytorski]

[86] *parafa* — skrócona forma podpisu. [przypis edytorski]

nie zjeżdżał ani o ćwierć milimetra i że kierowcy innych wozów postępowali tak samo, dzięki czemu auta w szalonym pędzie mijały się na samym środku szosy tak, że zdawało się, iż otrą się o siebie bokami.

— To nie brawura, proszę pana — odpowiedział zagadnięty o to szofer — po prostu zaufanie. Ja wierzę, że tamten drugi umie tak samo prowadzić samochód, jak i ja, a on wierzy, że ja też umiem. Gdyby człowiek do człowieka nie miał zaufania, trzeba byłoby jeździć z szybkością dyliżansu, a i w ogóle nie można by żyć. Kto mi zaręczy, że zwrotniczy dobrze nastawi zwrotnicę, że sternik nie wpakuje okrętu na mieliznę, że architekt mocno zbudował dom?

Paweł zamyślił się.

Któż lepiej i gruntowniej niż on sam poznał wartość zaufania, potężnego elementu psychiki ludzkiej, na którym opierał całą swoją życiową filozofię, całą swoją karierę. Świat chce wierzyć za wszelką cenę, chce być bodaj oszukiwany, lecz wierzyć musi...

„Corona" gotowała się do odjazdu. Z jej kominów szły w górę ciężkie kłęby czarnego dymu. Na pokładzie tłoczyli się pasażerowie. Był to nieduży okręt towarowo-pasażerski około ośmiu tysięcy ton, utrzymany jednak niezwykle czysto i o dość wygodnych kabinach. Od stewarda[87] dowiedział się Paweł, że *mister* Willis już jest na pokładzie. Właśnie w swojej kabinie dyktuje coś sekretarzowi.

Rozległy się trzy ryknięcia syreny okrętowej i statek drgnął. To holownik naciągnął liny. Paweł przeszedł na dziób i oparł się o burtę. Mały, płaski jak kalosz holownik pruł czarną wodę Tamizy, za nim majestatycznie posuwała się „Corona". Po obu stronach rzeki iskrzyły się tysiącami świateł latarnie składów i warsztatów portowych, stentorowym[88] głosem warczały motory fabryk.

W odległości kilku kroków stała przy burcie jakaś parka i trzymała się za ręce. Po chwili ona wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Paweł chrząknął, lecz nie zwrócili na to uwagi. Wzruszył ramionami i poszedł do swojej kabiny. Nie wiadomo dlaczego przyszło mu na myśl, że mógłby przed wyjazdem z Warszawy poprosić Krzysztofa o jego fotografię, co oczywiście byłoby bardzo głupie. Od początku świata jakiś on ściska i obmacuje jakąś oną i każdemu się zdaje, że w tym tkwi sens życia i że on właśnie zrobił to odkrycie. Ona zaś wówczas nic nie myśli, bo jej w ogóle na myślenie nie stać. Oto zabawa w szczęście królów stworzenia!... Miłość

Zaczęły pracować maszyny okrętu, wprawiając kadłub w ledwie uchwytne drżenie, a w chwilę potem wszystko zaczęło się kołysać. Statek wypływał na morze. Paweł zatrzasnął drzwi kabiny, przeszedł przez palarnię i zapukał do kajuty Willisa.

Amerykanin w różowej jedwabnej pidżamie leżał na kanapie. Był sam.

— A, witam pana! — zawołał. — Ci Anglicy są okropnie męczący. Jeżeli nie chce pan spać, moglibyśmy teraz sobie pogadać. Tylko zadzwonię na stewarda, by nam przyniósł ginu i lodu.

ROZDZIAŁ III

Podczas pogrzebu, w chwili gdy trumnę postawiono na odsuniętej płycie grobowca, pani Teresa zemdlała. Krzysztof i kilku najbliżej stojących panów wzięli ją na ręce i odnieśli do samochodu. Wśród ogólnej ciszy, gdy się oddalili, dobiegł ich uszu dźwięk pierwszych słów mowy pogrzebowej, którymi senior przemysłu warszawskiego, pan Ludwik Kern, żegnał zwłoki prezesa Karola Dalcza, człowieka kryształowej duszy i nieugiętego charakteru.

Lekko szumiały wierzchołki gęstych, pełnych liści drzew, skądś z boku ćwierkał jakiś ptaszek. Ostrożny, przyśpieszony tupot nóg mężczyzn niosących matkę oprzytomnił Krzysztofa; spostrzegł, że niepotrzebnie ściska chudą rękę zemdlonej i tylko przeszkadza innym. Do samochodu ktoś przyniósł szklankę zimnej wody, tak zimnej, że szkło było pokryte matowym osadem kropelek. Dokoła zebrał się tłum gapiów. Ktoś tuż przy Krzysztofie powiedział:

— Wdowa zemdlała...

[87] *steward* — pracownik obsługujący pasażerów na pokładzie statku a. samolotu. [przypis edytorski]
[88] *stentorowy głos* — głos gromki, donośny jak głos Stentora, herolda opisanego w *Iliadzie*. [przypis edytorski]

Wreszcie matka otworzyła oczy i zaraz chciała wracać na cmentarz, lecz lekarz stanowczo zaoponował. Wycieńczenie i osłabienie pani Teresy wymagało natychmiastowego odwiezienia jej do domu. Ponieważ zaś nie chciała, by Krzysztof odjeżdżał z Powązek przed zamknięciem grobu, posłano po Blumkiewicza, który pozostał na cmentarzu. Tymczasem jednak przyszła Nita i natychmiast zaofiarowała się:

— Niech wuj pozwoli, ja odwiozę panią Teresę. Może wuj być spokojny.

Nie czekając na odpowiedź, zatrzasnęła drzwiczki samochodu i kazała szoferowi jechać.

— Powinien pan — zwrócił się lekarz do Krzysztofa — namówić matkę, by zaraz wyjechała na dłuższy odpoczynek.

— Może doktor to potrafi zrobić. Matka mówiła mi wczoraj, że jej pragnieniem jest jak najprędzej umrzeć, a ostatnie chwile życia spędzić w klasztorze. Widziałem nawet listy, które pisała do jakiegoś klasztoru w Krakowie. Chce tam zamieszkać.

— To nawet nie byłoby złe — po chwili namysłu powiedział lekarz.

Umilkli, gdyż właśnie zbliżali się do grobu. Na szerokich parcianych pasach spuszczono trumnę. Tłum rozstępował się przed Krzysztofem. Właśnie wśród żałobnych śpiewów ksiądz rzucił grudkę ziemi do dołu i oczy wszystkich zwróciły się na Krzysztofa. Minęła dłuższa chwila, zanim spostrzegł się, że i on to powinien teraz zrobić.

Później zasunięto ciężką, kamienną pokrywę. Zbliżali się ludzie i ściskali jego rękę z wyrazem konwencjonalnego współczucia i zaciekawionego smutku na twarzy. Później podszedł Blumkiewicz i prosił, by Krzysztof wracał do domu. Wszystkie formalności już on tu załatwi. Krzysztof skinął głową i wolnym krokiem poszedł przed siebie.

Dopiero po chwili zorientował się, że nie idzie w kierunku bramy, lecz w głąb cmentarza.

Cicho tu było, jasno i pogodnie. W powietrzu pachniało rozgrzaną zielenią. Krzysztof usiadł na ławce.

Usiłował uprzytomnić sobie ważność tego, co się stało, usiłował odnaleźć w sobie żal i smutek, lecz zamiast tego dostrzegł jedynie kształt drzew, połyski na czarnym granicie pomników, grę cieni na żwirze alejki. No i swoje myśli. Trzeźwe, powolne, wyraziste. Oto został sam. Od dnia śmierci ojca przestał istnieć ich dom, bo czyż można było nazwać domem puste pokoje, gdzie nawet zegarów od dawna nikt nie nakręcał, gdzie nagle urwała się jakakolwiek łączność między mieszkańcami? Matka, spędzająca dni na klęczkach, gdy podnosiła oczy, patrzyła na Krzysztofa jakimś przerażonym wzrokiem, później mówiła bez sensu, ściskając skronie:

— Ty jesteś moim grzechem. Bóg mnie tobą pokarał, a ciebie mną. Moje kochane, moje jedyne dziecko, czy możesz pojąć, jak wielkim przekleństwem może być macierzyństwo. On tam wszystko widzi i ani tobie, ani mnie nigdy nie wybaczy. Boże, bądź mi miłosierny, Boże, bądź mi łaskawy, Boże, ulituj się nad nędzą mojej duszy!...

Wpadała w szloch i znowu godzinami klęczała przed krucyfiksem, wpijając w rozmierzwione włosy swoje długie, chude palce. Innym razem przysięgała, że nie opuści „swego jedynego dzieciątka" za żadne skarby świata, ani nawet za cenę zbawienia, lecz w chwilę potem kajała się za bluźnierstwo i błagała Boga o łaskę spędzenia ostatnich dni życia na Jego służbie.

Po śmierci, która przyszła w niedzielę rano, zwłoki stały przez cztery dni w domu. Czekano na powrót Pawła. Na wysyłane depesze nie nadchodziły jednak odpowiedzi. Dziś właśnie mijał o godzinie siódmej minut piętnaście dwudziesty trzeci dzień jego nieobecności. Tęsknota

Absurdem są wszystkie bajki o telepatii, o tym, że myśl ludzka może dojść do stanu takiego napięcia, że dotrze do świadomości innego człowieka i swoją siłą zmusi jego wolę do ugięcia się, do spełnienia zaklęcia. Gdyby to było prawdą, nie miałby Paweł w ciągu tych dwudziestu trzech dni ani jednej chwili spokoju i musiałby już dawno wrócić, bo nie mogło być na świecie potężniejszych zaklęć i rozpaczliwszych wezwań niż te, którymi go wzywano.

A jednak nie wracał, jednak nie pamiętał.

Nie odezwał się ani jednym słowem. Niczego przecie od niego nie żądano. Byle był tutaj, byle można było nań patrzeć i od czasu do czasu usłyszeć jego głos.

Krzysztof nie wątpił, że zatrzymują Pawła za granicą sprawy wielkiej wagi, że jest w trakcie urzeczywistnienia swoich pomysłów zakrojonych na szeroką skalę, i wiedział,

że nie ma prawa żądać odeń zrzeczenia się ich dla siebie, jak nie ma w ogóle żadnych praw do niego.

Jednak wzywały Pawła i obowiązki. Pomimo wysilonej pracy Krzysztof nie mógł sobie poradzić z kierownictwem fabryki. Paweł zostawił wiele spraw w zawieszeniu i konfiguracjach znanych tylko sobie. Krzysztof raz po raz spotykał się z trudnościami, których pokonać nie mógł, z zobowiązaniami, których celu nie pojmował, gdyż zdawały się grozić fabryce dużymi stratami, jeżeli zaś je pomimo wszystko wykonywał, to tylko dlatego, że niezachwianie wierzył w niezawodne koncepcje Pawła.

Ciężka praca w fabryce i ponure godziny w domu doprowadziły nerwy Krzysztofa do szczytowego rozdrażnienia.

Wyrazem tego było, że nie mógł już znieść nawet towarzystwa Marychny.

Początkowo próbował znaleźć namiastkę przyjemności w rozmowach z nią o Pawle. Ta gęś jednak, widocznie przez jakiś głupi snobizm czy też po prostu przez naiwność, uwzięła się, by o Pawle mówić lekceważąco. Było w tym coś potwornie karykaturalnego. To cielątko o kurzym móżdżku i o urodzie pocztówkowego cherubinka, ośmielające się sięgać swoimi głupiutkimi sądami do takiego człowieka jak Paweł!...

Skończyło się tym, że Krzysztof na czas nieobecności Pawła przeniósł się do jego gabinetu. Marychnę widywał teraz bardzo rzadko. Raz czy dwa widział ją przez okno, jak wychodziła z chemikiem fabrycznym Ottmanem. Nie cierpiał Ottmana nie dlatego, że ten asystował Marychnie i że można było się obawiać wygadania się dziewczyny przed nim, lecz po prostu fizycznie powierzchowność tego ślamazary działała Krzysztofowi na nerwy.

Kiedyś przeglądając listę obecności zwrócił uwagę, że Ottman zaniedbuje swoją pracę w fabryce i że zjawia się zaledwie kilka razy tygodniowo, wpadając na godzinkę lub dwie. To byłoby dostatecznym powodem do wymówienia mu posady. Ponieważ jednak sekretarz Holder zakomunikował Krzysztofowi, iż Paweł wyjeżdżając powierzył Ottmanowi inną pracę na mieście, trzeba było na to machnąć ręką. Krzysztofowi kilka razy wpadła w oczy wiadomość, że Ottman zrobił wynalazek kauczuku syntetycznego i że Paweł ten wynalazek kupił. Zapewne musiał to być dobry interes, skoro się wziął doń Paweł, nie zmieniło to jednak niechętnego poglądu Krzysztofa na chemika.

Jedyną osobą, z którą Krzysztof czuł się dobrze, była Nita Jachimowska. Z nią przynajmniej można było godzinami rozmawiać o Pawle. Godziny takie zdarzały się jednak rzadko.

Słońce wychyliło się zza grubego pnia starej topoli i świeciło teraz wprost w oczy. Krzysztof wstał i obejrzał się. Na chybił trafił poszedł ścieżką w prawo. W pięć minut później odnalazł swój samochód przed bramą i pojechał do fabryki.

Kazał stanąć przed willą. Od służącej dowiedział się, że Blumkiewicz jeszcze nie wrócił i że matka jest na górze razem z panną Jachimowską. Ostrożnie wszedł po schodach. Drzwi do sypialni matki były otwarte. Staruszka klęczała na ziemi, oparta na łokciach o łóżko. O kilka kroków dalej siedziała Nita z jakąś książką w ręku. Podniosła palec do ust, wstała i wyszła do Krzysztofa.

— Usnęła — powiedziała szeptem. — Sama nie wiem, czy ją budzić?

— Nie. Chodźmy. Przyślę tu Karolinę.

— Ale takie klęczenie może pani Teresie zaszkodzić — zauważyła Nita.

— Cóż na to poradzić. Tak przynajmniej śpi i nie może myśleć. To już wielki plus dla niej.

Nita obrzuciła Krzysztofa współczującym wzrokiem.

— Ty, wuju, też powinien byś się przespać. Wyglądasz bardzo mizernie.

— Ach! — machnął ręką Krzysztof. — Mam jeszcze tyle roboty w fabryce. Dziękuję ci bardzo i już nie będę cię zatrzymywał. Odwieziesz mnie przed gmach Zarządu?

— Ależ z przejemnością.

Gdy wsiedli do samochodu, Nita wzięła Krzysztofa za rękę i powiedziała:

— Ciebie, wuju, bardzo dużo kosztowała ta śmierć. Ja nie wiem, jak ci wyrazić to, co dla ciebie czuję... Zapewniam cię, że nie ma na świecie nikogo, komu bym tak dobrze życzyła, jak tobie... Lepiej niż sobie samej...

Krzysztof słyszał te słowa i rozumiał ich treść, lecz nie stać go było na żadną odpowiedź. Cała jego uwaga skoncentrowana była na myśli, że wejdzie za chwilę do gabinetu

i że na biurku znajdzie list albo przynajmniej depeszę od Pawła. Pożegnał się też z Nitą machinalnie i szybko wbiegł na schody. Ktoś go zaczepił w poczekalni, lecz nawet nie dostrzegł, jak wygląda.

— Później, później — powiedział — teraz nie mam czasu...

Na biurku nie było ani listu, ani depeszy. To prawie nieprawdopodobne! Przecie czy w Hamburgu, czy w Manchesterze, czy w Londynie musiała go dojść wiadomość o śmierci i o dacie pogrzebu. A może on jest chory?...

Wyobraźnia szybko podsunęła obraz: biały pokój szpitalny, wąskie łóżko i chuda pożółkła twarz z zamkniętymi powiekami, taka sama, jak wówczas po napadzie...

— Co się z nim dzieje, co się z nim dzieje?...

Krzysztof nacisnął guzik dzwonka i nie doczekawszy się, aż Holder wejdzie, otworzył drzwi do sekretariatu. Holder przygotowywał właśnie korespondencję do podpisu:

— Już idę, panie dyrektorze.

— Czy nie było żadnej wiadomości od pana Pawła?

— Jak dotychczas, żadnej. Mówił mi tylko inżynier Ottman, że spodziewa się powrotu pana Pawła najpóźniej jutro.

— Dobrze. Niech pan daje korespondencję.

Krzysztof wrócił do gabinetu i zaczął podpisywać listy. Później należało przejrzeć biuletyny i zaakceptować raporty, rozmówić się z kierownikiem kalkulacji i wydać dyspozycję do biura technicznego. Należało sporządzić protokoły dla inspektoratu pracy, a przede wszystkim ustalić, czy winowajcą wypadku nie był który z poszkodowanych. Wszystko to załatwiał Krzysztof niemal pedantycznie[89] i z niezmierną energią, gdy jednak został wreszcie sam, bezsilnie opadł na fotel.

— Na miłość boską, co to mnie wszystko obchodzi, co to mnie obchodzi...

Lecz nagle przyszła refleksja: nie tylko kieruje przedsiębiorstwem, które daje mu znaczne dochody, lecz teraz także zastępuje Pawła i musi mu dowieść, że robił wszystko, by nie zawieść jego zaufania. Przecie Paweł wyjeżdżając nie wątpił, że zostawia kierownictwo Zakładów w dobrych rękach. Wiedział, że te ręce są kobiece, lecz wierzył im, pomimo to...

Mimo woli Krzysztof spojrzał na swoje ręce. Wąska, klasyczna dłoń i długie, lekko zaróżowione palce. Wyobraził sobie te palce przesuwające się po włosach i po twarzy Pawła... Czy kiedykolwiek może się to stać rzeczywistością?... Przyszło mu na myśl, że Pawła może zatrzymuje za granicą jakaś inna kobieta. Zaśmiał się:

— Inna? W ogóle kobieta. Czyż ja jestem kobietą, czy Paweł mnie uważa za kobietę? Może właśnie dlatego nie wraca, że brzydzi się moją miłością, że nie chce widzieć moich oczu wpatrzonych w siebie, że narzuciłem się mu, a on nie umie zdobyć się na to, by mnie brutalnie odepchnąć. Czyż jestem kobietą, czy potrafię nią być ja, który nawet mówić o sobie jak o kobiecie nie potrafię. Cóż ja mu mogę dać?...

Zadzwonił telefon. To Blumkiewicz informował Krzysztofa, że wszystko zostało załatwione i że do pani Teresy wezwał znowu lekarza, gdyż ponownie popadła w omdlenie.

— Dobrze. Zaraz przyjdę — zmęczonym głosem odpowiedział Krzysztof i położył słuchawkę.

W poczekalni zastąpił mu drogę ten sam młody robotnik, którego wpierw ledwie zauważył.

— Panie dyrektorze, ja muszę z panem się rozmówić...

— Teraz nie mam czasu — niecierpliwie odpowiedział Krzysztof. — Niech pan przyjdzie jutro po południu.

Zrobił krok naprzód, lecz robotnik zasłonił sobą drzwi:

— Jutro to już ja pójdę gdzie indziej, panie dyrektorze. Ja dość mam tego...

Krzysztof odstąpił zdumiony. Nigdy dotychczas żaden z robotników nie odzywał się doń w sposób tak prowokacyjny. Dopiero teraz przyjrzał się natrętowi: szczupły brunet o ponurym wyrazie twarzy, ubrany odświętnie, z melonikiem w ręku.

— Czego pan sobie życzy?

— Czego sobie życzę?... — uśmiechnął się ironicznie. — Ano, pan dyrektor mnie nie zna? Nazywam się Feliksiak.

[89] *pedantycznie* — skrupulatnie, bardzo dokładnie. [przypis edytorski]

— I cóż z tego? — niecierpliwie zapytał Krzysztof. Nazwisko mu nic nie mówiło.

— Niby pan nie wie? — natarczywie spojrzał nań robotnik. — Jak pan nie wie, to mogę panu powiedzieć, tylko nie będziemy tu z panem dyrektorem na korytarzu gadać.

Bardziej zaintrygowany niż zaniepokojony Krzysztof skinął głową i wszedł z powrotem do gabinetu. Pomimo wojowniczej, a nawet groźnej postawy Feliksiaka nie bał się go wcale. Przez chwilę pomyślał, iż dobrze byłoby stanąć tak, by w razie czego móc dosięgnąć ręką do dzwonka, lecz zreflektował siebie bardzo szybko.

— Więc mówcie — odezwał się niecierpliwie. — Bardzo się śpieszę.

— Nazywam się Feliksiak — cicho odpowiedział robotnik. — To ja służyłem za pana w wojsku...

— Aaa... — cofnął się Krzysztof.

— Teraz, kiedy ojciec pana dyrektora nie żyje, ja już dłużej zwodzić się nie dam. Obiecanki cacanki, a głupim nie jestem i na dudka nie dam się wystrychnąć.

— Kto chce was wystrychnąć na dudka? Przecie za służbę wojskową otrzymaliście pieniądze i dożywotnią pracę w fabryce?

— Właśnie, że pracy nie. Zwolnili mnie. Chodziłem do pana naczelnego dyrektora i ten kazał, żeby mi wypłacać tygodniówkę bez żadnej pracy, a ja tak za darmo nie chcę.

Krzysztof zapalił papierosa i usiadł. Nie wiedział, za co wydalono Feliksiaka, domyślał się jednak, że Paweł musiał o wszystkim wiedzieć, skoro wydał polecenie wypłacania tygodniówki.

— Chcecie zatem, by was przyjęto do pracy?... Dobrze. Jesteście ślusarzem, nieprawdaż?

— Ślusarzem — niezdecydowanie potwierdził Feliksiak.

Krzysztof bez namysłu przysunął bloczek, napisał kilka słów, wyrwał kartkę i położył przed Feliksiakiem:

— Zgłosicie się z tym jutro do inżyniera Zaleskiego i będziecie przyjęci do narzędziowni.

Feliksiak obrzucił kartkę niechętnym spojrzeniem, milczał chwilę, wreszcie wzruszył ramionami i patrząc w kąt pokoju, powiedział:

— Ja tam nie chcę. Panu dyrektorowi zdaje się, że jak kto urodził się robociarzem, to już żadnej dumy nie posiada, żeby do czego wyższego dojść. Służyłem za pana w wojsku, nielegalność zrobiłem, mnie za to mogą wsadzić do kryminału i ja ryzykować nie myślę... Za takie rzeczy to grubo trzeba płacić...

Krzysztof zmarszczył brwi:

— Toteż i płaci się wam.

— Jaka tam zapłata. Tyle to ja sam potrafię zarobić, ułomkiem żadnym nie jestem ani inwalidą. A całe moje ryzyko to panu za darmo wypada.

— W takim razie — Krzysztof nerwowo zacisnął palce — nie pracujcie. Będziecie zarabiali pieniądze bez pracy.

Feliksiak kręcił w ręku melonik i patrzył ponuro w ziemię. Na jego bladym czole nabiegły gęstą siecią niebieskie żyłki:

— A ja panu dyrektorowi powiem tak: łaski nie potrzebuję i wiem, co mi się należy. Jak żebrak nie będę do kasy przychodzić po pieniądze. Na żadne targi mnie pan nie weźmie. Albo da mnie pan sto tysięcy, ale gotówką na stół, albo idę do policji. Ja przepadnę, ale i pan przepadnie. Po mnie to niewielka strata, ale jak takiego burżuja, jak pan, zamkną do kryminału, to nie byle co. Powiedziałem: sto tysięcy na stół i fertig[90].

Krzysztof zerwał się z miejsca. Ogarnęło go oburzenie, które zacisnęło krtań:

— To szantaż! — zasyczał — to łajdacki szantaż!...

Drżały w nim wszystkie fibry[91], nie mógł opanować rąk ani warg, które się trzęsły. Ogarnęło go niesłychane obrzydzenie do samego siebie, obrzydzenie do wszystkiego.

Od chwili gdy jako dwunastoletnie dziecko dowiedział się od rodziców o tym, że ukrywano jego płeć, „bo tak trzeba", nie mógł pogodzić się z tym. Kiedy wreszcie dowiedział się od ojca, że motywem tego oszustwa były pieniądze zmarłego dziadka Wyzbora,

[90] *fertig* (niem.) — gotowe, skończone, załatwione. [przypis edytorski]
[91] *fibry* (daw., z łac.) — włókna, nerwy. [przypis edytorski]

nie umiał znaleźć w sobie przebaczenia dla ojca przez długie lata. Bał się, że go znienawidzi, że znienawidzi matkę, i walka z tą nienawiścią zżerała jego nerwy.

Wówczas widział w tym niskość pobudek, teraz zaś dopiero otworzyło się przed nim całe błoto postępku rodziców. Czuł niemal fizycznie lepki brud otaczający go zewsząd.

Ratować się, ratować się za wszelką cenę. Uciec od tego. Bodaj za cenę życia. Od dawna zdawał sobie sprawę, że jego udziałem jest na świecie tylko nieszczęście, tylko obcość i tylko beznadzieja, lecz teraz oto wciągał go lej gęstego bagna. Brud, ohydny brud.

Stał oparty o biurko i nie czuł bólu w palcach, które wpijały się w drzewo. Krew napływała do czaszki i zdawała się rozsadzać skronie. Nie widział teraz przed sobą ani ścian gabinetu, zawieszonych fotografiami Zakładów Przemysłowych Braci Dalcz, ani stojącego przed biurkiem robotnika. Widział tylko zwiędłe usta ojca, powtarzające: „tak trzeba, tak trzeba, tak trzeba", i przerażone oczy matki, i wstrętne, lepkie błoto, które napływało ze wszystkich stron czarnymi, bulgoczącymi falami...

— Precz! Precz ode mnie! — krzyknął rozdzierającym, rozpaczliwym głosem. — Precz ode mnie! Precz...

Zanim opadł bezsilny na fotel, otworzyły się z impetem jednocześnie drzwi od korytarza i z sekretariatu. Do gabinetu wpadł Holder i dwaj woźni, którzy pierwszym odruchem rzucili się na Feliksiaka. Robotnik zasłonił się rękami.

— Co się stało? — przerażonym głosem zapytał Holder.

Krzysztof przetarł palcami oczy i powtórzył bezdźwięcznym głosem:

— Precz, precz, zabierzcie stąd tego człowieka...

Jeden z woźnych chwycił Feliksiaka za kołnierz i zaczął nim potrząsać z wściekłością.

— Puść mnie! — wyrwał się Feliksiak. — Czy ja co złego zrobiłem?!

— Tak, tak, puśćcie go — powiedział Krzysztof — i zabierzcie stąd. Zostawcie mnie samego.

— Może podać panu dyrektorowi szklankę wody? — zapytał Holder, gdy woźni i Feliksiak znaleźli się za drzwiami.

— Nie, dziękuję panu. — Oparł głowę na rękach i siedział nieruchomy.

— Ten Feliksiak już nieraz nachodził tu pana Pawła... Doprawdy, nie powinien pan dyrektor przejmować się... Zwłaszcza w takim dniu... Ludzie żadnego wyrozumienia nie mają...

Holder przestąpił z nogi na nogę, pozostał jeszcze chwilę, lecz widząc, że Krzysztof nawet nie podnosił nań oczu, skłonił się i wyszedł.

Upłynęło dobre pół godziny, zanim Krzysztof zdołał przezwyciężyć bezwład woli, podnieść się i pójść do domu.

Nie poszedł na górę. Nie mógł teraz widzieć matki. Jej stan nie wywołałby w nim teraz współczucia, nie umiałby zdobyć się na wyrozumiałość.

Ograniczył się do wysłuchania sprawozdania lekarza, nie tknął przygotowanej kolacji i zamknął się w swoim pokoju. Teraz wiedział, że już wszystko skończone.

Jutro z rana Feliksiak złoży doniesienie policji i pozostanie tylko jedno — samobójstwo...

Może to najlepiej, może to i najmądrzej. Na cmentarzu jest tak pogodnie i cicho... i doprawdy nie ma po co upierać się przy życiu, kilka lat dłużej czy krócej... Przy takim życiu, w którym przecie nie zostaje nikt, zupełnie nikt...

W pokoju było zimno. Krzysztof otulił się kołdrą i czuł spływające po twarzy łzy:

— Pawle, Pawle — szeptał, starając się zdusić swój głos i nie dosłyszeć jego brzmienia — Pawle, gdybyś mógł dać mi chociaż odrobinę, chociaż mgnienie szczęścia... O ileż łatwiej wówczas byłoby umrzeć... Nie, to nieprawdopodobne, by powstało jakieś istnienie, którego celem było stać się fragmentem brudu świata, to niemożliwe, by wyzuto je z wszystkich praw człowieka!... Boże! Przecież we wszystkim jest cel i logika. Czyż nie mam nic do spełnienia! Przejść pustką i być pustką, beztreściwym cierpieniem, nienagrodzonym ani jednym promykiem światła... To nieprawda! To niemożliwe!...

Cierpienie

A jednak rzeczywistości nie można było wymazać. Krzysztof nie pamiętał słów Feliksiaka, nie pamiętał nawet kwoty, o jaką mu chodziło, lecz był pewien jednego: za żadne skarby świata nie da się wciągnąć w bagno.

Raczej śmierć. Raczej kula rewolwerowa, która przeszyje mu mózg, przeniknie do centrów życia. Ciało zesztywnieje i zacznie się jego rozkład. Rozsypie się w szary pył, połączy się z ziemią. Nicość. Nicość, która teraz jest jeszcze jędrnym, wysmukłym ciałem dziewczęcym, nienasyconym, głodnym, spragnionym, żywym kłębowiskiem palących uczuć, nie wydobytych porywów...

A jednak musi zobaczyć go bodaj raz jeszcze. Musi raz jeszcze dotknąć jego ręki. Potem niech się dzieje co chce.

Za drzwiami rozległy się ciche kroki i po chwili pukanie do drzwi.

— Krzysiu, dziecko moje — ledwie dolatywał głos — otwórz, to ja...

— Czego mama chce? — po pauzie odezwał się Krzysztof.

— Otwórz, dziecko, proszę cię, zaklinam. — Klamka poruszyła się niecierpliwie.

Krzysztof wstał, odkręcił klucz w zamku i uchylił drzwi:

— Niech mama idzie do łóżka — powiedział w ciemnię, w której nie mógł odróżnić sylwetki pani Teresy.

Jednocześnie uczuł na ręku dotyk dłoni i cofnął się. Opanowała go litość i pogarda. Chciał przytulić matkę i mówić do niej najserdeczniejszymi słowami, lecz równie silnie pragnął rzucić jej w twarz najbardziej haniebne słowa wstrętu i potępienia.

— Dziecko moje jedyne. — W ciemności drobne, zimne ręce odszukały ramię Krzysztofa.

Objął matkę i po omacku doprowadził do łóżka.

— Niech się mama uspokoi — powiedział podrażnionym tonem. — Jest noc. Trzeba spać. Mama jest osłabiona i nie dba o swoje zdrowie.

— Wiedziałam, że nie śpisz, i przyszłam...

— Całkiem niepotrzebnie.

— Musiałam. — Pani Teresa kurczowo chwyciła Krzysztofa za rękę. — Musiałam. Zjawił się Karol — szept staruszki stał się uroczysty. — Zjawił mi się jego duch i powiedział: idź do dziecka swego i ochroń je, bo wisi nad nim nieszczęście.

Zapanowała cisza. Na usta Krzysztofa cisnęły się słowa bezlitosne, chłoszczące, nienawistne. Wstał i zapalił światło:

— Odprowadzę mamę do łóżka. Trzeba spać.

— Ja nie zasnę — potrząsnęła głową pani Teresa.

— Ale ja muszę zasnąć. Ja mam jutro robotę od rana. Może mamę to przekona — szorstko odpowiedział Krzysztof.

Staruszka spojrzała nań przestraszonym, półprzytomnym wzrokiem i nic nie odrzekła. Zaprowadził ją do sypialni, ułożył i wyszedł, lekko trzasnąwszy drzwiami.

Całą noc spędził bezsennie. Przed wschodem słońca wziął zimną kąpiel, ubrał się i z szuflady wydobył mały browning[92]. W magazynie[93] brakowało trzech ładunków[94]. Uzupełnił brak i wsunął broń do kieszeni właśnie w chwili, gdy Karolina przyniosła śniadanie. Wypił herbatę i wyszedł do fabryki. W myśli obliczał, że Feliksiak zrobi doniesienie dopiero około godziny dziesiątej. Jeżeli powie, że uprzedził Krzysztofa o tym, aresztowania można się spodziewać jeszcze dzisiaj.

Warsztaty już były w ruchu. Przechodząc obok hal, widział drżące w biegu pasy transmisji. Wszystkie z niezmordowanym pośpiechem pędziły wciąż w górę... Gdyby obdarzyć je świadomością, wierzyłyby w celowość swego ruchu dla siebie samych. A zerwanie się byłoby dla nich śmiercią. Czymże właściwie jest śmierć, jeżeli nie przerwaniem bezcelowego ruchu?... Każdemu z ludzi zdaje się, że ma on do wypełnienia niesłychanie ważną rolę. Ważną nie dla ogólnego systemu zbiorowego życia, lecz dla siebie. Złudzenie...

Spotykani robotnicy kłaniali się dzisiaj jakoś życzliwiej i serdeczniej. W ten sposób wyrażali mu współczucie z powodu śmierci ojca. W korytarzu panował niezwykły ruch. Z niewiarygodną szybkością przetoczył się główny buchalter[95], jakiś urzędnik wyleciał pędem z sekretariatu, woźny krzyczał coś przez okienko do kasy, na środku Holder i jedna

[92] *browning* — nazwa jednego z wczesnych modeli pistoletów, daw. także ogólne określenie pistoletu, czyli krótkiej, ręcznej samopowtarzalnej broni palnej; od nazwiska wynalazcy, Johna Browninga (1855–1926). [przypis edytorski]

[93] *magazyn* — tu: magazynek pistoletu, wewnętrzny zasobnik na naboje. [przypis edytorski]

[94] *ładunek* (pot., daw.) — nabój broni palnej. [przypis edytorski]

[95] *buchalter* (daw.) — księgowy. [przypis edytorski]

z maszynistek gorączkowo zbierali rozsypane papiery. Na wszystkich twarzach można było od pierwszego rzutu oka odczytać ożywienie, niepokój i jakby radość.

— Co się stało? — zapytał Krzysztof, zatrzymując jednego z woźnych.

— Pan naczelny dyrektor przyjechał, panie dyrektorze!

Krzysztofowi krew uderzyła do głowy. Po prostu stracił przytomność. Nie spostrzegł zdumienia woźnego, nie słyszał nawet własnego głosu. Wiedział tylko, że krzyknął i że się zatoczył. W następnej sekundzie wpadł do gabinetu. Nie mógł złapać oddechu: przy biurku stał Paweł, wysoki, silny, uśmiechnięty. Z jego postaci, spojrzenia, z rysów twarzy zdawało się płynąć coś uspokajającego, pewnego, bezpiecznego.

I nagle Krzysztof poczuł, że jest bezsilny, że nie wie, co ma zrobić. Jakżeby pragnął rzucić się Pawłowi na szyję, znaleźć się pod osłoną jego mocnych rąk, przestać być sobą, po prostu odetchnąć z ulgą, powierzyć mu wszystkie swoje rozpacze, swój los, swoje życie, wszystko... Lecz stał wciąż nieruchomy pod ścianą, a kolana tak mu drżały, że nie mógł zrobić ani jednego kroku.

Paweł podszedł pierwszy i wyciągnął rękę. Krzysztof był zbyt nieprzytomny, zbyt wzruszony, by spostrzec wzruszenie Pawła. Czuł swoją rękę w jego szerokiej dłoni ukrytą, niemal zagubioną.

— Przyjechałeś... — powtarzał — przyjechałeś...

— Nie mogłem wcześniej. Depesza dopędziła mnie w drodze. Miałeś pewno dużo kłopotu z pogrzebem. Jakże się miewa stryjenka?

— Jak to dobrze, że przyjechałeś — powiedział Krzysztof, patrząc mu wciąż w oczy.

Nie myślał teraz, że przyjazd Pawła może mu dopomóc do rozwikłania wielu trudności. Po prostu sama jego obecność sprawiała tak wielką radość, że na jakiekolwiek myśli nie było czasu, nie było miejsca. Paweł był w grubym szarym podróżnym ubraniu. Widocznie wprost z dworca przyjechał do fabryki. Nic się nie zmienił, tylko w jego uśmiechu było jakby więcej swobody i tej wiary w siebie, która zeń tak sugestywnie promieniowała.

— Jakże się miewa twoja matka? — powtórzył Paweł.

— Źle — krótko odpowiedział Krzysztof i posmutniał od razu.

— A czy z mojej kochanej rodzinki był kto na pogrzebie?

— Tak. Wszyscy. Nita nawet odwoziła mamę do domu.

— Cóż, wciąż kocha się w tobie?

Krzysztof wzruszył ramionami:

— Dobrze, że już jesteś. Niektóre rzeczy czekały na twoją decyzję. Na przykład nie wiedziałem, co zrobić z zamówieniem wielkiej tokarni dla Sosnowca...

— Będziemy mieli na to czas — przerwał Paweł. — Ale powiedz mi, moja droga, wspominał mi Holder, że miałaś jakąś przeprawę z Feliksiakiem, co to było?

Krzysztof zbladł i brwi jego ściągnęły się. Odwrócił głowę i powiedział:

— Szantaż.

— To było do przewidzenia. Głupi chłopak. Teraz żałuję, że już wcześniej nie zrobiłem z nim porządku.

— Dlaczego, Pawle, nie wspomniałeś mi ani słowem o tym, że wiesz?... — zapytał z wyrzutem Krzysztof.

— Szkoda, że tak pośpieszył — w zamyśleniu powiedział Paweł. — Ile mu dałaś?

— Nic.

— A ile chciał?

— Chciał sto tysięcy. Kazałem mu wyjść za drzwi. Dzisiaj rano ma złożyć doniesienie policji.

Krzysztof powiedział to, jak mógł najspokojniej, głos jego jednak drżał silnie.

— Nie zrobi tego — z przekonaniem powiedział Paweł. — Zdołałem go o tyle poznać. Wprawdzie jest impulsywny, ale należy do natur słabych. Zresztą jaki miałby w tym interes. Moment zemsty nie wchodzi tu w grę. Po co dobrowolnie miałby się pakować do więzienia? Bardzoś dobrze zrobiła, żeś mu nie dała ani grosza. Na pewno za kilka dni zgłosi się znowu, tym razem z propozycją na mniejszą sumę. Tego typu mydłków[96] znam dobrze. Trzeba tylko dbać o to, by nie popadł w nędzę, a wszystko będzie w porządku.

Podszedł do Krzysztofa, po przyjacielsku objął go za ramię i dodał:

[96] *mydłek* (pot.) — człowiek niepoważny; chłystek. [przypis edytorski]

— Nie zajmuj się tym. I bądź spokojna. Już ja sam to załatwię. Będzie to miłe urozmaicenie w nawale różnych suchych spraw, jakich przywiozłem ze sobą całą furę. Zdaje się, że przywiązywałaś do tego szantażu zbyt wielką wagę.

— Nie — odpowiedział Krzysztof — tylko to jest takie ohydne. Wolałbym, by się to raz skończyło. Dlatego nie chcę, byś ty się tym zajmował. To takie brudy.

Paweł, który właśnie zapalał papierosa, szeroko otworzył oczy, a po sekundzie wybuchnął śmiechem:

— Ależ, moja kochana, nie obawiasz się chyba, że to przyprawi mnie o mdłości!

— Ale obawiam się — Krzysztof odwrócił głowę — że ja będę brudno wyglądał w twych oczach...

— Jesteś przeczulona. Przecie doskonale wiem, że w tym nie ma żadnej twojej winy. Dajmy temu spokój. Będę musiał złożyć wizytę stryjence i będę ci wdzięczny, gdybyś mnie usprawiedliwiła, że nie zrobię tego dzisiaj.

— Ach, to jest w ogóle niepotrzebne — machnął ręką Krzysztof. — Stan mamy jest tego rodzaju...

Zapukano do drzwi. Przyszedł jeden z konstruktorów. W chwilę po nim drugi interesant. Kołowrót codziennych spraw fabrycznych zaczął się obracać.

Krzysztofa wezwano do drugiej hali, gdzie pękła piasta w tokarni. Po obejrzeniu rzeczy na miejscu okazało się, że uszkodzenie da się w ciągu jednego dnia naprawić. Krzysztof był w tak dobrym usposobieniu, że zażartował z zafrasowanych min inżyniera i majstra. Dostrzegł zdziwienie, wywołane tak rzadkim u niego humorem, lecz wprost nie umiał opanować wesołości, niezbyt co prawda odpowiedniej nazajutrz po pogrzebie ojca i w dodatku z okazji dość poważnej straty z powodu pęknięcia owej piasty.

Praca szła mu tego dnia świetnie. Nawet dla Marychny był bardziej uprzejmy niż zwykle i prawie serdeczny. Kilka razy chciał pod jakimkolwiek pretekstem wejść do gabinetu Pawła, lecz nie zrobił tego, widząc, jak bardzo jest zajęty. Zresztą wieczorem miał zdać mu dokładnie sprawę z okresu, w którym go zastępował. Spędzą razem przynajmniej godzinę.

Stało się jednak inaczej.

Jeszcze przed siódmą Paweł miał jakiś ważny telefon z Berlina, w związku z czym musiał natychmiast zabrać się do przygotowania jakiegoś memoriału. Wstąpił do Krzysztofa i przeprosił go, że musi odłożyć rozmowę na jutro, gdyż i tak będzie pracował do północy, by zdążyć przedyktować różne rzeczy przed odejściem pociągu do Berlina.

Kilkakrotnie przechodząc korytarzem, Krzysztof słyszał jego równy, stanowczy głos, dyktujący coś po niemiecku, i szybki nieustający terkot maszyny.

Nieprzespana noc zrobiła swoje. Krzysztof wprawdzie zamierzał przed uśnięciem skończyć czytanie dzieła o organizacji pracy, lecz myśl ani rusz nie dała się przytrzymać w obrębie tematu i zasnął, nie pokonawszy ani jednej kartki.

Nazajutrz obudził się wypoczęty i świeży. Czesząc się przed lustrem, zatrzymał się nagle i przyjrzał się sobie. Wprawdzie nieraz myślał o swojej urodzie, teraz jednak dopiero ogarnęła go obawa: czy w ogóle może podobać się Pawłowi? Zdawał sobie i dawniej sprawę z sympatii, jaką u Pawła się cieszy, lecz nie wiedział, czy ta sympatia nie ogranicza się po prostu do namiastki uczuć rodzinnych lub koleżeńskich.

W każdym razie jedno było uspokajające: Paweł stanowczo nie miał żadnej innej kobiety.

Wprawdzie kontrola jego czasu spędzanego poza fabryką była niepodobieństwem, jednak sądząc z rozmiarów prowadzonych przezeń interesów i z intensywności pracy, można było wywnioskować, że przynajmniej trwałego romansu nie miał żadnego.

Nie był kochliwy, co takim wstrętem uderzało u innych mężczyzn, których Krzysztof spotykał.

Nawet wobec tak uroczej dziewczyny, jak Nita, zachowywał się z jakąś pobłażliwą obojętnością. Właśnie i Nita potwierdziła tę obserwację Krzysztofa. Niesłusznie tylko zarzucała Pawłowi oschłość. Jak w ogóle mogła go sądzić! Dla Krzysztofa nie ulegało wątpliwości, że człowiek ten daleko wyrasta głową ponad przeciętność nie tylko swego środowiska. Porozumiewa się wprawdzie z ludźmi ich językiem, zewnętrznie stara się do nich upodobnić, lecz w głębi swej istoty stanowi wprost inny gatunek.

Od pierwszego spotkania na pogrzebie Wilhelma Dalcza Krzysztof to zrozumiał. Jeżeli kiedyś wyobrażał sobie mężczyznę o nieugiętej sile woli, o niepokonanym umyśle, o wielkiej przeznaczonej mu w świecie roli — musiał on wyglądać tak jak Paweł. Jasne, chłodne spojrzenie, linia czaszki Juliusza Cezara i ta pociągająca brzydota, od której nie można było oczu oderwać, brzydota wielkiego, potężnego zwierzęcia, którego dobroć i szlachetność w jednej chwili zamienić się mogą w miażdżący straszliwy gniew. Nieruchoma cisza oceanu, pod którego milczącą powierzchnią nieustannie nurtują niezbadane prądy, cisza, która wybuchnąć może cyklonem.

Takiego ujrzał go Krzysztof po raz pierwszy i takiego poznawał dzień po dniu w swoich długich rozpamiętywaniach. Nie omylił się w niczym.

Wszystko, cokolwiek Paweł robił od dnia niespodziewanego zjawienia się w Warszawie, poczynając od samowładnego objęcia kierownictwa fabryki, potwierdzało pierwsze wrażenie.

Jakże straszne było to, że wówczas gdy Krzysztof każdym nerwem, każdym fibrem, każdą myślą stanowił już jego własność niepodzielną, niezaprzeczoną, niewolniczą, że wówczas musiał walczyć ze sobą, by na uprzejme dobre słowa odpowiadać szorstką impertynencją, by odgradzać się nią od prawdy, od konieczności wyznania. Jakąż nieprawdopodobną ceną wysiłku trzeba było za to płacić.

Później nieoczekiwanie przyszedł ten moment, kiedy usta same powiedziały wszystko. Był to moment jakby złożenia broni, jakby rezygnacji ze wszystkich swoich praw, jakby zdanie się na łaskę i niełaskę.

I od tego czasu Paweł zmienił się. Był może serdeczniejszy i życzliwszy niż dawniej, lecz Krzysztof nie dostrzegał już w jego oczach tych połysków, które przyprawiały go przedtem o utratę przytomności, które ciągnęły jak przepaść.

I przyszedł jeszcze zawód: Paweł milczał. Milczał o sobie, o swoich pracach, projektach, planach, a przecież, wszystko to najżywiej, najgłębiej mogło obchodzić Krzysztofa. Za żadne skarby nie ujawniłby tego. Nie chciał być intruzem, nie chciałby narzucać swojej pomocy, współpracy lub chociażby tylko życzliwej ciekawości, którą on mógłby wziąć za natręctwo.

Krzysztof doskonale rozumiał, że Paweł nie należy do ludzi, którzy są tak słabi, że swymi radościami i zmartwieniami muszą się z kimś dzielić. Krzysztof wiedział, że człowiek ten stanowi dla siebie całość, zamknięty w sobie wszechświat, lecz jakżeby pragnął mieć do tego wszechświata wstęp on, Krzysztof, dla którego świat powszechny był zamknięty.

Pomimo wielokrotnych postanowień niezrobienia w tym kierunku ani jednego kroku, dwa czy trzy razy od czasu powrotu Pawła z podróży zagranicznej Krzysztof zagadnął go o kilka kwestii, dotyczących powstającej właśnie Centrali Eksportowej. Paweł zresztą sam dał do tego pierwszą sposobność. Pewnego dnia oświadczył wręcz Krzysztofowi:

— Dla uruchomienia Centrali Eksportowej potrzebne mi są jeszcze dość znaczne kapitały. Pragnąłbym się jak najbardziej uniezależnić od rządu. Dlatego zaciągnąłem większą pożyczkę za granicą. To jednak nie wystarcza. W bankach warszawskich mogę otrzymać jeszcze trzy miliony złotych, lecz pożyczkę tę mogę zagwarantować tylko na naszych Zakładach Przemysłowych. Czy zgodzisz się na to?

— Ależ oczywiście. Przecie ty kierujesz naszym przedsiębiorstwem i tylko od twojej woli zależy, jak postąpisz.

— Bardzo ci dziękuję za zaufanie, moja droga, ale w udzieleniu takiej gwarancji jest pewne ryzyko. Centrala Eksportowa prawie żadnego majątku nie posiada, a chociaż jej bankructwo uważam za wykluczone, pewna ostrożność może być wskazana. Dowiódł tego chociażby bank, który żąda, by na zabezpieczeniu obok mego figurował i twój podpis.

Właśnie wracając z banku po załatwieniu tej formalności, rozmawiali o terminie pożyczki, który Krzysztofowi wydał się zbyt krótki, i przy tej sposobności o rodzaju przedsięwzięcia eksportowego. Paweł pokrótce objaśnił, na czym rzecz polega.

— Ależ to genialne — powiedział Krzysztof. — Powinni cię mianować ministrem skarbu.

Paweł roześmiał się:

— Nigdy bym czegoś podobnego nie przyjął. Inicjatywa każdego ministra skrępowana jest niezliczoną ilością praw, przepisów, paragrafów. Daruj, moja droga, ale to dla mnie zbyt nudne. Udusiłbym się w tym.

Innym znowu razem, podczas gdy rozmawiali w gabinecie, zameldowano inżyniera Ottmana. Po jego wyjściu Krzysztof zapytał:

— Czy istotnie ten kauczuk syntetyczny jest takim dobrym interesem?

— Przyniesie mi miliony, grube miliony — w zamyśleniu odpowiedział Paweł.

W kilka dni później sam zaproponował:

— Może chciałabyś obejrzeć tę fabryczkę? Jest już w pełnym biegu. Przekonasz się, jak to się prosto robi.

Oczywiście Krzysztof zgodził się natychmiast. Fabryką był zachwycony, chociaż droga do niej prowadziła przez okropne wertepy, gdyż na właściwym przejeździe układano kauczukową jezdnię.

Na tym się jednak skończyło. Paweł więcej nie wspominał o swoich interesach, a chociaż widywali się codziennie w fabryce, na rozmowy nie było czasu. Zresztą Paweł nie spędzał tu więcej ponad godzinę czasu, pochłonięty innymi sprawami.

Pomimo to jego obecność w Warszawie po prostu w jakiś czarodziejski sposób wpływała na pomyślność spraw fabrycznych. Nie tylko napływały wciąż nowe zamówienia, nie tylko przystąpiono do budowy nowych warsztatów, lecz i w wewnętrznej administracji panował ład, do jakiego Krzysztof, poświęcając podczas nieobecności Pawła maksimum czasu i wysiłku, nie umiał doprowadzić. W stosunkach z podwładnymi cechowała Pawła pewnego rodzaju bezwzględność. Początkowo raziło Krzysztofa to, że bez chwili wahania usuwał najstarszych i najbardziej do firmy przywiązanych pracowników, nawet bez wielkiej winy z ich strony.

— Nieudolność — mówił — jest największą winą. Powiedz mi sama, czy upierałabyś się przy pozostawieniu starej i ustawicznie psującej się maszyny tylko dlatego, że kiedyś oddawała usługi? Wprawdzie człowiek nie jest maszyną, lecz przedsiębiorstwo nie jest zakładem dobroczynnym. Ci, którzy rozumowali inaczej, potracili już dawno swoje przedsiębiorstwa i sami potrzebują dobroczynności. Z dwojga złego wolę wyrzec się rozkoszy miłosierdzia, niż oczekiwać go później od innych.

Maszyna

Rozumowaniu temu trudno było odmówić słuszności. Zresztą przemawiał przeciw niemu tylko wzgląd, który Krzysztof sam chętnie nazywał kobiecym sentymentalizmem i którego unikał przez lat tyle.

Kryteria, którymi kierował się Paweł, zdawały się Krzysztofowi właśnie ideałem tego, ku czemu dążył, chcąc przyswoić sobie jak najbardziej męski punkt patrzenia na życie. Wszystko, co z tym dążeniem kolidowało, zawsze starał się w sobie stłumić i nie dopuścić do głosu. Z biegiem lat istotnie wszelkie odruchy uczuciowe osłabły w nim, niemal zanikły.

Nie miały zresztą odpowiedniego klimatu do rozwoju. Czuła serdeczność matki nie pozwalała zapomnieć, że ta sama matka była sprawcą największej tragedii kochanego dziecka. Ojciec, chory i zawsze smutny, wywierał wrażenie zamkniętego w sobie winowajcy. Przyjaciół Krzysztof nie miał.

Cóż dziwnego, że wszelkie objawy uczuć uważał za niegodne dojrzałego człowieka, a gdy owładnęło nim uczucie tak potężne, jak miłość do Pawła, uważał je za jakieś niespotykane, przedziwne, niemal święte misterium, którego pojąć nie umiał, a walka z którym była beznadziejnym szaleństwem.

Uczucie to było treścią życia Krzysztofa i zdawało mu się, że jest też jego celem.

Zbyt wiele przemyślał nad swoją upośledzoną rolą wśród ludzi, do zbyt ostatecznych doszedł od dawna rezygnacji, by uważać się za uprawnionego do żądania dla siebie normalnego ludzkiego szczęścia. Czyż nie było już szczęściem to, że codziennie widział jego uśmiech, z którego promieniowało ciepło, promieniowało tylko dla Krzysztofa.

Z biegiem tygodni zaczęło jednak ogarniać Krzysztofa coś, czego jeszcze nie można było nazwać zniecierpliwieniem, lecz co wytwarzało atmosferę podrażnienia i wyczekiwania.

Paweł coraz mniej mógł poświęcić czasu nawet na te krótkie rozmowy i nic się w nich nie zmieniało, a przecież tak trwać nie mogło.

Jaka miała przyjść zmiana, jakiej drogi przekształceń się stosunków oczekiwał Krzysztof — tego sam sobie nie uświadamiał. Paweł zaś był wciąż ten sam: zaabsorbowany interesami, spędzający dnie i noce na pracy.

Krzysztof rozumiał, że jest to okres organizacji przedsięwzięć Pawła i że kiedyś przecie musi to minąć, wejść w spokojne normalne łożysko, uregulować się i zostawić wiele wolnego czasu.

Tymczasem Paweł rósł z dniem każdym. Wśród ludzi, z którymi bezpośrednio stykał się Krzysztof, na szpaltach pism, w zasłyszanych rozmowach coraz częściej powtarzało się imię Pawła, przy czym wymawiano je z szacunkiem, z podziwem lub wręcz z zachwytem.

Blumkiewicz mówił:

— Jest to największy człowiek interesów, jakiego w życiu widziałem. Każde jego słowo to czyste złoto. Ani domyśleć się możemy, jak daleko zajdzie.

— Tak pan przypuszcza? — patrzył nań Krzysztof roziskrzonymi oczyma.

— Ja przypuszczam? Ja wiem! — odpowiadał Blumkiewicz, a Krzysztof czuł przyśpieszone tętno serca.

Dumny był z Pawła. Chciwie zbierał każde słowo, które dodawało blasku temu człowiekowi. A właśnie rozpoczęła swą działalność Centrala Eksportowa i w sferach gospodarczych nastąpiło od lat niewidziane poruszenie.

Najpierw przyszły echa ze Śląska: przemysł węglowy, żelazny i cynkowy otrzymały ogromne zamówienia. Sprzed biur pośrednictwa pracy znikły wyczekujące tłumy robotników. Gazety notowały: spadek bezrobocia o pięć, dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt procent.

Ruszyło Zagłębie Dąbrowskie, w szybach naftowych Małopolski zawrzała praca. Przyszła kolej na Łódź, Białystok, Gdynię. O Warszawę uderzały wciąż nowe fale wiadomości. Nowa koniunktura!

Nie był to jeszcze nawet początek końca kryzysu, lecz słowo „kryzys" zaczęło tracić na znaczeniu. Zaczęło w psychice zbiorowej ustępować miejsca optymizmowi. Od tak dawna oczekiwano jakiegoś bodaj cienia poprawy, że pierwsze jej objawy od razu znalazły najszerszy oddźwięk. Ożywiły się transakcje, zapanował ruch na giełdzie, banki zaczęły otwierać kredyty. Nowa koniunktura!

Leniwie i chwiejnie poruszająca się machina gospodarcza została wprawiona w postępowy wirowy ruch. Coraz szybciej, coraz szybciej.

W środku zaś tkwił motor tego wszystkiego, on, Paweł Dalcz. Oczywiście nie brakło i krakania, które do głębi oburzało Krzysztofa. W prasie ekonomicznej zjawiały się artykuły pesymistycznie oceniające sytuację i wróżące rychłe załamanie się koniunktury.

Wykazywano, iż całe ożywienie życia gospodarczego oparte jest na razie na wysoce wątpliwych podstawach, że rynki zagraniczne są tak przesycone własną produkcją, iż eksport polski nie może liczyć na długotrwałe powodzenie. Jeżeli na poparcie tych dowodzeń nie przytaczano analizy cen, to tylko dlatego, że z jednej strony czynniki rządowe nie życzyły tego sobie, a z drugiej cała działalność Centrali Eksportowej otoczona była nieprzeniknioną tajemnicą.

Zresztą sceptyczne głosy były rzadkie, coraz rzadsze, aż wreszcie zupełnie umilkły. W pismach usposobionych najbardziej negatywnie do działalności Centrali Eksportowej zaczęły pojawiać się artykuły bez zastrzeżeń optymistyczne.

Ostatecznym zwycięstwem była wielka mowa Pawła, wygłoszona na bankiecie przemysłu metalurgicznego. Opublikowały ją wszystkie dzienniki na pierwszej stronie, ajencje[97] telegraficzne rozesłały jej treść do wszystkich pism. Paweł zapowiadał stanowczo początek stabilizacji i koniec kryzysu.

Nie powiedział wprawdzie wyraźnie, na czym opiera swe przeświadczenia, lecz naznaczywszy ogólnikowe granice perspektyw, oświadczył, że nie wolno mu na razie wchodzić w dokładne szczegóły. Zakończył zaś słowami:

— Tu pozostaje mi zażądać od panów kredytu zaufania i mam nadzieję, że na kredyt ten sobie zasłużyłem.

Oklaski trwały przez dobre pięć minut. Krzysztof, jeden jedyny z siedzących przy wielkiej podkowie stołu, nie brał w nich udziału. Wzruszenie odebrało mu możność ruchów.

Nazajutrz z rana obaj z Pawłem odprowadzali panią Teresę na dworzec kolejowy. Wyjeżdżała do Krakowa, gdzie miała się osiedlić w jednym z klasztorów.

[97] *ajencja* (daw.) — agencja. [przypis edytorski]

Od czasu śmierci męża ogromne w niej zaszły zmiany. Przestała rozmawiać z otoczeniem, odżywiała się wyłącznie chlebem i wodą. Toteż schudła tak, że wyglądała na swój własny cień. Jej blade usta nie ustawały w powtarzaniu pacierzy, a oczy patrzyły nieprzytomnie.

Początkowo Krzysztof miał odwieźć matkę aż na miejsce, lecz bez sprzeciwu zgodził się, by zastąpił go lekarz. Towarzystwo matki było nad wyraz męczące. W ostatnich dniach przy każdym widzeniu się z Krzysztofem powracała do niedorzecznego pomysłu: jedyna nadzieja jest w odkupieniu, a odkupienie w klasztorze. Krzysztof powinien wstąpić do klasztoru. Przestała o tym wspominać dopiero wówczas, gdy odpowiedział w sposób brutalny i z cynicznym uśmiechem, że wstąpiłby do klasztoru, oczywiście, męskiego. Mania religijna matki nie wywoływała w nim współczucia. Paweł, któremu to opowiadał w powrotnej drodze z dworca kolejowego, zapytał:

— Jakże teraz? Zostaniesz sama w domu?

— Całe życie spędziłem samotnie...

— Jednak to nie ma sensu. Willa jest za duża i ponura. Można by tam zresztą ulokować jakieś biura fabryczne. Najlepiej byś zrobiła, przeprowadzając się do mnie na Ujazdowską. Cała część mieszkania po Halinie i Zdzisławie stoi bezużytecznie. Swoją starą Karolinę mogłabyś też zabrać.

Krzysztof czuł, że się czerwieni, i odwrócił głowę:

— Nie, dziękuję ci, zostanę w willi.

Rozmowa przeszła na tematy dotyczące niedawnego bankietu i Centrali Eksportowej. Krzysztof gratulował Pawłowi zmiany frontu kilku pism ekonomicznych.

— Argumenty, którymi przekonałem te pisma — ironicznie uśmiechnął się Paweł — nie należą wprawdzie do najsłuszniejszych, lecz tym niemniej są najbardziej przekonywające: pieniądze.

— Jak to — zdziwił się Krzysztof — przekupiłeś je?

— Nie, moja droga, po prostu je kupiłem. Przekupstwo jest transakcją głupią. Nie posiada się żadnej gwarancji skuteczności włożonych pieniędzy. Zresztą wszystko na świecie jest dostatecznie tanie.

Krzysztof odczuł w tym powiedzeniu sarkazm i pogardę dla świata. Oburzyła go sama myśl, że człowiek taki jak Paweł dla zwycięstwa swojej dobrej sprawy musi uciekać się aż do kupowania przeciwników, którzy oczywiście tylko dlatego byli jego przeciwnikami, by wyszantażować odeń pieniądze. Ponieważ jednak w grę wchodziły tu nie tylko osobiste interesy Pawła, Krzysztof nie mógł mu z tego zrobić zarzutów. Wiedział, że Paweł potrafi sobie z szantażystami dać radę, a najlepszy dowód miał na sprawie Feliksiaka.

Tu Paweł ani przez jedną chwilę się nie zawahał. Postąpił może zbyt brutalnie, lecz bardzo po męsku. Krzysztof wiedział, że nie zapomni do śmierci tej sceny. Wprawdzie Paweł był bez porównania silniejszy od Feliksiaka, gdyby jednak było odwrotnie, ten również by się nie bronił. Wiedział, że zasłużył w zupełności na tych kilka uderzeń. Oświadczenie podpisał prawie dobrowolnie, a odkąd został z powrotem przyjęty do fabryki, zachowywał się wzorowo, niemal potulnie.

Między groźnym początkiem tego szantażu, który tak wstrząsnął Krzysztofem, a spokojnym i prostym jego zlikwidowaniem była właśnie ta olbrzymia różnica, jakiej niepodobna było nie widzieć między wszystkim tym, czego dotknęła ręka Pawła, a tym, gdzie Krzysztof zdany był na siebie samego.

Zaczęły teraz zdarzać się dni, gdy wcale nie widywał Pawła. Telefonował z Centrali, z banku, z fabryki kauczuku, w kilku zdaniach informował się o bieżących sprawach, wydawał krótkie dyspozycje i z rzadka tylko zapytywał w pośpiechu o zdrowie Krzysztofa.

Fabryka pochłaniała Krzysztofowi około dziesięciu godzin na dobę, pozostawało jednak tych godzin zbyt wiele na samotność w pustej ponurej willi. Na drzewach w ogrodzie żółkły już pierwsze liście. W gmachu Zarządu przystępowano do zwykłego jesiennego remontu.

Pewnego dnia Krzysztof powiedział Pawłowi:

— Buchalteria[98] uskarża się na ciasnotę. Jeżeli uważasz to nadal za potrzebne, można by niektóre biura przenieść do willi.

[98] *buchalteria* — księgowość, rachunkowość. [przypis edytorski]

Paweł odłożył pióro i podniósł nań oczy. Krzysztofowi wydało się, że w jego źrenicach błysnął złośliwy uśmiech. Paweł jednak powiedział miękko i po prostu:

— Bardzo dobrze. Zaraz jutro każę przygotować dla ciebie pokoje na Ujazdowskiej.

ROZDZIAŁ IV

Była to niedziela. Wzdłuż ulicy Chłodnej i Wolskiej stały tłumy ludzi. Oto każdy z nich miał rzadką okazję nie na filmie, lecz na żywe oczy zobaczyć prawdziwego amerykańskiego miliardera i wielu innych kapitalistów zagranicznych.

Gęsto rozstawiona policja pilnowała porządku. Wszystkie poranne pisma podały tę wiadomość: dzisiaj ma być uroczyste otwarcie nowej fabryki „Optima". Na otwarciu będzie obecny sam prezydent Rzeczypospolitej, kilku ministrów i grube ryby zagraniczne, między nimi zaś legendarny William Willis, król kauczuku, wszechświatowy potentat.

W pobliżu cmentarza Wolskiego, skąd prowadziła boczna ulica wprost do „Optimy", ustawiona była triumfalna brama wjazdowa, na której szczycie powiewały wielobarwne chorągwie. Dokoła wielką masą stali ludzie.

Zaczęły się ukazywać pierwsze auta. Wspaniałe, lśniące pędziły jedno za drugim.

Z tłumu poznawano ich pasażerów. Oto szczupła nerwowa sylwetka dyrektora od „Lilpopa", oto gruby prezes „Nitratu", oto minister przemysłu i handlu i znowu auta z obcymi numerami, z zagranicznymi chorągiewkami.

Ci, którzy mieli w ręku gazety, musieli je pokazywać sąsiadom, gdyż każdy chciał zobaczyć podobiznę Williama Willisa, by nie przegapić chwili jego przejazdu. A trzeba było bardzo uważać, gdyż wszyscy ci panowie byli bardzo do siebie podobni w jednakowych czarnych cylindrach i w czarnych paltach. Jednakże samochód Pawła Dalcza poznano już z daleka.

— Dalcz jedzie, o, Dalcz jedzie! — rozległy się głosy.

Tłum poruszył się. Wszyscy wiedzieli, że jest to kapitalista, wyzyskiwacz, wróg ludu pracującego taki sam, jak inni. A jednak innymi oczyma nań patrzono. Był to przecie wobec tych wszystkich burżujów zagranicznych swój burżuj, i to nie byle jaki. Pewno, że nie dla dobra kraju ani dla dobra robotnika, tylko dla własnego interesu założył tę fabrykę i przyczynił się do ruszenia tylu od dawna zamkniętych warsztatów w całym państwie, a jednak w tym oto człowieku wszyscy wielką pokładali nadzieję, wszyscy wierzyli, że dzięki niemu przyszły pomyślniejsze czasy, że jeszcze on pokaże, co umie, a może i niejednego zagranicznego kapitalistę zakasuje.

Stali i patrzyli. Niejeden może by nawet i pomachał przejeżdżającemu czapką, niejeden może krzyknąłby „niech żyje Dalcz", lecz jakoś nie wypadało manifestować swojej sympatii do klasowego wroga.

I Paweł dostrzegł ten nastrój. Miał twarz uśmiechniętą, pogodną, wesołą. Musiał mieć taką. Oto zaczyna się najgrubsza partia pokera. Karty były rozdane, a stawka uwielokrotniona. Czyż nie wszystko jedno, jakie ma karty w ręku? Dość nań spojrzeć, by nabrać pewności, że tak wygląda człowiek wygrywający.

Na placu przed fabryką było już kilkanaście osób gości. Witał się ze wszystkimi swobodnie.

— Piękny mamy dziś dzień, panowie.

W kantorze zastał inżyniera Ottmana. Chemik w starym i źle skrojonym fraku wyglądał jeszcze bardziej nieporadnie niż zwykle. Wypieki na jego twarzy zdawały się płonąć. Miał przy tym minę gniewną i zaciętą. Paweł udał, że tego nie spostrzega. Zapytał szorstko:

— Przygotował się pan?

— Tak, panie dyrektorze, ale ja tego ani wygłoszę, ani podpiszę[99].

Głos jego wibrował podnieceniem. Paweł stanął tuż przed nim i wbijając wzrok w jego oczy, powiedział:

— Owszem, panie Ottman, zrobi pan i jedno, i drugie.

— Nie zrobię. Popełniłbym świadome kłamstwo. Ja nie jestem oszustem... To byłaby nieuczciwość. Niech pan znajdzie sobie kogo innego. Ja tego nie zrobię...

Paweł zaśmiał się:

[99] *ja tego ani wygłoszę, ani podpiszę* — ja tego ani nie wygłoszę, ani nie podpiszę. [przypis edytorski]

— Nie bądź pan głupcem, panie Ottman.

— Wolę być głupcem, wolę być głupcem, stokroć bardziej głupcem niż oszustem. — Ręce Ottmana drżały, gdy wydobywał z kieszeni plik kartek, pokrytych maszynowym pismem. — Proszę, oddaję panu to, nie chcę tego dotykać. Zapewne znajdzie pan niejednego, który zgodzi się zastąpić mnie...

— Dosyć — przerwał Paweł — wynalazek jest pański i nikt zastąpić pana nie może.

— To nie jest wynalazek! To szalbierstwo!

— Mniejsza o to — wzruszył ramionami Paweł. — Nie będziemy się sprzeczali o terminologię. A teraz słuchaj pan. Nie należę do ludzi uprawiających żarty i kpić z siebie nie pozwolę...

— A ja nie pozwolę zrobić z siebie kryminalisty!...

— Milczeć! — uderzył Paweł pięścią w stół. — Nie lubię grozić, lecz wiedz pan, że jeżeli teraz sprawi mi pan zawód, na całej kuli ziemskiej nie znajdzie pan grosza zarobku, a ja umiem dotrzymywać swoich obietnic. Jeżeli to panu nie wystarcza, to weź pan pod uwagę skutki pańskiej odmowy. Przez szereg miesięcy przygotowywałem dzisiejszy dzień. Prestiż przemysłu polskiego, ba, państwa polskiego, zostanie przez pańskie głupie skrupuły wystawiony na pośmiewisko. Jest pan małym człowiekiem i pańska uczciwość z punktu widzenia każdego człowieka o szerszym umyśle będzie przestępstwem nie do darowania. Kto powiedział *A*, musi powiedzieć i *B*. Wycofanie się obecnie jest niepodobieństwem. Spójrz pan przez okno. Nadjeżdża prezydent. Ci ludzie to potentaci finansowi z całego świata. Wszystko to przygotowałem ciężką mozolną pracą. Oczywiście możesz pan mnie i ich wszystkich wystrychnąć na dudków. Możesz pan jednym wierzgnięciem unicestwić całą skomplikowaną i precyzyjną maszynerię, której celów w ogóle pan nie rozumie. Już nie apeluję do pańskiego prywatnego rozsądku. Wolno panu wyrzec się bogactw, które panu obiecuję, i wybrać nędzę, lecz nie wolno być tak zarozumiałym, by obalać wielkie dzieło dlatego, że nie umie pan go zmierzyć kryteriami kramikarskiej[100] uczciwości. Nie mam więcej czasu dla pana. Sądzę, że postąpi pan zgodnie ze swoim obowiązkiem.

Paweł skinął głową i nie oglądając się, wyszedł. Istotnie nie miał już chwili czasu do stracenia. Prezydent wysiadł właśnie z auta i Paweł podbiegł, by go powitać oraz przedstawić mu Williama Willisa i innych swoich gości.

Dowcipkował przy tym, śmiał się i był bardzo ożywiony, co przyczyniło się do tym większego polepszenia nastroju zebranych. W gruncie rzeczy nie opuszczał jednak Pawła ani na chwilę niepokój, czy zdołał przekonać Ottmana, czy po tym głupcu nie należało się spodziewać koniec końców odmowy firmowania wynalazku?...

Przygotował dlań świetny referat o kauczuku syntetycznym, referat, który Ottman miał wygłosić podczas śniadania, a następnie opublikować w pismach technicznych. Zawarte w nim było obok historii wynalazku rozpatrzenie jego walorów praktycznych i całego szeregu nowych zastosowań oraz kalkulacja produkcji, wykazująca niezwykłą taniość eksploatacji wynalazku.

Oczywiście Paweł mógł również sam wygłosić ten referat. Miałoby to jednak zupełnie inny rezonans, gdyż sam wygląd Ottmana, typowego naukowca i pedanta[101], wywierałby znacznie bardziej przekonywające wrażenie.

Nadto Paweł poczynił już starania, by Ottmana mianowano profesorem chemii organicznej na Politechnice Warszawskiej, co wynalazkowi również dodawało ciężaru gatunkowego. Zresztą w programie otwarcia „Optimy" zapowiedziany był referat wynalazcy i skreślenie tego punktu czy też zastąpienie Ottmana przez kogoś innego musiałoby wywołać zdziwienie albo nawet zrodzić podejrzenia.

W głównej hali goście z zainteresowaniem oglądali instalacje połyskujące szkłem, niklem i miedzią. Panowała tu wzorowa czystość i niemal apteczny porządek.

Objaśnień udzielał Paweł. Na dany przez niego znak puszczono maszyny w ruch.

Po upływie niespełna pół godziny każdemu z obecnych majstrowie wręczyli kubik[102] kauczuku syntetycznego, wyprodukowanego w jego obecności.

---

[100]*kramikarska uczciwość* — uczciwość drobnych handlarzy, sprzedających towary w kramiku, na straganie, rozłożone na stole lub ławie. [przypis edytorski]

[101]*pedant* — człowiek drobiazgowo, często przesadnie dokładny. [przypis edytorski]

[102]*kubik* — sześcian, kostka sześcienna. [przypis edytorski]

Najbardziej zdziwiony był i zachwycony William Willis. Wymachiwał rękami, wąchał kauczuk, szczypał jego powierzchnię, próbował rozciągliwości.

Wszyscy musieli wierzyć własnym oczom. Nie wiedzieli tylko, że winda wydobywająca gotowy produkt z chłodni popełniała niewielki, lecz z całą ścisłością obliczony błąd: zamiast nietrwałego trzymiesięcznego kauczuku podawała inny, prawdziwy „Optima", od dawna zmagazynowany w sąsiednim składzie. Skład ten był też jedynym miejscem na terenie fabrycznym, którego zwiedzającym nie pokazano. Mieszczące się tu poprzednio maszyny do produkowania prawdziwej „Optimy" usunięto i nawet ślad po fundamentach zatarto.

Następnie oglądano pokaz zastosowania syntetycznego kauczuku i ebonitu. W samej fabryce wszystko, co się dało z tego materiału wykonać, jak podłogi, meble, boksy, wszystko było zrobione z tego znacznie praktyczniejszego i tańszego od drzewa produktu. Największe jednak zainteresowanie gości wywołało badanie nawierzchni jezdni. Pomimo kilkomiesięcznego użytkowania stan jej był świetny. Ani upały, ani ciężko ładowne wozy nie zdołały jej uszkodzić. Umyślnie w oczach widzów przetoczono samym środkiem dość duży walec nabijany hacelami[103], co również nie zostawiło najmniejszego śladu.

— Budowa takiej nawierzchni — objaśnił Paweł — kalkuluje się ściśle o trzydzieści procent taniej niż zastosowanie asfaltu, trwałość zaś w ogóle nie nadaje się do porównań.

Bacznie obserwował twarze gości, wśród których przecie byli starzy fachowcy przemysłu kauczukowego i znawcy rynku.

Otóż efekt był pełny. Sam William Willis, który zaczął swą karierę jako majster w plantacjach brazylijskich, a dziś był głównym producentem opon samochodowych, nie ukrywał swego zachwytu:

— Nadzwyczajne! — powtarzał — nadzwyczajne!

— Jaką wydajność może osiągnąć pańska fabryka? — zapytał jeden z przemysłowców niemieckich.

— O — zaśmiał się Paweł — ścisła cyfra[104] to już moja tajemnica. W każdym razie zapewniam pana, że ta jedna fabryczka może w ciągu miesiąca pokryć zapotrzebowanie kauczuku w Polsce na cały rok. Oczywiście przy obecnym wąskim zastosowaniu. Wystarczy mi jednak sześć tygodni na zdwojenie, a osiem na potrojenie wydajności.

— Do licha — odezwał się ktoś — eksploatacja prawdziwego kauczuku niedługo przestanie się opłacać.

— I ja tak myślę — twardo, z naciskiem potwierdził Paweł.

Przez cały czas w grupie zwiedzających nie było Ottmana.

Paweł na próżno posyłał poń[105] kilka razy i teraz niepokoił się coraz bardziej. W gruncie rzeczy niepotrzebnie naraził się na to ryzyko. Można było wysłać tego głupca z Warszawy, a na jego miejsce podstawić kogoś mniej obciążonego skrupułami.

Teraz jednak było już na to za późno. Właśnie zajeżdżały auta i Paweł musiał żegnać prezydenta Rzeczypospolitej, który odjeżdżał pierwszy, i dziękować mu za powinszowania i życzenia pomyślnego rozwoju wielkiego przedsięwzięcia.

Niemało trudu kosztowało Pawła ściągnięcie tych wszystkich oficjalnych osób, których obecność była konieczna ze względu na potrzebę wywarcia na gościach zagranicznych odpowiedniego wrażenia. Pod tym względem rzecz była przygotowana bez zarzutu. Każdy z nich już po kilku godzinach pobytu w Polsce mógł zorientować się, jak poważną tu pozycję ma Paweł Dalcz i jaką wagę każde jego słowo. Tym bardziej podważenie tego zaufania przez niezjawienie się samego wynalazcy było czymś, czego za wszelką cenę należało uniknąć. Paweł chciał właśnie udać się na poszukiwania Ottmana, gdy powiedziano mu, że chemik już dawno pojechał do domu. To było całkiem niespodziewane. Pomimo to Paweł postanowił nie dać za wygraną. Przez chwilę namyślał się, czy nie prosić Krzysztofa o sprowadzenie tego bałwana, gdy wpadł na inny pomysł. Ponieważ musiał jechać teraz wraz z Willisem, z którym należało omówić niektóre sprawy jeszcze przed bankietem, zapytał go, czy zgodzi się na małą chwilę zwłoki. Poszedł do kantoru i zatelefonował do Marychny. Na szczęście była w domu.

---

[103] *hacel* — hak wkręcany w tylną część podkowy, by zapobiec ślizganiu się konia. [przypis edytorski]

[104] *ścisła cyfra* — popr.: dokładna liczba. [przypis edytorski]

[105] *poń* — skrócone od: po niego. [przypis edytorski]

— Słuchaj, Marychno — mówił prędko — nie pytaj o nic, później ci wytłumaczę i podziękuję. Nie masz ani jednej minuty do stracenia. Jedź natychmiast do inżyniera Ottmana i zmuś go, by zaraz przyjechał na bankiet. Wiem, że się w tobie podkochuje. Jeżeli potrafisz go sprowadzić, nigdy tego nie pożałujesz.

Marychna była przerażona i zaniepokojona. Niespodziewany telefon Pawła i jeszcze mniej spodziewane żądanie do reszty ją speszyły:

— Ależ dobrze, ja owszem, lecz co będzie, jeżeli on nie zechce? — pytała niepewnym głosem.

— Jeżeli nie zechce — ponurym głosem odpowiedział Paweł — to trudno. Nie powiedz mu tego broń Boże, ale to dla mnie kwestia życia lub śmierci.

— Jezus, Maria!...

— Zrób wszystko, co potrafisz, Marychno. Jestem pewien, że usłucha cię. Z niczego się też przed nim nie tłumacz. Na to nie ma czasu. Wysyłam samochód na Leszno. Nim zejdziesz na dół, będzie już przed bramą. I śpiesz!

— Dobrze.

Paweł odetchnął. Wprawdzie nie był pewien, czy Marychna zastanie Ottmana w domu, wierzył jednak w skutki jej interwencji. Z tym większą swobodą rozmawiał po drodze z Willisem, a gdy już wszyscy zaproszeni przybyli do hotelu, kazał prosić do stołu. Ożywione rozmowy, w których dyskutowano perspektywy syntetycznego kauczuku i dzielono się spostrzeżeniami z przed chwilą zwiedzonej fabryki, pozwalały odwlec referat. Gdy jednak podano już lody, a Ottman się nie jawił, Paweł zaczął się niepokoić, tym bardziej że kilka osób zapytywało o wynalazcę. Wreszcie przyszedł. Zgarbiony i z opuszczoną głową wsunął się do sali. Paweł zawołał wesoło:

— Otóż, panowie, bohater naszego dnia. Pozwólcie sobie przedstawić inżyniera Ottmana, jednego z najgenialniejszych wynalazców dwudziestego wieku, świetnego chemika, dzięki któremu cywilizacja zrobiła znów naprzód krok wielki i ważny.

Paweł wstał, podszedł do Ottmana i kordialnie potrząsnął jego rękę. Obecni bili oklaski. Paweł podprowadził Ottmana do zarezerwowanego dlań miejsca i powiedział:

— Panowie! Inżynier Ottman, który właśnie za jego zasługi położone na polu nauki ma być w tych dniach mianowany profesorem chemii organicznej stołecznej politechniki, prosił mnie, bym uprzedził panów, że nie włada on zbyt swobodnie językiem angielskim, wobec czego zechcą mu państwo wybaczyć niejakie usterki w jego referacie. Sądzę jednak, że wartość podanej choćby najgorszym akcentem treści w najmniejszym stopniu na tym nie ucierpi.

— Ależ prosimy, prosimy — odezwały się głosy.

Ottman ukłonił się, położył przed sobą maszynopis, zmarszczył czoło i przygryzł wargi, jakby się jeszcze wahał, lecz wreszcie poprawił okulary i zaczął czytać. Przy stole zapanowała kompletna cisza. Ottman istotnie miał zły akcent, lecz przecież rozumiano go doskonale. Referat zaczynał się od historii kauczuku i kroniki wielu usiłowań chemików całego świata nad stworzeniem syntezy tego produktu naturalnego. Dalej następował opis wieloletnich prób samego Ottmana i założeń, z których wychodził przy poszukiwaniu ostatecznego rezultatu, który wreszcie został dopięty. Paweł z baczniejszą niż kto inny uwagą przysłuchiwał się głosowi Ottmana. Dzięki swej wybornej pamięci słowo po słowie kontrolował wszystko, co przecież było napisane jego własną ręką. Wprawdzie referat w języku polskim sporządził Ottman, lecz Paweł, tłumacząc rzecz na angielski, bardzo dużo w niej pozmieniał i teraz obawiał się, by temu naiwnemu człowiekowi nie przyszło na myśl przeinaczyć i pominąć to, co dla sprawy było najistotniejsze, co było wręcz konieczne.

Ottman jednak nie zdradzał żadnych w tym kierunku zamiarów. Z nieznacznym tylko przełknięciem śliny przebrnął przez pierwszą nieścisłość, na mgnienie oka zatrzymał się przy drugiej, przez trzecią przebrnął z pośpiechem, a dalej szło już całkiem gładko aż do końcowych wniosków, utrzymanych w formie najbardziej kategorycznej.

Te wprawdzie nie licowały z zażenowaną i nieśmiałą miną czytającego, lecz dzięki temu uwypukliły się jeszcze bardziej.

Teraz dopiero rozległy się niemal entuzjastyczne oklaski. Wartość i niewątpliwość wynalazku stała się oczywista nawet dla tych, których obejrzenie fabryki i obecność przy jej pracy jeszcze nie przekonały.

Ottman, blady teraz jak płótno, z miną głęboko nieszczęśliwego człowieka kłaniał się niezdarnie i nerwowym ruchem palców zbierał kartki. Bliżej stojący powstawali, by uścisnąć jego rękę.

Paweł wśród gwaru zaśmiał się i powiedział dość głośno:

— Nasz mistrz alchemii, zdaje się, jest do reszty oszołomiony swoją odwagą. Pozwólcie, panowie, że go uwolnię od tortury naszego towarzystwa.

— Dlaczego nazywa pan to torturą? — zdziwił się Willis.

— To jasne — odpowiedział Paweł. — Niech pan nie zapomina, że każdy uczony uważa oddanie owocu swej wiedzy do praktycznego użytku za rodzaj profanacji. Musi go oburzać już samo to, że mówi o nauce do barbarzyńców, którzy w myśli jego prawdy naukowe taksują[106] kwotami dolarów, jakie dzięki nim dadzą się osiągnąć.

Argument był aż nadto przekonywający. Paweł zbliżył się do Ottmana i zręcznie wydzieliwszy go z grupy osób zasypujących go pytaniami, odprowadził chemika do sąsiedniej pustej sali. Tu Ottman bezsilnie opadł na krzesło, po jego czole ściekały grube krople potu.

— To było ponad moje siły — powtarzał — ponad moje siły...

— No, widzi pan, wszystko poszło jak najlepiej — potrząsnął jego ramieniem Paweł. — Wywarł pan świetne wrażenie...

Ottman wybuchnął nerwowym śmiechem:

— Świetne wrażenie!... Ha, ha, świetne wrażenie! Przecie dziecko po samym moim wyglądzie poznałoby, że jestem szarlatanem i oszustem, który nie umie ukryć strachu!... Daruje mi pan, ale nie mam jeszcze pod tym względem wprawy.

Zaśmiał się szyderczo i komicznie strzepnął palcami. Paweł zatrzymał go ruchem ręki:

— Myli się pan. Żadnemu z nich ani na jeden moment nie przyszło do głowy, że pan mówi cokolwiek poza ścisłą prawdą. Po pierwsze każdy z nich miał nieraz do czynienia z oszustami. Oszuści zaś w niczym nie przypominają zalęknionego podczas egzaminu sztubaka[107]. Przeciwnie. Są bezczelni i raczej grzeszą przesadnym tupetem. Po drugie zaś niech pan weźmie pod uwagę, jakie miał pan audytorium. Z jednej strony byli tam polscy przemysłowcy i polscy ministrowie, których rozpierała radość patriotyczna, że oto rodak itd., że nowa gałąź wytwórczości przyczyni się do rozwoju rodzimego przemysłu, a z drugiej strony słuchali pana zagraniczni kauczukowcy, właściciele fabryk przetwórczych, którzy po to tylko tu przyjechali, by szukać ratunku dla swych podupadających interesów, by znaleźć korzystną lokatę dla swych kapitałów. Otóż oni wszyscy razem wzięci chcieli, żeby to, co pan im mówił, było najściślejszą prawdą! Oni tego pragnęli, a jeżeli ktoś pragnie wierzyć, to nawet byle jakie argumenty trafią mu do przekonania. Więcej. Gotów będzie wszystkie bez wyjątku wątpliwości tłumaczyć na pańską stronę. Nie trzeba być szczególnym znawcą psychiki ludzkiej, panie Ottman, by to wiedzieć.

Chemik był zbyt oszołomiony przeżyciami dnia, by oponować. Bez protestu też podpisał referat. Jak było umówione, miał tego wieczoru wyjechać na urlop za granicę. Paweł w ten sposób chciał uniknąć możliwych indagacji[108], jakie po dzisiejszej uroczystości niewątpliwie czekały Ottmana w kraju.

Wręczając mu dość gruby plik banknotów, powiedział:

— Oto pierwsza porcja pańskiej należności, niech pan tylko wszystkiego nie zabiera ze sobą, bo jeszcze skusi pana ruleta. I żądam od pana w dalszym ciągu tylko jednego: milczenia. Zrobię pana bogatym człowiekiem, niech pan jednak pamięta, że jedno nieostrożne słowo może wszystko w gruzy obalić, a wówczas nie tylko ja, lecz i pan zginie pod tymi gruzami. Szczęśliwej podróży.

Potrząsnął jego rękę i wrócił do zebranych. Większość z nich zaczęła się już żegnać i zabierać do odejścia. Dalsze rzeczy już ich nie dotyczyły. Pozostało tylko kilku przemysłowców i kapitalistów zagranicznych wraz ze swymi doradcami prawnymi. Ci przeszli na górę do apartamentów Williama Willisa.

Ponieważ interesy Amerykanina wzywały go do najszybszego wyjazdu, sprawa musiała być omówiona jeszcze dzisiaj. W punktach zasadniczych jej losy zapadły już dawno na

[106] *taksować* — oceniać wartość, szacować, wyceniać. [przypis edytorski]
[107] *sztubak* — uczniak. [przypis edytorski]
[108] *indagacja* (z łac.) — dopytywanie się, wypytywanie. [przypis edytorski]

pokładzie „Corony", warunkowo wprawdzie, lecz teraz, gdy warunkowość przestała istnieć i kwestia została przesądzona, na tych właśnie punktach umowa miała być oparta.

Paweł Dalcz pokrótce zreferował sprawę, po czym William Willis wypowiedział pogląd, że najprostszym rozwiązaniem kwestii byłoby powołanie do życia towarzystwa akcyjnego, które przystąpiłoby do natychmiastowej eksploatacji wynalazku we wszystkich państwach.

Połowę kapitału akcyjnego pokryliby tu obecni, dwadzieścia procent otrzymałby właściciel patentu, pan Paweł Dalcz, reszta poszłaby na giełdy do wolnej sprzedaży.

To oświadczenie nie wywołało żadnych sprzeciwów, wobec czego przystąpiono do omawiania szczegółów. Sam fakt, że William Willis angażował się olbrzymią kwotą w przedsięwzięciu, gwarantował powodzenie na rynku akcyjnym. Zresztą rentowność kauczuku syntetycznego w najpesymistyczniejszych obliczeniach była wspaniała. Oczywiście nie mogło być mowy o konkurencji ze strony producentów kauczuku naturalnego. Z dniem dzisiejszym byli to ludzie skazani na doszczętną ruinę.

Za pół roku, kiedy „Optima" będzie dostarczana konsumentom na całym globie w dowolnych ilościach, plantacje drzew kauczukowych spadną w swej wartości do zera.

Już sam fakt zjazdu w Warszawie wywołał wielkie zaniepokojenie. Przetwórczy przemysł gumowy w Niemczech i we Francji powstrzymał zamówienia. Giełda w Londynie zareagowała na to nieznacznym, lecz wyraźnym spadkiem akcji kauczukowych.

Konferencja w hotelu zakończyła się przed świtem, a o świcie prezes nowo powstałego Międzynarodowego Koncernu „Optima" William Willis odjeżdżał z Dworca Głównego wraz z całym sztabem swego przybocznego biura.

Przez tę noc ani przez następny dzień Paweł ani na chwilę nie zmrużył oka. Miał tylko tyle czasu, by na chwilę wpaść do domu i przebrać się.

Od rana rozpoczął pod jego przewodnictwem swe prace komitet organizacyjny, składający się z radców prawnych oraz wezwanych telegraficznie ekspertów. Większość postulatów Pawła znalazła w nim pozytywny wyraz, więcej zaś zależało mu na kwestiach głównych niż na upieraniu się przy pozycjach drobniejszych kosztem zwłoki.

Przede wszystkim przyjęto utworzenie we wszystkich większych państwach odrębnych towarzystw akcyjnych i utworzenie centrali w Paryżu. Paweł Dalcz obejmował prezesurę wyłącznie polskiej spółki akcyjnej, natomiast kategorycznie odmówił przyjęcia proponowanego mu stanowiska wiceprezesa rady głównej, jak również objęcia kierownictwa propagandy, które wobec tego przekazano jednemu z przemysłowców niemieckich, któremu już istniejąca warszawska „Optima" miała dostarczyć próbek tego kauczuku. Nie ulegało wątpliwości bowiem, że część rynku odniesie się nieufnie do nowego produktu i że zechce przed udzieleniem zamówień zbadać syntetyczny kauczuk laboratoryjnie i praktycznie.

Jednocześnie komitet organizacyjny został upoważniony do poczynienia wstępnych umów z producentami terpentyny i kazeiny. Powierzono również fachowcom wybranie miejsc nadających się na budowę fabryki w Skandynawii i w Kanadzie.

Tempo nadane sprawie zarówno przez Pawła, jak i przez Williama Willisa było koniecznością. Należało za wszelką cenę uruchomić fabryki przed majem, w którym to miesiącu w kauczuku dokonywane są największe transakcje zarówno w Londynie, jak i w New Yorku.

W tych warunkach Paweł już zupełnie nie miał czasu na zajmowanie się Zakładami Przemysłowymi Braci Dalcz. Wpadał tam najwyżej raz na tydzień, na krótką chwilę, zdawszy faktyczne kierownictwo Krzysztofowi. Zresztą od dnia, w którym Krzysztof przeprowadził się na Ujazdowską, widywał go prawie codziennie.

Najczęściej wracając do domu około północy, zastawał Krzysztofa w salonie słuchającego radia lub grającego na fortepianie. Krzysztof grał źle i Paweł, który słuch miał bardzo wyrobiony, nie lubił tego. Sam w dzieciństwie przepadał za muzyką. Był to jedyny przedmiot, którego uczył się z zapałem. Niestety później zarzucił muzykę zupełnie.

Lata spędzone na szeregu nieudatnych prób wejścia w wielki świat interesów nie dały mu ani czasu, ani warunków do zajęcia się muzyką. Teraz tym bardziej nie mógł o tym marzyć.

— Zbyt twardo bierzesz Wagnera — powiedział któregoś dnia, stanąwszy na progu niepostrzeżenie dla Krzysztofa. — Wagner jest mocny, lecz bynajmniej nie twardy. Dziwię

się, że ty tego nie czujesz. Przecież oboje jesteśmy z pochodzenia Niemcami, a każdy Niemiec i tylko Niemiec tę właśnie różnicę świetnie wyczuwa.

Krzysztof odwrócił się. Jego twarz rozjaśniła się uśmiechem:

— Już wróciłeś? — powiedział miękko.

I Paweł nagle uświadomił sobie, że ktoś jego przyjście do domu na nocleg może nazwać powrotem. W następnej chwili przyłapał w swojej myśli słowo „dom" i zastanowił się: dlaczego to mieszkanie równie mu dotychczas obojętne, jak pierwszy lepszy pokój hotelowy, związane z nim wyłącznie tym, że tu są jego rzeczy i że tu sypia, może być nazwane domem, czyli czymś, co stanowi jakby centralny punkt świata, czymś swoim, osiadłym, niezmiennym...

Zbliżył się do Krzysztofa i położył rękę na jego ramieniu. Krzysztof podniósł wzrok i tak przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

— Dlaczego — odezwał się Paweł — zawsze czekasz na mnie? Wstajesz bardzo wcześnie, a ja wracam późno...

— Czy sprawia ci to przykrość?

— Przeciwnie.

— Ale w każdym razie wolałbyś nie słyszeć mojej gry na fortepianie — zaśmiał się Krzysztof, jakby z zażenowaniem i z odrobiną kokieterii.

— Czyś ty nigdy nie nosiła kobiecego ubrania?

— Nigdy. — Krzysztof potrząsnął głową.

— Wprost zdumiewam się, jak mogłem nie odkryć wcześniej twojej kobiecości. Jesteś tak fenomenalnie, tak uderzająco kobieca... Właśnie dlatego to mieszkanie zaczyna mi przypominać dom.

Siedziała milcząca.

Paweł, patrząc z góry, widział długie cienie rzęs na jej policzkach. Cienie te drgały, skracały się, wydłużały. Podniósł rękę i łagodnie przesunął dłonią po jej włosach. Były niezwykle miękkie, jedwabiste. Ostrożnie zanurzył w nie palce. Były ciepłe i ciężkie.

Wtem rozległ się cichy dzwonek. Jeden, drugi, trzeci — dwanaście uderzeń małym młoteczkiem w brzękliwą srebrną blachę. Zegar na konsoli kominka wydzwaniał północ.

Jeszcze przed snem trzeba było przejrzeć gruntownie dzisiejszą korespondencję Centrali Eksportowej. Jutro rano Kolbuszewski wyjeżdża do Katowic. Dla niego też trzeba przygotować wytyczne. Roboty przynajmniej na dwie godziny, a w „Optimie" o siódmej rano Blumkiewicz obejmuje dyrekcję.

Paweł wyprostował się i podał rękę Krzysztofowi.

— Dobranoc ci — powiedział. — Mam jeszcze dużo roboty, a już dwunasta.

— Dobranoc — ledwie dosłyszalnie odpowiedział Krzysztof..

Paweł stał jeszcze przez moment nieruchomy, później mruknął do siebie: „tak", i zaczął z wolna iść w kierunku sypialni. Na plecach czuł wzrok tej dziewczyny, wzrok, który zdawał się go zatrzymywać. Chrząknął i zamknął za sobą drzwi. Na biurku piętrzyły się przygotowane teczki. Na samym wierzchu leżała czarna z wyraźnym napisem: „Rumunia".

— Aha — uśmiechnął się — więc Bukareszt nareszcie się ruszył. Zobaczymy...

I już na inne myśli nie było miejsca. Każda z tych kartek papieru przemawiała doń szeregami cyfr, dat i słów pilnych, ważnych, zawierających różne i wielostronne znaczenia. Każda przynosiła wiadomości, kojarzące się w jego umyśle w jednolity obraz przyczyn, skutków i wniosków.

W gabinecie swoim w Centrali Eksportowej miał jedną ze ścian zawieszoną wielką mapą Europy. Barwne chorągiewki, wpięte w wielu miejscach, oznaczały na niej pozycje już zdobyte i zdobywane. I tutaj jednak bez mapy miał wprost w oczach wizerunek kontynentu. Wiedział na pamięć, gdzie jakie działają wpływy, gdzie jakie tworzą się warunki, gdzie jakie rozwijają się możliwości.

Po kilku miesiącach działalności Centrali Paweł przekonał się, że pod jednym względem jego początkowe obliczenia zawiodły. Przewidywał mianowicie, że rozpoczęcie akcji wywozowej na wielką skalę podwoi lub potroi produkcję polskiego przemysłu.

Okazało się jednak, iż w ciągu lat zastoju większość fabryk utraciła znaczną część swoich zdolności produkcyjnych. Wyniszczone urządzenia, zaniedbane składy, szyby, środki transportu i inne względy sprawiały to, że wiele przedsiębiorstw potrzebowało długiego czasu do całkowitego odzyskania dawnej wydajności.

Miało to wprawdzie i swoje dobre strony. Dumping polski nie zaciążył od razu na rynkach międzynarodowych, nikogo nie przeraził, nie wywołał kontrakcji. Obawiając się jej, Paweł nigdzie nie atakował zbyt mocno. Była to raczej partyzantka, a transporty wwożonych towarów mogły uchodzić po prostu za okazyjne.

Jednakże mała skala obrotów niecierpliwiła Pawła. Główny jego zysk opierał się przecie na procentach od tegoż obrotu. Własne kapitały uzyskane z banków krajowych i z manchesterskiego banku „Lloyd and Bower", a zabezpieczone na Zakładach Przemysłowych Braci Dalcz, były tu kroplą w morzu, zresztą w najbliższym czasie trzeba je było wycofać i rzucić na rynek kauczukowy.

Na razie jednak w działalności Centrali Pawła pochłaniała inna koncepcja.

Będąc teraz największym odbiorcą produkcji niemal wszystkich gałęzi przemysłu krajowego, będąc człowiekiem ostatecznie i bezapelacyjnie decydującym o udzieleniu zamówień temu czy innemu przedsiębiorstwu, nie ograniczył się do moralnego wpływu na dostawców.

Zaczęło się od wielkiej huty „Letycja", której prezesem był baron Colberg, jeden z najzaciętszych przeciwników Pawła jeszcze z czasów komisji porozumiewawczej przemysłu metalurgicznego. „Letycja" nie otrzymała zamówienia ani na jeden kilogram. Colberg czekał spokojnie przez dwa miesiące. Wreszcie interweniował w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Uzyskał tam tyle, że zwrócono się do Pawła z prośbą o niepomijanie w zamówieniach huty „Letycja".

Pozycja Pawła pozwalała mu już jednak nie liczyć się zbytnio z życzeniami Ministerstwa i stało się tak, jak przewidział: baron Colberg sam zjawił się u niego. Ponieważ był to również człowiek interesów, rozmowa trwała krótko: Colberg otrzymał zamówienia, a Paweł Dalcz znaczny pakiet akcji huty „Letycja".

Po „Letycji" przyszła kolej na przędzalnię Waksberga w Łodzi, na naftowe towarzystwo „Oleum" w Borysławiu, na „Spółkę Akcyjną Sachs i Synowie" w Mysłowicach, na kopalnię „Nobel", „Bałtyckie Towarzystwo Transportowe", na „Eksport Drzewny Dawid Kon i Spółka", cementownię „Lasocice" itd.

W początkach grudnia Paweł był już członkiem zarządu dwudziestu kilku spółek akcyjnych, a w niektórych, bardziej od niego uzależnionych, został wybrany na prezesa.

Nie było to zresztą z najmniejszą szkodą owych towarzystw.

Nie mówiąc już o zamówieniach dla Centrali Eksportowej, dawało to im możność korzystania z nazwiska Pawła Dalcza, które wystarczało we wszystkich bankach za najlepszą firmę[109]. Nadto w wielu wypadkach Paweł zabierał się do uporządkowania interesów danego przedsiębiorstwa, a to, dzięki jego zdolnościom, dzięki znajomości ludzi i interesów, prawie zawsze dawało duże korzyści.

Z dnia na dzień, niemal z godziny na godzinę rósł majątek Pawła i rosło jego znaczenie w świecie. Z tym wszystkim jednak coraz bardziej brakowało mu dnia.

Na dobitek wszystkiego przyjechała jego matka. Pobyt na wsi nie tylko jej nie zaszkodził, lecz zdawało się, odmłodził ją. Wynudzona na odludziu, a zwabiona do Warszawy sławą Pawła, wprost nie dawała sobie wytłumaczyć, że jego czas jest od świtu do nocy zajęty. Chciała z nim „nagadać się" i wiele go trudu kosztowało, zanim zdołał się jej pozbyć.

Zaczęło się od tego, iż zjechała z walizami, kuframi i pakami wprost na Ujazdowską wczesnym rankiem. Wiadomość, że połowa mieszkania zajęta jest przez Krzysztofa, przyjęta została przez nią z oburzeniem. Uważała, że mieszkanie stanowi jej własność i że sprowadzenie się doń syna pani Teresy było grubą samowolą. Pawłowi o tym wszystkim doniósł telefonicznie lokaj, dodając, iż jaśnie pani kazała przestawić meble itd.

Przewidując wypadki, Paweł musiał przerwać konferencję i wrócić do domu, by poskromić reformatorskie zapędy pani Józefiny. W rezultacie zdołał ją przekonać, że powinna zamieszkać u Jachimowskich. Ci jednak nie chcieli się na to zgodzić, wymawiając się ciasnotą swojej willi. Wreszcie pertraktacje prowadzone przy poparciu Nity odniosły ten skutek, że pani Józefina miała zięciowi i córce płacić miesięcznie pięćset złotych, które szły oczywiście z kieszeni Pawła. Nadto Paweł zobowiązał się urządzić gdzieś Jachi-

[109] *firma* (z łac. *firmus*: stały, trwały, mocny) — nazwa, pod którą działa przedsiębiorstwo, tu przen.: nazwisko osoby mającej ustaloną reputację, dobrą sławę w jakiejś dziedzinie. [przypis edytorski]

mowskiego, pozostającego bez bliżej określonego zajęcia od czasu rozstania się z fabryką Dalczów.

Obecność pani Józefiny w Warszawie, a zwłaszcza w kontakcie z Jachimowskimi, groziła wprawdzie Pawłowi jej gadatliwością, dzięki której mogły wyjść na jaw okoliczności, w jakich powrócił on do Warszawy. Nie byłoby to na rękę Pawłowi, lecz tym niemniej nie wydawało się o tyle groźne, by się miał z tym poważnie liczyć. Na wszelki wypadek zalecił matce powściągnięcie wielomówności do możliwych granic, nie łudził się jednak, że granice te przy temperamencie pani Józefiny i tak będą bardzo szerokie.

Bądź co bądź stanowił obecnie temat licznych i częstych rozmów nie tylko w bankach, na giełdzie, wśród ludzi interesu i w biurach rządowych, lecz także na fajfach[110] i rautach[111], na dancingach i balach. Informacje o jego działalności były tam towarem równie pożądanym, jak i anegdotki o jego sposobie bycia.

Wprost należało do dobrego tonu móc powiedzieć, co sądzi o tym, a co o tamtym Paweł Dalcz, sam Paweł Dalcz.

Oczywiście pani Józefina w tej atmosferze czuła się wyśmienicie. Oblegano ją ze wszystkich stron, zapraszano nieustannie, czy to po prostu dla snobizmu posiadania takiej ozdoby salonu, jak matka Dalcza, czy w nadziei dotarcia przez nią pod wszechpotężne opiekuńcze skrzydła milionera, celem uszczknięcia z nich bodaj jednego piórka dla siebie.

A Paweł z tygodnia na tydzień stawał się mniej dostępny, coraz mniej dosięgalny. Pozawierane początkowo stosunki towarzyskie, które miały mu służyć ułatwieniem w interesach, likwidował jedne po drugich. Najkrótsza wizyta bowiem zabierała przynajmniej dziesięć minut czasu, a dziesięć minut równało się nieraz dziesięciu tysiącom zysku lub straty.

Im mniej mógł się udzielać bliźnim, tym więcej było takich, którzy doń dotrzeć chcieli. Przypominali go sobie koledzy z pierwszych klas gimnazjalnych, ba, nawet chłopcy, z którymi bawił się w koniki, gdy miał lat pięć czy sześć. Co gorsza, przychodzili nawet tacy, których nigdy nie znał i nie widział. Nieraz uszu jego dochodziły wiadomości, że taki pan czy inny utrzymuje, iż jest jego serdecznym przyjacielem od dziesiątków lat.

Otóż do tego pięknie przyczyniła się pani Józefina. Każdy, kto tylko chciał, a nie było takich, którzy by nie chcieli, mógł usłyszeć od niej, jakim to anielskim i mądrym dzieckiem był Paweł już w pieluszkach. Jako chłopak mały odznaczał się niebywałą pilnością w naukach, a wiedza jego, gdy miał lat piętnaście, wprawiała w oszołomienie najuczeńszych profesorów uniwersytetu. Ba, jego rodzony ojciec, świętej pamięci pan Wilhelm Dalcz, nieraz przerywał małemu Pawełkowi zabawę w chowanego i radził się go, jak ma postąpić w różnych skomplikowanych interesach. Ilekroć zaś poszedł za jego radą, zawsze wychodził na tym świetnie. Już wtedy było wiadomo, że będzie to geniusz finansowy.

Pani Józefina wzdychała i wymownie kiwała głową:

— I gdyby mój nieboszczyk mąż nadal słuchał Pawła, nigdy by nie doszło do tej tragicznej śmierci.

Opowiadała dalej, jak Paweł zawsze był uosobieniem wszelkich cnót: odważny, uczciwy, szlachetny, najlepszy syn, jaki kiedykolwiek istniał pod słońcem. Kłamstwo nigdy nie skalało jego ust, a uczciwość miał zawsze tak bezkompromisową, że nawet członkom rodziny nie wybaczał pod tym względem najmniejszych uchybień. Natomiast jeżeli wyświadczył komuś jakieś dobro, a było to zawsze jego pasją, przede wszystkim zastrzegał absolutną dyskrecję, nie lubił bowiem rozgłosu swoich miłosiernych czynów. Takie i podobne wiadomości rozchodziły się następnie w najfantastyczniejszych wersjach wśród ludzi, urabiając Pawłowi opinię arcywzoru cnót, talentów i zalet. Nie próbował wpływać na jej zmianę, tak jak nie reagował też na plotki, przynoszące mu ujmę, doskonale doceniał jednak korzyści, jakie płynęły z pierwszych i drugich. Im więcej sprzecznych rzeczy mówiono o nim, tym mniej dawano wiary wszystkiemu, co mogłoby niekorzystnie o nim świadczyć. Paweł wierzył, że na dnie natury ludzkiej leży pragnienie dobra, pragnienie wiary w to dobro. Nieraz przypominał sobie powiedzenie Guy de Maupassanta[112]:

[110] *fajf* (z ang.) — przyjęcie towarzyskie rozpoczynane o godzinie piątej po południu. [przypis edytorski]

[111] *raut* — oficjalne przyjęcie wieczorne. [przypis edytorski]

[112] *Maupassant, Guy de* (1850–1893) — francuski pisarz-naturalista; autor wielu opowiadań wyrażających ostrą krytykę obyczajowości mieszczańskiej. [przypis edytorski]

— Znacznie więcej jest kobiet cnotliwych, niż mówimy, lecz jednak znacznie mniej, niż myślimy.

Maupassant dokonał tu bardzo ciekawego odkrycia w psychice ludzkiej, należało jednak dodać do tego, że to samo odnosi się również do cnót nie tylko niewieścich. Toteż przewagę w życiu będzie miał ten, który uzbroiwszy się w świadomość takich ogólnych praw psychicznych, zbliżając się do ludzi, oczekiwać od nich będzie przede wszystkim nieuczciwości, podstępu, zła. I druga rzecz: wieczna tęsknota do wzoru, powszechne pragnienie znalezienia przedmiotu uwielbień.

— Połowa wielkości Cezara, Napoleona, Mussoliniego — powiedział kiedyś Paweł Krzysztofowi — polega na tym. Nie oni się wywyższali, lecz tłum sam wznosił ich nad swoje głowy. Wznosił ich nie dlatego, że byli to oni, lecz zapewniam cię, że to tylko było szczęście tych jednostek, którym podobne są setki i tysiące. Sztuka polega na znalezieniu się w zogniskowaniu pragnień tłumu. To wszystko. Później wystarczy osłonić się tajemnicą, odgrodzić się niedostępnością, a sami stworzą legendę, sami wywindują na piedestał. Oto mechanika wielkości.

— Jeżeli jest tak, jak mówisz, wyraża się w tym tęsknota do boskości — po chwili namysłu odpowiedział Krzysztof.

— W każdym razie do ponadprzeciętności.

— A jednak konwencjonalizm jest też wrodzoną siłą społeczną. Gromada zazdrośnie pilnuje, by nikt nie wyrósł głową ponad przeciętność, powyżej standardu. Nie wolno być innym. Doświadczyłem tego na sobie. W ogóle nie wolno być innym.

Paweł potrząsnął głową:

— To prawda. Nieraz zastanawiałem się nad tym. Moim zdaniem kult przeciętności wyrasta z samego instynktu stadowego[113]. Obrona przed indywidualizacją osobników, troska o utrzymanie więzi społecznej drogą upodobnienia się poszczególnych jednostek.

— Skądże w stadzie bierze się zatem tęsknota do indywidualności?

— Do wielkich indywidualności — poprawił Paweł.

— Tym bardziej. Czyż nie świadczy to o pragnieniu Boga, jakie tkwi w człowieku?

Paweł wzruszył ramionami:

— Moja droga, oczywiście można przyjąć i taki sposób komentowania tych rzeczy. Mamy wszakże znacznie prostszy. Stado zawsze potrzebuje przywódców. Ilekroć w którymś spośród swoich poczuje większą siłę, większe zdolności, powołuje go do sprawowania władzy. A co najciekawsze, że uwalnia od razu wybranego osobnika spod kryteriów przeciętnej miary czy to pod względem prawa, czy moralności, czy konwenansu. Obdarza go tyloma przywilejami, ile tylko sam zapragnie. Gdy zaś z któregokolwiek podoba mu się nie skorzystać, wszyscy podnoszą to jako wyjątkową łaskę dla stada. Gdyby Bonaparte sam sobie raz jeden wyczyścił buty, napisano by o tym kilka tomów, nauczycielowie[114], opowiadając o tym dzieciom w szkole, do dziś dnia i jeszcze przez kilka wieków zachłystywaliby się z zachwytu.

Paweł nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy i wypił ją duszkiem.

— Psychoanalitycy twierdzą — ciągnął — że w ludziach wielkich człowiek przeciętny widzi urzeczywistnienie własnych marzeń. Rozmawiałem z takim jednym maniakiem, który ma głowę wyfaszerowaną[115] formułkami i gotowymi diagnozami. Plótł mi coś o tym, że źródłem kultu wielkich ludzi jest pierwiastek kobiecy tkwiący w psychice wielu mężczyzn.

— Nie rozumiem — przerwał Krzysztof.

— I ja też — zaśmiał się Paweł. — Miało to znaczyć, że wybijają się ludzie o zdecydowanie dominującym pierwiastku męskim, a uwielbienie, jakie ich otacza, wynika ze skobiecenia większości społeczeństwa. W tym wszystkim mają odgrywać rolę niezaspokojone w dzieciństwie żądze posiadania i temu podobne faramuszki[116]. Trzeba być erotomanem, żeby w to wierzyć i nie wstydzić się podobnych głupstw. Jeżeli w czymś widzę objaw skobiecenia, to właśnie w tym kręćku zahaczania wszystkiego o płciowość.

[113] *stadowy* — dziś: stadny. [przypis edytorski]
[114] *nauczycielowie* — dziś: nauczyciele. [przypis edytorski]
[115] *wyfaszerowaną* — dziś: nafaszerowaną. [przypis edytorski]
[116] *faramuszki* — błahostki, drobnostki. [przypis edytorski]

Strzepnął popiół z rękawa i spojrzał na Krzysztofa. W pokoju paliła się tylko jedna lampa i w skąpym jej świetle sylwetka w fotelu naprzeciw kształtowała się liniami wyraźnie kobiecymi. Na poręczy leżała nieruchoma długa wąska ręka, tak blisko, że mógł do niej dosięgnąć. Przyszło mu na myśl, że dłoń ta musi być przyjemnie chłodna, giętka i gładka. Uczuł wprost potrzebę dotknięcia do niej[117]. Przechylił się i dotknął jej lekko. Dziewczyna drgnęła i odruchowo cofnęła się. Paweł dostrzegł jej zmieszanie i sam nieco się zdetonował[118], a to go trochę zdziwiło, lecz zdziwiło nieprzyjemnie.

— Nad czym się zamyśliłaś? — zapytał, uśmiechając się nieszczerze.

Nic nie odpowiedziała i to jeszcze bardziej utrudniało sytuację. Teraz już całkiem świadomie, dla podkreślenia naturalności pierwszego ruchu, Paweł wziął ją za rękę i potrząsnął:

— Usypiam cię swoim nudziarstwem — zażartował i natychmiast spostrzegł, że brzmi to fałszywie, że powiedział zdawkowe głupstwo i że jest z tego powodu niezadowolony, za bardzo niezadowolony z siebie, a to z kolei było już irytujące. Dlatego szybko powiedział: — Masz śliczną rękę... Działa wręcz hipnotycznie... Zabierz mi ją, bo ją zgniotę...

Zaśmiał się znowu i zamknął dłoń. Zdawał sobie sprawę, że ściska jej palce aż do bólu, lecz chciał, musiał wywołać jakiś, bodaj najmniejszy, odruch tej ręki. To uspokoiłoby go i zakończyło dręczącą sytuację. Gdy podniósł oczy, spotkał jej spojrzenie rozjarzone, uparte, palące. Czym prędzej pochylił głowę, przyglądał się przez chwilę trzymanej ręce, jak jakiemuś przedmiotowi, który wzięło się przypadkowo i nie wiadomo dlaczego, machinalnie podniósł ją do ust, pocałował i wstał:

— Dobranoc — rzucił krótko. — Czas spać.

Wyszedł prędzej niż należało i z przesadnym pośpiechem zamknął za sobą drzwi. Zachował się niczym smarkacz. Był wściekły na siebie i niedorzecznie wzburzony.

Stał teraz w ciemności i nie mógł się uspokoić. Co za dzieciństwo[119]! Rzecz jest całkiem prosta. Dziewczyna pali się do niego, on do niej. Gdzie tu miejsce na jakiekolwiek grymasy, wątpliwości, namysły czy niepokoje! Powinien był postąpić całkiem zwyczajnie. Nie należy sobie nigdy pozwalać na uskoki logiki, bo to dezorganizuje człowieka. Zmarszczył brwi i zawrócił.

Bez wahania nacisnął klamkę. W salonie było już ciemno. Widocznie poszła do siebie... A może tylko zgasiła światło...

— Czy jesteś tu? — zapytał szorstko.

Nie było żadnej odpowiedzi. Oczywiście poszła do siebie. Rozbiera się i myśli o nim, że postąpił po sztubacku.

Należy pójść tam i raz wreszcie postawić sprawę jasno, to znaczy wziąć ją bez przypisywania temu naturalnemu faktowi jakiegoś specyficznego znaczenia. W najwyższym stopniu śmieszne jest to, że powstrzymuje go od tego chyba tylko taki drobiazg, jak męskie ubranie!... Chyba tylko to, bo cóż więcej? Co więcej, do ciężkiego diabła!...

Przyszło mu na myśl, że ona tu siedzi i szpieguje wyraz jego twarzy w smudze światła z otwartych drzwi od gabinetu. Był niemal pewien tego i zdecydowanie zbliżył się do kontaktu.

Pokój był pusty.

Ucieszyło go to i jednocześnie zniechęciło. Zgasił światło, zaklął jeszcze raz, z niechęcią rzucił okiem na stos papierów piętrzący się na biurku i zaczął się rozbierać. Wprawdzie w papierach tych były sprawy pilne, ale dziś już był zbyt przemęczony. Jutro wstanie o pół godziny wcześniej i zdąży załatwić rzeczy najpilniejsze. Przede wszystkim umowa z Holzmannami. Jeżeli nie zgodzą się na natychmiastową wpłatę, trzeba będzie telegrafować do wywiadowni w Wiedniu dla sprawdzenia ich zadłużenia w tamtejszych bankach...

Zgasił nocną lampę i odwrócił się twarzą do ściany.

— Sam siebie oszukuję — powiedział głośno. — Przecież to jasne, że myślę wciąż o niej!

To już było godne politowania. Nie chodziło przecież o męskie portki, ale o szczególniejszą wagę, jaką przypisywał swemu stosunkowi do niej. Początkowo drażniła go

Mizoginia

[117] *potrzebę dotknięcia do niej* — dziś: potrzebę dotknięcia jej. [przypis edytorski]
[118] *zdetonować się* (daw.) — zmieszać się, stracić pewność siebie. [przypis edytorski]
[119] *dzieciństwo* — tu daw.: dziecinada, infantylność. [przypis edytorski]

swoją obojętnością, później zaskoczyła romantycznym wyznaniem, a teraz burzy mu spokój milczeniem, tym jakimś nieznośnym suczym, samiczym wyczekiwaniem na moment największego podniecenia u samca! Od setek tysięcy lat to samo powtórzyło się iks milionów razy i powtórzy się drugie tyle, a oto dla niego, człowieka trzeźwego i rozsądnego, ma to być czymś godnym aż namysłów, aż wahań, aż głupiego przewracania się na łóżku z jednego boku na drugi i zaprzątania sobie głowy tym, co powinno załatwić się automatycznie.

A wszystko tak działo się dlatego, że ta dziewczyna swoją najzwyklejszą w świecie „wolę bożą", najnormalniejszy w jej wieku popęd seksualny zechciała łaskawie uznać za wzniosłą i nieogarnioną miłość do ostatniego tchu, do grobowej deski i dalej w tym guście. Nie powiedziała tego, ale chciała, by do jego świadomości przedostała się cała wspaniałość i wieczność tego nadziemskiego uczucia. A w gruncie rzeczy, jeżeli w dalszym ciągu będzie w to święcie wierzył, pewnego pięknego wieczoru panienka puści się z pierwszym lepszym, bodaj zawoła lokaja i każe mu wleźć do swego łóżka. Paweł z obrzydzeniem odepchnął nogami kołdrę. Wyobraził sobie spoconą łysinę Ignacego, a pod nią twarz Krzysztofa ściągniętą wyczekiwaniem rozkoszy.

— Nonsens!

A jednak rozsądek kazał się z tym liczyć całkiem pozytywnie. Natura ma swoje prawa. Naciągnął kołdrę aż pod brodę, jeszcze raz odwrócił się do ściany, skonstatował, że nie zaśnie, wstał, narzucił szlafrok i przeszedł do gabinetu. Teczka z umową Holzmannów leżała na samym wierzchu. Usiadł i zagłębił się w obliczenia.

Nazajutrz czuł się z początku nieco ociężały i senny, ale do południa całkiem się rozruszał. Bo i powód był do tego niemały: przyszła długa, umówionym szyfrem pisana, depesza z Londynu. Isaakson telegrafował:

„Wczoraj «Times» podał wywiad z Willisem i streszczenie artykułu wynalazcy. Z samego rana rzuciłem na giełdę wszystkie kauczukowe, tak jak było umówione, w trzech porcjach. Pierwszą sprzedałem natychmiast, biorąc siedem za dziesięć, drugą bez trudu po cztery i pół, za trzecią dawano już tylko dwa i pół. Kupił Brighton przez swoich agentów jawnie. Chce ratować, ale nic nie wskóra. Pod koniec Redding rzucił swoje. Upierał się przy trzech, a sprzedał za dwa. Kompletna panika. Drobni posiadacze sprzedają na gwałt. Jutro Brighton będzie musiał pęknąć. Skupuję, co mogę, i sprzedaję coraz niżej. Jeżeli Bóg da, za dwa dni będziemy płacić za brazylijskie po dwa pensy, a za inne po pół. Proszę przekazać dalszych dziesięć tysięcy telegraficznie na Bank New Jersey. Dotychczasowe straty przekroczyły dwanaście".

Paweł spokojnie słowo po słowie odszyfrował depeszę. Siedzący przed biurkiem Kolbuszewski mógł na jego nieruchomej twarzy dostrzec tylko nieznaczne rumieńce.

— Jakaś przykra wiadomość? — zapytał.

— Nie. Pan będzie łaskaw natychmiast przekazać z rachunku Centrali w firmie Workets w Londynie dziesięć tysięcy funtów na konto Jack Isaakson Bank New Jersey. Telegraficznie. Rzecz bardzo pilna.

— Zaszła jakaś pomyłka? — zaniepokoił się Kolbuszewski.

— Drobiazg. Niech pan pośpieszy.

— Dobrze, zaraz załatwię. Czy awizować[120] to kontrolerowi rządowemu?

— Nie, po co? Rzecz już awizowana. Zapis idzie do ksiąg własnych — nie bez zniecierpliwienia odpowiedział Paweł.

Kolbuszewski kiwnął głową, lecz od drzwi jeszcze raz zapytał:

— Czy nie wynikną, proszę pana, komplikacje? W bieżącym miesiącu na księgi własne przepisano już ponad dwieście tysięcy dolarów i zdaje się trzydzieści tysięcy funtów.

— Niech pan śpieszy — spokojnym głosem powtórzył Paweł i podniósł nań oczy.

Kolbuszewski bez słowa wyszedł. Paweł nacisnął dzwonek.

— Pani pisze — odezwał się do wchodzącej stenotypistki i zanim ta zdążyła usiąść, zaczął dyktować. Były to depesze do Paryża, do Londynu, do Berlina. Zawierały jakieś nieistniejące w żadnym języku słowa, a każda z nich kończyła się jednakowo:

— Sprzedać wszystko za każdą cenę.

[120] *awizować* — powiadamiać. [przypis edytorski]

O godzinie trzeciej nadeszła wreszcie niecierpliwie oczekiwana depesza z New Yorku: i tam na giełdzie doszło do niebywałej paniki w akcjach kauczukowych. Nadto niespodziewanie i bez żadnego powodu zaczęły spadać również papiery towarzystw opon samochodowych.

— A to głupcy — uśmiechnął się Paweł. — Pozwolą Willisowi oskubać się do ostatniej nitki.

Nie ulegało wątpliwości, że to Willis wyzyskał panikę i gra teraz na bessę[121] własnych akcji, by je potem za psie pieniądze skupić. Znowu zarobi na tej imprezie kilka milionów. Lecz pomimo to przekona się, że był nie mniej głupi niż tamci. Paweł zatarł ręce i kazał prosić Kolbuszewskiego.

— Wyjeżdżam dziś wieczorem do Ameryki — oświadczył mu krótko.

— Ależ to niepodobieństwo! Dziś wieczorem przyjeżdżają Holendrzy, a jutro w Sejmie opozycja wnosi interpelację, która może zachwiać istnieniem Centrali Eksportowej!

— Głupstwo. Rozmawiałem już z marszałkiem Sejmu. Znajdzie się sposób na utrącenie całej ich donkiszockiej[122] interpelacji. Zresztą poseł Kajewski wrócił. Obiecał mu pan zamówienie na jego naczynia emaliowane. A Holendrów sam pan załatwi beze mnie.

Kolbuszewski skrzywił się niemiłosiernie i zaczął namawiać Pawła, by odłożył swój wyjazd bodaj na tydzień, bodaj na kilka dni:

— Po prostu boję się, że nie dam sobie rady, dajmy na to, jakaś dodatkowa kontrola z Banku Polskiego. Oni mają do tego prawo. Póki pan jest w Warszawie, nie ośmielą się, ale za swój autorytet u nich głowy nie dam.

— Cóż u licha, może panu zdaje się, że ja już nie powrócę... Że tego i owego?...

Kolbuszewski zrobił smutną minę, a Paweł wybuchnął śmiechem:

— Niech się pan nie obawia. Podczas mojej obecności czy podczas mojej nieobecności zawsze będą mieli należny respekt. Zresztą zapewniam pana, że w najbliższym czasie przeleję ze swego rachunku do Centrali więcej, niż się pan spodziewa. Na razie potrzeba mi jeszcze dużo pieniędzy. Otóż, proszę pana, by podczas mojej nieobecności płacić wszystkie zamówienia w pięćdziesięciu procentach. Reszta po wykonaniu...

— Nie zgodzą się — zauważył Kolbuszewski.

— Co to znaczy „nie zgodzą się", muszą się zgodzić. Wszystko, co się w ten sposób da wyciągnąć, będzie pan łaskaw natychmiast przekazywać mnie do New Yorku.

W przewidywaniu takiej sytuacji Paweł od dawna w ten sposób układał terminy, by na wielką akcję kauczukową móc uruchomić największą ilość gotówki. Centrala Eksportowa była tylko jednym ze źródeł, drugim miały się stać wszystkie firmy, w których Paweł był członkiem zarządu.

Dały się jeszcze znacznie obciążyć hipoteki[123] Dalczów i „Optimy" oraz zmobilizować drobne kredyty zagraniczne. Na nieszczęście Paweł w swoim czasie nie mógł przeprowadzić przyśpieszenia druku akcji Międzynarodowego Koncernu „Optimy". Mógłby teraz te akcje zastawić lub nawet sprzedać. Posiadał jednak w ręku świadectwo na swój dwudziestoprocentowy udział w koncernie i miał nadzieję, że w Paryżu uda się pod zastaw tego świadectwa wydobyć przynajmniej dwa miliony franków.

Przed wieczorem przyszły jeszcze dalsze depesze. Obliczenia nie zawiodły Pawła. Bessa papierów kauczukowych na całej linii przechodziła w panikę. Paweł cały dzień spędził ze słuchawką telefonu w ręku lub w samochodzie.

Na dwie godziny przed odejściem pociągu pojechał do domu, grzecznie, lecz stanowczo wyprawił czekającą nań matkę i zamknął się w swoich pokojach. Po chwili ku zdumieniu Krzysztofa rozległy się stamtąd dźwięki gramofonu i warkot przypominający hałas elektrycznego wentylatora. Nikt przecie nie mógł przypuszczać, że to pracuje ręczna drukarnia. A pracowała z wielkim wysiłkiem. W przeciągu krótkiego czasu musiała do-

[121] *bessa* — spadek kursów papierów wartościowych lub cen towarów notowanych na giełdzie. [przypis edytorski]

[122] *donkiszocki* (daw.) — donkiszotowski, powodowany wzniosłymi ideami, ale pozbawiony poczucia rzeczywistości. [przypis edytorski]

[123] *hipoteka* — instytucja prawna zabezpieczająca prawa właściciela nieruchomości oraz roszczenia pieniężne jego ewentualnych wierzycieli; także: księga wieczysta nieruchomości, w której spisano takie prawa i obciążenia; *obciążyć hipotekę*: dokonać zabezpieczenia długu przez wpis do księgi hipotecznej. [przypis edytorski]

starczyć Pawłowi kilkudziesięciu najróżnorodniejszych blankietów. Gdy już były gotowe, z kasy pancernej wywędrowały na stół pudełka z masą różnych pieczęci i stempli.

Dziesięć przed jedenastą Paweł otworzył drzwi. Był już gotowy do drogi. W salonie czekał sekretarz i kilku interesantów.

— Panowie zechcą od razu pojechać na dworzec. Tam zdążymy się porozumieć — powiedział Paweł, w kapeluszu i w futrze, przechodząc przez salon.

Zapukał do Krzysztofa i nie zdejmując kapelusza, wyciągnął doń rękę:

— Wybacz mi, moja droga, ale szalenie się śpieszę. Mam kwadrans do odejścia pociągu. Siemianowicom wstrzymaj szlifierki, jeżeli nie zapłacą drugiej raty. Karwackiego należy usunąć bez odszkodowania. Niech podaje do sądu. To zdaje się wszystko. Jeżeli nie będziesz mogła sobie dać z czymś rady, zawsze masz pod ręką Blumkiewicza. Aha, kazałem wstrzymać wypłaty na pół miesiąca. Wezwiesz do siebie delegatów i jakoś im to wytłumaczysz. Możesz na przykład obiecać na jesień dodatek odzieżowy. To ich ułagodzi. No, do widzenia. Myśl o mnie dobrze, to przyniesie mi szczęście. Do widzenia.

Podniósł jej rękę do ust i pocałował.

— Ale wracaj prędko — cicho powiedział Krzysztof i Paweł zauważył, że drżą mu usta.

— Jak najprędzej. Do widzenia.

Szybko zbiegł po schodach. Przy otwartych drzwiczkach auta goniec z Centrali podał mu jeszcze depeszę. W drodze na dworzec podyktował sekretarzowi odpowiedź. Na peronie przed jego przedziałem stała grupka ludzi. Kolbuszewski, Tolewski, Blumkiewicz i jeszcze kilku panów. Szybko wydawał dyspozycje, podpisał plik blankietów wekslowych[124], wysłuchując jednocześnie spraw, które mu przedstawiano.

— Pociąg rusza, panie prezesie — oznajmił sekretarz stojący już w oknie.

Paweł skinął głową odprowadzającym i wskoczył na stopień. Konduktorzy zatrzaskiwali drzwiczki wagonów.

— Teraz przede wszystkim spać — uśmiechnął się do sekretarza, podając mu paczkę papierów. — Jeżeli pan nie jest senny, niech pan zrobi z tego wyciąg cen. Muszę to oddać w Berlinie. Z granicy niech pan zatelegrafuje do dyrektora Kolbuszewskiego, że w Paryżu zatrzymam się pomimo wszystko przez całą dobę. Adres: Hotel Ritz. Dobranoc panu.

Rozebrał się i po chwili spał już mocnym kamiennym snem. Obudził się dopiero przy rewizji celnej, lecz po chwili spał znowu aż do Berlina.

Podczas postoju na dworcu doręczono Pawłowi depeszę z Londynu. Isaakson donosił krótko:

— Brighton pękł. Kurs jeden i trzy czwarte.

Oznaczało to, że Brighton zaczął sprzedawać swoje akcje. Przekonał się o bezcelowości dalszych prób ratowania sytuacji. Widocznie panika w Ameryce ostatecznie podcięła mu nogi.

Paweł przerzucił stosy gazet, czytając miejsca zakreślone przez sekretarza czerwonym ołówkiem. Wiadomości dotyczące kauczuku były na ogół skąpe i suche. Prasa powstrzymała się od komentowania krachu towarzystw kauczukowych. W kilku tylko dziennikach notowano, iż przyczyną gwałtownej bessy jest wynalazek inżyniera Ottmana, wszystkie jednak stwierdzały dalszą tendencję zniżkową.

W najgorszym wypadku należało przypuszczać, że papiery te spadną nie niżej niż do dziesięciu procent swojej wartości. Obraz sytuacji był jasny.

Wszystko działo się tak, jak Paweł przewidział. Jedno tylko było dlań niespodzianką. Oto przypuszczał, iż już w drugim dniu bessy kauczuk tak nisko spadnie, że przestanie być notowany na giełdach. Biorąc rzecz logicznie, już dzisiaj nie przekraczał swoją wartością makulatury. Przyczyn odmiennego zjawiska należało szukać chyba w tym, że drobni posiadacze łudzili się jeszcze nadzieją ponownego podskoczenia kursów.

W każdym razie zanim przybędzie do New Yorku, kursy te powinny dojść do granic kilkunastu centów za akcję o nominalnej wartości dziesięciu dolarów. Plan skupowania tych akcji miał Paweł ułożony drobiazgowo, i to od dawna. Transakcja była zakrojona na wiele setek milionów i w jej przeprowadzeniu nie mogła znaleźć się najmniejsza omyłka.

[124] *weksel* — dokument stanowiący pisemne zobowiązanie wystawcy do zapłacenia określonej osobie (lub okazicielowi) określonej sumy w oznaczonym terminie; używany m.in. jako zabezpieczenie zobowiązań pieniężnych, zamiast natychmiastowej zapłaty za towar lub usługę. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ V

Nita skończyła opowiadanie i wybuchnęła głośnym, wesołym, nieskrępowanym śmiechem. Jej oczy iskrzyły się, a rozchylone soczyste wargi odkrywały dwa rzędy mocnych zdrowych zębów aż do różowych dziąseł. Wprost biło z niej zdrowie, wprost tryskała swoboda i ta śmiałość, która przezierała z każdego jej ruchu, z każdego spojrzenia, z tych otwartych szczęk gotowych jeść życie surowe, gryźć je razem z kościami i śmiać się triumfalnie, zdobywczo, z poczuciem siły swoich mięśni i niezaprzeczonej racji swego istnienia.

Krzysztof patrzył w nią jak urzeczony. Przerażała go i upajała tą pełnią śmiałej kobiecości, żywiołową prostotą dziewczyny, obnoszącej z fantazją po świecie swoją dziewczęcość, szukającą dopełnienia, które się jej z prawa natury należy.

Jakże bardzo zazdrościł Nicie tego wszystkiego. Gdyby istniała pod słońcem jakaś moc, która by mogła dokonać tej zmiany, błagałby o nią.

Wyzbyć się, wyzbyć się raz wreszcie tej fałszywej skóry, tego przeklętego ubrania, które nie tylko przylgnęło do powierzchowności, lecz przeżarło się aż do wnętrza, wykoszlawiło[125] je, zdeprawowało, przemieniło w twór sztuczny, cherlawy, niezdolny do życia.

Kiedyś, porównując siebie z innymi kobietami, był dumny ze swej wiedzy, inteligencji, sprawności umysłu. Widział w tym jedyne wartości człowieka. Gardził tymi samiczkami, których zainteresowania zamykały się w kręgu flirtów, romansów, schadzek, dancingów i fatałaszków. Z konieczności nie brał nigdy żadnego udziału w życiu towarzyskim kolegów, podczas pobytu w miejscowościach kuracyjnych czy w samej Warszawie unikał życia towarzyskiego z niezmienną skrupulatnością. Nie cierpiał ludzi, bał się ich i wiedzę o ich życiu czerpał z powieści.

Głównie jednak samotność swoją wypełniał nauką. W chwili otrzymania dyplomu inżyniera mechanika równie łatwo mógłby zdobyć doktorat filozofii czy medycyny. Wchłonął w siebie niezliczone tomy naukowych dzieł z wszystkich niemal dziedzin. Zakres jego wiadomości sięgał daleko poza przeciętną miarę, niestety nie dosięgał jednak tego, co było prawdziwym życiem.

I cóż mu z tego, że zasobami swego intelektu mógłby obdzielić setkę takich dziewcząt jak Nita, skoro nie potrafi śmiać się jak ona?...

Zastanowił się: gdyby był mężczyzną i miał do wyboru siebie i Nitę?... Naturalnie wybrałby ją! To nie ulegało żadnej kwestii. A przecież urodą mógł z nią śmiało rywalizować.

— Wuj ma dziś jakieś zmartwienie — półpytająco zauważyła Nita.

Krzysztof zaśmiał się smutno:

— Gdybym miał tylko dziś! Uważałbym to za szczęście.

— Mnie się zdaje... Ale nie obrazisz się, wuju?... Mnie się zdaje, że ty bierzesz wszystko zbyt głęboko, zbyt mądrze, ale to nie trzeba. Nie zawsze mądrze jest brać wszystko mądrze. Ja i tak ciebie kocham, ale martwi mnie, że jestem tak głupia, że nie rozumiem, dlaczego ty jesteś smutny? Smutek twój, ma się rozumieć, musi mieć jakieś głębokie przyczyny, ale jeżeli one są tak głębokie, że trzeba aż do nich dawać nurka, to bardzo dziękuję. Najmądrzej jest myśleć, a najgłupiej cieszyć się. Ja wciąż się cieszę i dlatego ty, wuju, nie bez całkowitej racji musisz uważać mnie za gęś, która przychodzi nudzić cię i przeszkadzać w czytaniu takich poważnych rzeczy...

Wzięła ze stołu otwartą książkę i przeczytała tytuł:

— *Kompleks upośledzenia u schizofreników*... Brrr! To nawet trudno przeczytać!

— Jest to rzecz bardzo specjalna[126] — zauważył Krzysztof.

— Ale co to ciebie, wuju, obchodzi! Już i tak masz dość nudów ze swoim inżynierstwem. Jeszcze ten jakiś kompleks upośledzenia u... schizmatyków[127] czy coś!

— U schizofreników — poprawił Krzysztof.

— Cóż to za zwierzę? — z niechęcią zapytała Nita.

---

[125] *wykoszlawić* — dziś popr.: wykoślawić. [przypis edytorski]

[126] *specjalna* — tu: specjalistyczna. [przypis edytorski]

[127] *schizmatyk* — odstępca, odszczepieniec, osoba należąca do *schizmy*, podgrupy religijnej, która wydzieliła się z ram organizacyjnych danej grupy. [przypis edytorski]

— Bardzo nieszczęśliwe zwierzę — cicho odpowiedział Krzysztof. — Schizofrenik to człowiek cierpiący na rozdwojenie osobowości, na rozszczepienie jaźni[128].

— Wariat?

— Tak. Jeżeli choroba rozwinięta jest w znacznym stopniu, zamyka się go w domu obłąkanych. W przeciwnym razie przebywa wśród ludzi, pozornie nie różni się od innych i nikt nie domyśla się w nim tragedii, jaką jest niepewność w poczuciu własnej osobowości. Bywa jeszcze gorzej, gdy sam zdaje sobie z tego sprawę. Wówczas popada w świadomość upośledzenia, w psychozę pokrzywdzonego... To jest bardzo zajmujące. Autor ma wiele ciekawych obserwacji. Nie zgadzam się z nim tylko w jednym. Twierdzi mianowicie, że schizofrenia zawsze jest chorobą wrodzoną. Moim zdaniem można ją wywołać również przez zastosowanie odpowiednich warunków.

Nie zwrócił uwagi na zniechęcenie i obojętną minę Nity, zawahał się przez chwilę i mówił dalej:

— Na przykład aktorzy... Przez zbyt silne wżycie się w jakąś rolę aktor może stracić pewność, czy jest sobą, czy dajmy na to królewiczem duńskim. Czy w starożytnym teatrze, gdzie mężczyźni grali też i kobiece role, żaden z nich o wrażliwszej psychice nie nabrał wątpliwości co do zamiłowań swojej prawdziwej płci?... Jaka szkoda, że Sara Bernhardt[129] nie zostawiła pamiętników, w których mogłaby rozpatrzyć wpływ jej ulubionej roli Orlątka[130] na późniejsze skłonności do kobiet. Jestem pewien, że można by jednak zebrać dużo ciekawych i dostatecznie wymownych przykładów...

— Ale po co ci to, wuju? — ukrywając ziewanie, powiedziała Nita. — Gdybym nie obawiała się, że posądzisz mnie o trywialność, zaproponowałabym ci, byśmy poszli do kina!

— Nie, dziękuję ci.

— Ach, jak bym ja ciebie wzięła w kuratelę[131]! Z rana dwie godziny tenis albo kajak, albo narty, po obiedzie dancing, wieczorem kino. Co drugi dzień pływalnia, a całe lato na plaży, jak by ci było świetnie z opalenizną! Wyglądałbyś jak prawdziwy Hiszpan. I widziałbyś już po roku, że nabrałbyś werwy, wesołości, zgubiłbyś swoją neurastenię[132], no i wreszcie zwróciłbyś uwagę na mnie.

Zaśmiała się i dodała:

— Widzę, że tą ostatnią perspektywą odstraszyłam cię od całego projektu.

— Nieprawda, Nito, bardzo cię lubię i nawet nie wiesz, jak ci zazdroszczę twojej pogody i prostoty, i wdzięku.

Podano kolację, lecz Nita nie chciała zostać:

— Ja jednak pójdę do kina.

— Sama?

— Cóż pocznę, skoro nie chcesz iść ze mną? Zobaczysz, wuju, jeszcze spotkam tam jakiegoś ładnego chłopca i zdradzę cię.

Krzysztof nie zatrzymywał Nity. Podczas rozmowy przyszła mu do głowy pewna myśl i nie dawała mu spokoju. Zaraz po kolacji poszedł do szafowego pokoju[133]. Nie pamiętał, w której to widział, i musiał po kolei otwierać wszystkie szafy. Były tu ubrania Pawła, Zdzisława i ubrania po nieboszczyku panu Wilhelmie.

Wreszcie znalazł: z otwartych drzwi uderzył zapach zwietrzałych już perfum. Na wieszakach jedna przy drugiej wisiały różnobarwne sukienki Haliny.

---

[128] *schizofrenik to człowiek cierpiący na rozszczepienie jaźni* — powszechny błąd, powtórzony przez autora lub bohatera: *schizofrenia* (gr. *schizein*: rozszczepiać, *phren*: umysł) nie musi wiązać się z rozszczepieniem jaźni, jest odrębną jednostką chorobową charakteryzującą się m.in. częściowym lub całkowitym zerwaniem kontaktu z rzeczywistością, któremu często towarzyszą urojenia. Jej nazwa odwołuje się do oddzielenia poszczególnych funkcji umysłowych, nie zaś od wyodrębnienia się dodatkowych osobowości. [przypis edytorski]

[129] *Bernhardt, Sarah*, właśc. *Henriette Rosine Bernardt* (1844–1923) — fr. aktorka sceniczna o światowej sławie, którą zdobyła jako odtwórczyni głównych ról w tragediach; jako poważna aktorka dramatyczna zdobyła sobie tytuł „Boska Sarah". [przypis edytorski]

[130] *Orlątko* — sztuka fr. dramaturga Edmonda Rostanda (1868–1918) o synu Napoleona I, księciu Reichstadtu, zwanym Orlątkiem (fr. *L'Aiglon*). Premiera miała miejsce 15 marca 1900 roku w teatrze Sarah Bernhardt, zaś ona sama grała tytułową rolę młodego księcia (mając wówczas 56 lat). [przypis edytorski]

[131] *kuratela* — opieka prawna nad osobą nieletnią lub z innego powodu niezdolną do działań prawnych; przen. nieustanny nadzór, uciążliwa opieka. [przypis edytorski]

[132] *neurastenia* — nerwica, nadpobudliwość. [przypis edytorski]

[133] *szafowy pokój* — garderoba, pomieszczenie, w którym przechowuje się odzież. [przypis edytorski]

Teraz Krzysztof zamknął drzwi na klucz. Wprawdzie służba nigdy po kolacji nie wchodziła do pokojów bez wezwania, wolał jednak nie ryzykować. Z wielu sukien wybrał kilka, które wydały się mu ładniejsze i jeszcze dostatecznie modne. W szufladzie znalazł całą kolekcję pantofelków, w bieliźniarce obok dostateczną ilość pończoch, kombinezek[134] itd. Szybko rozwiązywał krawat, szarpnął kołnierzyk i zaczął się przebierać.

Halina była nieco niższa od niego i znacznie pełniejsza, zwłaszcza w biodrach i w piersiach. Natomiast nogę miała taką samą. Nie było tylko paska do podwiązek i pończochy ustawicznie opadały. W pokoju szafowym lustro źle było ustawione i nie mógł w nim dostatecznie dobrze się przejrzeć. Zebrał wszystko i wyjrzawszy na korytarz, prędko przebiegł do swojej sypialni. Zapalił wszystkie światła i stanął przed lustrem. Serce biło mu mocno. Na policzkach miał silne rumieńce.

Spodziewał się wprawdzie rewelacyjnego wrażenia, nie przypuszczał jednak, że tak dalece zmieni go ten strój. Z początku wydał się sobie czymś nienaturalnym, dziwacznym, oczywiście przebranym. Z głębi lustra patrzyły nań szeroko otwarte, zdziwione oczy, w rozchyleniu ust był prawie naiwny wyraz.

Uśmiechnął się i przechylił głowę. To było naprawdę komiczne. Wyglądał jak kokietująca panienka. Teraz wybuchnął szczerym mocnym śmiechem.

Zrobił, nie spuszczając oczu z lustra, kilka ruchów, kilka kroków naprzód i w tył. Przegiął się w pasie, podniósł ręce do głowy.

— Po prostu mizdrzę się — zawstydził się sam siebie. Nie mógł jednak odejść od lustra. Fascynowała go ta smukła, giętka sylwetka w niebieskiej jedwabnej sukni, wznoszącej się na piersi dwoma małymi uwypukleniami, wycięta w duży dekolt, który odsłaniał ciało o jędrnej matowej skórze. Po kilku minutach zdjął niebieską i nałożył popielatą suknię wieczorową z weluru. Ta odsłaniała niemal całe plecy i miała rozcięte rękawy, sięgała zaś prawie do ziemi. Wziął ręczne lustro i obejrzał się z tyłu. Nigdy w życiu nie był na żadnym balu i był zachwycony nagością tego dekoltu. Od wysoko podstrzyżonego karku linia wyginała się subtelnym zagięciem, łopatki uwypuklały się lekką płaskorzeźbą.

„To jest jednak bardzo ładne" — pomyślał.

Zmieniał teraz suknie jedną po drugiej, spacerowe, balowe, sportowe, wieczorowe. Wśród nich były i bardzo krótkie. Wówczas przyglądał się swoim nogom w pantofelkach na wysokich obcasach, w których tak trudno było chodzić. Jeszcze raz wrócił do pokoju szafowego i przyniósł resztę. Na wierzchu w pudłach znalazł kilkadziesiąt kapeluszy. Właśnie przymierzał jeden z nich do głęboko wyciętej wieczorowej sukni, gdy zapukano do drzwi.

— Nie wolno teraz! — zawołał pośpiesznie. — Kto tam?

— To ja, paniczu — odpowiedział uspokajający głos Karoliny.

Krzysztof zawahał się, lecz nie mógł się powstrzymać od pokazania się jej w tym stroju. Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Staruszka omal nie upuściła tacy na ziemię:

— Jezu Nazareński! — krzyknęła.

— Cicho, Karolciu!... No, jak ci się podobam?

Przeszedł przez pokój i zatrzymał się przed nią. Zwiędła twarz Karoliny wyrażała zachwyt. Niezliczone zmarszczki dokoła ust i oczu ułożyły się promienistym uśmiechem:

— A mojaż ty panieneczko najukochańsza, a mojeż ty serce najsłodsze, niechże ci się napatrzę, niech stare oczy choć raz tobą naradują, takie moje śliczności, królewno ty moja najpiękniejsza...

— Powiedz, Karolciu, czy jestem ładna... czy jestem ładna?...

Staruszka nie odpowiedziała, tylko powieki jej drgać zaczęły, zaczerwieniły się zmarszczki i na tacę spadły dwie łzy, potem drugie dwie, i trzecie, i czwarte. Stała nieruchomo, nie spuszczając oczu z twarzy Krzysztofa, a taca tak się trzęsła w jej rękach, że Krzysztof wziął ją i odstawił na bok. Jemu samemu łzy zakręciły się w oczach. Objął staruszkę i przytulił ją do siebie.

— Mojaż ty gołąbeczko najdroższa — chlipała Karolina — moja kwiatuszko, moja panieneczko najcudowniejsza... Za co ciebie tak pokrzywdzili, na wieczną katorgę skazali, za jakie moje grzechy życie tobie zatruli, że nawet boskim imieniem cię nie nazwać,

[134] *kombinezka* (daw.) — jednoczęściowa bielizna damska, halka przedłużona doszytymi szortami. [przypis edytorski]

że nawet ludzkim sercem nie ogrzać, a na cóż ja cię własną piersią wykarmiła, a po co nockami nie spała, żeby na mękę taką cię wydali, świat przed tobą zamknęli, nijakiej radości nie dopuścili... Jezu miłosierny, przebacz im grzesznym, nieludzka to rzecz przebaczyć za taką krzywdę, słoneczko ty moje, oczki ty moje najpiękniejsze, rączki moje najbielsze, a kogoż wy obejmować będziecie, a czyjeż wy dziatki po główkach głaskać będziecie, a któż was całować i hołubić przyjdzie... Na świecie białym, a gorzej od klasztoru ją zamknęli, panieneczkę moją, gołąbeczkę moją...

Krzysztof ukrył twarz w sztywnym perkalowym[135] fartuchu i nie mógł powstrzymać szlochu. Wiedział, rozumiał, że to głupio, że nic nie pomoże, że roztkliwia się i rozżala jeszcze bardziej słowami Karoliny, ale pragnął ich, pragnął tego dojmującego słodkiego bólu i swoich łez, niemądrych dziecinnych łez, i rozpamiętywania swojej krzywdy, i tego szlochania, które zrywało płuca spazmatycznym rytmem.

Chciał być słabym, nie słabym, słabą, nieszczęśliwą dziewczyną, bezsilną, szukającą ratunku i pomocy... Zdaną na cudzą wolę, tuloną tak do piersi, słuchającą słów czułych przesiąkniętych łzami... Nie, nie, nie jest schizofreniczką, jest młodą, spragnioną życia dziewczyną z pełnym poczuciem swej kobiecości, z pełnią instynktów kobiecych, świadomą, buntującą się przeciw narzuconym więzom, żądającą prawa do życia i do miłości...

— Cicho, moje serce, cicho, moja gołąbeczko — powtarzała Karolina. — Bóg się nad nami zmiłuje, same rady nie damy, ale z Jego najświętszą pomocą nie takie rzeczy się naprawiały. Zobaczysz, jeszcze pojedziesz gdzieś daleko i tam już nie trzeba będzie udawać komedii, świat szeroki, tam już w swojej sukieneczce należnej będziesz chodziła, chłopcy się w tobie kochać będą... O tym to i zapomnisz...

— O kim zapomnę? — nie podnosząc głowy, zapytała.

— Toż o panu Pawle. Widzę to ja, widzę, że on tobie do serca przypadł, ale nic nie mówię. Mądry to on jest, ale na tobie się nie poznał. Innego znajdziesz, nie martw się.

— Pleciesz głupstwa, Karolciu, co ci się przywidziało?

— Może i przywidziało, oczy mam stare. Ale nie martw się. Tyś najlepszego warta, choćby samego króla. A pan Paweł zimny człowiek, serce u niego twarde, na człowieka patrzy, a o swoich sprawach medytuje, dobroci w nim nie ma. Inny by już sam nie wiedział, co zrobić za te twoje starania. Z grobu go, można powiedzieć, wyciągnęłaś, a on nawet na ciebie nie spojrzy. Wpadnie, dwa słowa powie i już go nie ma, tylko albo śpi, albo cięgiem przy robocie i na tym swoim grymafonie[136] gra, zamiast tę moją gołąbeczkę przytulić...

— Pan Paweł jest moim stryjecznym bratem — próbowała go bronić.

— To co? Ślepy chyba jest i już. Nie dla ciebie on, panieneczko moja... Krzysieńko najukochańsza. Bo ty tylko przed ludźmi masz imię Krzysztofa, a przed Bogiem toś Krystyna. Na chrzcie twoim to co tylko ksiądz powie „Krzysztofie", to ja cichutko: „Panie Boże, nie Krzysztof, ale Krystyna", a Bóg wie lepiej, na oszukaństwo go nie wezmą.

Krzysztof roześmiał się i zaczął ocierać twarz jeszcze wilgotną od łez:

— Moja Karolciu, tylko nie omyl się i nie nazwij mnie panienką przy kimkolwiek.

— Nie omylę się, duszko. Bo to ja kiedy inaczej w myślach ciebie nazywałam? Ale przyuczyłam się już.

— A pana Pawła nie można tak źle sądzić. Jest bardzo zajęty. Dla samego siebie czasu znaleźć nie może. Karolcia nie rozumie, że jego sprawy to są wielkie, wszechświatowe sprawy. No, idź już. Dobranoc.

— Dobranoc, gołąbeczko moja. Śpij dobrze.

Ale Krzysztof nie mógłby teraz spać. Zaraz po wyjściu Karoliny zabrał się do ponownego przeglądania sukien. Wreszcie wybrał czerwoną angielską sukienkę letnią. Była zupełnie dobra, tylko należało nieco zwęzić ją w biodrach. Sięgała ledwie za kolana, odsłaniając nogi bez wątpienia ładne. Również bardzo korzystnie wyglądała jej krótko po męsku ostrzyżona głowa przy obnażonych ramionach.

„Niewątpliwie jestem ładniejsza od Nity — pomyślała — a w każdym razie bardziej rasowa, bardziej finezyjna".

---

[135] *perkalowy* — wykonany z cienkiego bawełnianego płótna. [przypis edytorski]

[136] *grymafon* — zniekształcone: gramofon. [przypis edytorski]

Spostrzegła, że mówiła o sobie jak o kobiecie, i przestraszyła się, że może w ten sposób zdradzić się. Zawiniło tu podniecenie wywołane tymi strojami.

Zebrała wszystko i odniosła do pokoju szafowego. Zostawiła tylko czerwoną sukienkę, beżowe pończochy i śliczne brązowe pantofelki na wysokich obcasach. Jeszcze raz nałożyła sukienkę i stojąc przed lustrem, napięła szpilkami na biodrach miejsca, które należało poprawić. To był drobiazg. Wprawdzie nigdy się tego nie uczyła i o szyciu nie miała najmniejszego pojęcia, z tym jednak jakoś sobie poradzi.

Jutro wstąpi do jakiegoś mniejszego sklepu i kupi czerwonych nici. Cieszyła się tym jak dziecko.

Co też on powie, gdy ją tak zobaczy?...

Tylko włosy są za krótkie, chociaż niektóre panie nie noszą dłuższych. No i ruchy. Przez tyle lat podpatrywała sposób ruszania się mężczyzn, przez tyle lat starała się ich naśladować. Teraz nie potrafi poruszać się z wdziękiem. Przeszła się przed lustrem i westchnęła. Pomimo tego, że starała się iść najpłynniej, wydała się sobie kanciastą i sztywną. Nita poruszała się jak chłopiec, lecz miała w tym swój niewątpliwie dziewczęcy wdzięk.

To będzie wymagało całych studiów. Byle tylko nie wydać się Pawłowi śmieszną. Nietoperz, który z powodzeniem udawał czworonoga, musi stać się ptakiem. Musi jednak czymś jeszcze bardziej podkreślić tę przemianę. Na przykład jakiś naszyjnik, bransoletki, pierścionki. To zawsze bez wywołania zdziwienia może kupić w pierwszym lepszym sklepie. Niestety Halina nie zostawiła żadnej swojej biżuterii. A ona sama nie miała nawet pierścionka. Nigdy tego nie nosiła, w przeświadczeniu, że to niemęskie.

Nagle przypomniała sobie pierścień Pawła. Zaraz po jego wyjeździe bezmyślnie chodziła po pustych pokojach. Wówczas w łazience przy sypialni Pawła znalazła na umywalni[137] ten pierścionek z ogromnym brylantem, który on zawsze nosił. Poczytała to sobie nawet za dobrą wróżbę, a później przyszło jej na myśl, że może Paweł to zapomnienie będzie uważał dla siebie za złą wróżbę, i bardzo się tym zmartwiła. Nie wierzyła wprawdzie w żadne przesądy, ale tak jakoś...

Pierścionek owinęła w irchę[138] i schowała między bieliznę. Taki brylant musiał przedstawiać nie lada wartość.

Teraz wydobyła klejnot i nałożyła na palec. Był o wiele za duży i taki ciężki. Zbliżyła się do lampy, by mu się lepiej przyjrzeć. Nie znała się na tym, lecz rysunek oprawy i motywy ornamentacyjne świadczyły o pochodzeniu z epoki Ludwika XIV. Natomiast brylant z bliska bardzo tracił na efekcie. Był jakby mętnawy i nie dawał dość silnych blasków. W dodatku miał kilka skaz. Wyjęła powiększające szkło i przyjrzała się lepiej.

Skazy nie były skazami, lecz najwyraźniejszymi zadrapaniami zewnętrznymi. Nie, niepodobna, by była to imitacja, Paweł nie nosiłby tego. A jednak zadrapania na brylancie można zrobić tylko innym brylantem, i to mocno naciskając. Wyszukała jeszcze silniejszą lupę. Przez nią dostrzegła jeszcze więcej uszkodzeń. W dodatku wewnątrz kamienia były jakieś pyłki ciemniejsze i kręte smugi.

Opanowało ją zdumienie. Postanowiła sprawdzić swoje podejrzenia i zaraz nazajutrz wracając z fabryki, wstąpiła do jubilera na Marszałkowskiej. Położyła pierścionek na ladzie i zapytała:

— Chcą mi to sprzedać. Chciałbym wiedzieć, ile za to można dać, ile ten pierścionek jest wart?

Jubiler, gruby flegmatyczny Żyd, rzucił okiem na pierścionek, na eleganckie futro klienta, na auto stojące przed sklepem i rzucił pierścionek na wagę:

— Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt złotych — wzruszył ramionami.

— A kamień?

— Jaki kamień? — zdziwił się jubiler.

— No, brylant.

Twarz kupca rozciągnęła się w poprzek w pobłażliwym uśmiechu:

— Szanowny pan widać ma do czynienia z łobuzem. Niech szanowny pan tego ptaszka, co chce zwykłe szkło za brylanty sprzedawać, do komisariatu zaprowadzi.

— Więc to jest szkło? Z całą pewnością szkło?

---

[137] *umywalnia* (daw.) — mebel razem ze sprzętami do mycia się (miednicą, dzbankiem). [przypis edytorski]

[138] *ircha* — rodzaj zamszu. [przypis edytorski]

— Głowę mogę dać za to, co tam głowę, cały swój majątek!

— Dziękuję panu. Do widzenia.

Pomimo kategorycznej oceny jubilera postanowiła wstąpić jeszcze do drugiego. Tu otrzymała potwierdzenie i w dodatku objaśnienie, że oprawa jest tylko naśladownictwem autentyku.

— Widzi pan — uprzejmie objaśnił mały nerwowy Żydek — ten relief jest maszynowy spod zwykłej sztancy[139] i wykończenie niesolidne. Ledwie gdzieniegdzie pilniczkiem dotknął. Drezdeńska robota. Tam tego tuzinami robią w każdym stylu.

Wróciła do domu wręcz oszołomiona. W żaden sposób nie mogła pojąć powodów, dla których Paweł mógł nosić tę nędzną imitację. Gdyby tak dobrze nie znała tego pierścionka, gdyby setki razy nie widziała go na jego ręku, byłaby przekonana, że ktoś go zamienił.

Niepodobna było również przypuścić, że Paweł nosił to jako pamiątkę. Pierścionek był wybitnie męski, ciężki i w dodatku za wielki na największy kobiecy palec. A jednak musiało w tym być coś. Człowiek o tak wyrobionym smaku i tak bardzo bogaty nie nosiłby czegoś podobnego bez jakiejś głębszej przyczyny. Zdecydowała wreszcie, że w żaden logiczny sposób nie rozwiąże zagadki, i pierścionek jeszcze staranniej schowała do szafy.

Nieobecność Pawła znowu zdawała się przeciągać w nieskończoność. Wprawdzie już od tygodnia wrócił do Europy, ale interesy wciąż go trzymały w ustawicznych przejazdach między Paryżem i Londynem. Na próżno jednak szukała we francuskiej i angielskiej prasie jakichkolwiek o nim wzmianek. Wiedziała tylko, że pozostawał z Warszawą w nieustannym kontakcie telegraficznym.

Do niej odezwał się tylko dwa razy. Raz, gdy chodziło o wysłanie oferty Zakładów Przemysłowych dla jakiegoś argentyńskiego fabrykanta, bawiącego w Paryżu, drugi raz z prośbą zmobilizowania wszelkiej możliwej gotówki i przekazania jej dla jakiegoś Isaaksona w Londynie. Podniosła[140] wówczas z banku wszystkie pieniądze, jakie miała, i zastawiła swoje akcje. W sumie wyniosło to prawie trzysta tysięcy złotych. Przy zastawie dowiedziała się, że w tymże banku zastawione są również wszystkie akcje Pawła.

Ani przez chwilę nie zastanawiała się nad tym, że prowadzi on jakieś wielkie i prawdopodobnie bardzo ryzykowne transakcje giełdowe, przy których może, jak tylu innych, nawet wyjątkowo utalentowanych finansistów, stracić nie tylko swój majątek, lecz i jej. Hipoteka Zakładów była przecie niemal nadmiernie obciążona, akcje zaś zastawione. Bankructwo Pawła oznaczałoby i dla niej kompletną ruinę. Rozumiała to, lecz nie miała żadnej obawy.

Wierzyła w niego.

Zresztą nie wątpiła, że nie wciągałby jej majątku w swoją grę giełdową, gdyby mógł wszystko stracić. Jego szlachetność nie pozwoliłaby mu ryzykować cudzymi pieniędzmi, a w dodatku pieniędzmi istoty, która mu bez granic ufa. Mój Boże, przecie doskonale wie, że zgodziłaby się na ostatnią nędzę, gdyby tego zechciał, gdyby mu to mogło w czymkolwiek dopomóc!... Wystarczyłoby jego jedno słowo.

Nie miała też do niego żalu za to, że nie podziękował. Takie podziękowania trącą zawsze konwencjonalną grzecznością. Jeżeli tego nie zrobił, widocznie uważał się za uprawnionego, za tak jej bliskiego, że może jej własność traktować jak swoją, a czego bardziej mogła pragnąć!...

Fabryka mniej obecnie zabierała jej czasu niż za pierwszej podróży Pawła. Otrzaskała się już z wieloma sprawami, wielu rzeczy się nauczyła. Do tych przede wszystkim należał spokój w ocenie każdej rzeczy. Nie irytowało już jej niedokładne wykonywanie poleceń, nie napełniało niepokojem odkrycie jakiejś wady w wykonanej maszynie, nie podniecały spory z podwładnymi ani niezadowolone miny robotników.

Paweł powiedział jej kiedyś:

— Nie powinnaś tak przejmować się tymi sprawami. Być szefem to znaczy panować, a panować to to samo, co móc sobie pozwolić na wszystko z wyjątkiem okazania tego, co jest może uzasadnione, może nawet wytłumaczalne, lecz nie jest potrzebne.

Zresztą przyglądając się nieraz jego sposobowi załatwiania różnych kwestii fabrycznych, starała się go naśladować. Wkrótce przekonała się, że najlepiej na tym wychodzi.

[139] *sztanca* — stempel z twardego metalu do wytłaczania lub wycinania wzorów na przedmiotach. [przypis edytorski]

[140] *podnieść (pieniądze z banku)* (daw.) — pobrać, wypłacić. [przypis edytorski]

Dzięki temu, jak również dzięki pełnemu biegowi produkcji miała znacznie więcej wolnego czasu. Większość jego poświęcała czytaniu. Najchętniej siadywała w gabinecie Pawła na wielkiej otomanie[141]. Wszystko tu było duże, surowe, poważne. Połowę bocznej ściany zajmowała wielka kasa ogniotrwała o zielonym matowym połysku i okuciach z brązu. Olbrzymie czarne biurko, pozbawione wszelkich ozdób, miało spracowany, zniszczony blat, w wielu miejscach poprzeżerany kwasami lub pocięty głębokimi szramami.

Przy tym w powietrzu był tu zapach jakby świeżej gazety i spalonego laku.

Tu czuła się najlepiej. Każdy mebel, każdy sprzęt przypominał jego. Przed wyjazdem Paweł zostawił jej klucz od tego pokoju i prosił, by nie pozwalała nikomu tu wchodzić. Nigdy, nawet kiedy wychodził z domu na krótko, nie zostawiał otwartych drzwi do gabinetu. Sprzątanie odbywać się musiało z rana, gdy obok ubierał się w swojej sypialni. Zauważyła to, a dziwiła się temu tym bardziej, że wszystko tu było przecie pozamykane na mocne zamki, i to zamki bardzo oryginalne, sądząc z kluczy, które kiedyś, podczas choroby Pawła, miała u siebie.

Gdy przychodziła Nita, co zdarzało się raz lub dwa razy na tydzień, przechodziła do salonu lub do swego buduaru[142].

Pewnego wieczoru zjawił się Blumkiewicz. Zabrała go do siebie. Była przekonana, że zaszło coś ważnego, a umocniło ją w tym przekonaniu jeszcze bardziej to, że na jej pytanie odpowiedział:

— Nic się nie stało. Ot, wstąpiłem dowiedzieć się, jak zdrowie, czy pan nie ma żadnych kłopotów, może będę potrzebny.

— Dziękuję, panie Blumkiewicz. Wszystko dobrze.

Wpatrywała się weń, usiłując odgadnąć, co miał w zanadrzu. Blumkiewicz rozglądał się spokojnie:

— Ładnie tu u pana, panie Krzysztofie. Pan Paweł postarał się, żeby było ładnie i wygodnie. I ciepło. Na dworze straszny mróz. *A propos*[143], nie miał pan wiadomości od pana Pawła?

Drgnęła. W monotonnym głosie Blumkiewicza zdawała się czaić jakaś zła nowina. Wyraźnie czuła, jak krew jej uciekła z twarzy.

— Nie — odpowiedziała — nic nie pisał.

— Tak...

— Ma pan jakieś wiadomości?

Blumkiewicz uśmiechnął się niewyraźnie i przesunął ręką po łysinie, jakby ścierał z niej kurz.

— Niech pan mówi, niech pan prędzej mówi — chwyciła go kurczowo za rękę.

— Co mam mówić, przecie się jeszcze nic nie stało, nic nie wiadomo na pewno...

— Boże!... On nie żyje!

Nie straciła przytomności. Zerwała się z miejsca, zrobiła dwa kroki naprzód i poczuła straszny zawrót w głowie. Pokój zawirował przed oczami. Blumkiewicz chwycił ją pod rękę i usadowił w fotelu:

— Ależ nic się nie stało. Panie Krzysztofie, może wody?...

— Nie, nie, niech pan mówi!

— Kiedy nie mam nic do mówienia. Sam nic nie wiem. Nikt nie wie. Przed chwilą byłem u dyrektora Kolbuszewskiego. On też nic nie rozumie.

— Mówże pan!

— Właśnie przyszedłem, bo pomyślałem sobie, że może pan dostał od niego depeszę? Tymczasem okazuje się, że nikt. Miał wczoraj wydać mi ważne dyspozycje, miał telefonować z Paryża, nawet telegraficznie zapowiedział, bym nie wychodził z „Optimy" przed południem. Czekałem cały dzień. Dziś sam zatelefonowałem. W hotelu jest tylko sekretarz i nic nie wie. Kolbuszewski zatelegrafował do Londynu i hotel odpowiedział, że miał przybyć, ale nie przybył. Sprawdzono, że widziano go ostatni raz na paryskim lotnisku, ale nie odleciał żadnym samolotem, w spisie pasażerów nie ma go.

---

[141] *otomana* — rodzaj niskiej kanapy z wałkami po bokach zamiast poręczy i miękkim oparciem. [przypis edytorski]

[142] *buduar* (z fr.) — pokój kobiety, służący głównie do odpoczynku. [przypis edytorski]

[143] *a propos* (fr.) — przy okazji, w związku z; wyrażenie wprowadzające nowy temat w nawiązaniu do czegoś, o czym była mowa wcześniej. [przypis edytorski]

Odetchnęła z ulgą. Spodziewała się czegoś znacznie gorszego.

— No — odpowiedziała — nie miał przecie obowiązku nikomu się opowiadać. Może istotnie miał jechać samolotem do Londynu, lecz coś go zmusiło do zmiany planów.

Blumkiewicz gorliwie przytaknął:

— Oczywiście. Ja też nie wierzę, żeby te dwa dni nieobecności miały zaraz świadczyć o czymś nadzwyczajnym. Dzięki Bogu, pan Paweł zupełnie zdrowy, a żeby tam jakieś niepowodzenie w operacjach giełdowych miało każdego przyprawiać o samobójstwo...

— Co? — zerwała się bardziej oburzona niż przerażona. — Co za brednie! Skąd pan wziął to przypuszczenie?!

— Ależ to nie ja, jak Boga kocham, panie Krzysztofie, że nie ja! Ja na moment w to nie wierzę. To londyński agent pana Pawła tak się przestraszył.

— No, ale na czymś musiał opierać te swoje niedorzeczne obawy?

Blumkiewicz rozłożył ręce. Z wyrazu jego twarzy można było wnioskować, że wie znacznie więcej, niż chciałby powiedzieć. Wreszcie zapytał jakby mimochodem:

— Czy pan zwrócił uwagę na akcje kauczukowe?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Ale pan wie, panie Krzysztofie, że pan Paweł kupował ich trochę... Może nawet dużo?

Nic o tym nie wiedziała, lecz znowu skinęła głową.

— Otóż pan Paweł mógł się w tym przerachować. Mógł liczyć na hossę. Tymczasem właśnie przedwczoraj przyszła nowa zniżka, i to znaczna. Przed trzema dniami zdołał doprowadzić te akcje do dość poważnej zwyżki, lecz nastąpił drugi krach i dlatego właśnie jego agent londyński jest w strachu. Ja sam nie wiem, co robić. Naradzałem się z dyrektorem Kolbuszewskim, czy nie należałoby pojechać do Paryża i wszcząć poszukiwania. Z drugiej znowu strony Kolbuszewski powiada, by się nie wtrącać, skoro sami nie orientujemy się, co się stało. Bo jeżeli przyszło jakieś nieszczęście i on już, nie daj Boże, nie żyje, to i tak mu nie pomożemy, a jeżeli umyślnie wyjechał dokądś i nie zostawił adresu, to narobiwszy alarmu, możemy mu cokolwiek popsuć. Właśnie przyszedłem do pana, myślałem, że pan będzie w tej materii coś wiedział albo przynajmniej jakoś nam doradzi.

— Cóż ja mogę doradzić... — odpowiedziała. — Jedno uważam za pewne: Paweł nie należy do takich ludzi, jacy mogą zginąć niczym szpilka w stogu siana. Na to, żeby wiedzieć, co i dlaczego robi, trzeba albo jego samego zapytać, albo mieć taką samą głowę, jak on. Na razie nie widzę powodu do niepokoju.

Spostrzegła wprawdzie, że Blumkiewicz nie był przekonany i że w dalszym ciągu męczyły go obawy, lecz wyprawiając go, jeszcze raz z naciskiem zaznaczyła, że stanowczo jest przeciwna wszczynaniu jakichkolwiek poszukiwań. Jednakże pewność siebie, z jaką przekonywała Blumkiewicza, po jego wyjściu mocno się zachwiała.

Przyszły różne refleksje. Niewątpliwie należało wykluczyć idiotyczne przypuszczenia o samobójstwie Pawła. Człowiek taki jak on, i samobójstwo!...

Jeżeliby nawet stracił wszystko, jeżeliby stał się z dnia na dzień zupełnym bankrutem, na pewno nie zrobiłby tego. Znał przecie swoją wartość i wiedział, że nie dziś, to jutro znowu stanąłby na nogi.

Pozostawały jednak inne możliwości, i to możliwości prawdopodobne. Więc przede wszystkim zwykły nieszczęśliwy wypadek. Napad bandytów, katastrofa samochodowa czy coś w tym rodzaju.

Kiedyś czytała, że w samym Paryżu ginie codziennie dwadzieścia kilka osób, których policja już nigdy nie odnajduje.

Poza tym jeszcze bardziej uzasadniona ewentualność: jeżeli Paweł prowadził wielką grę na giełdzie, musiał mieć przeciwników. O moralności zaś rekinów giełdowych miała aż nadto wyrobione zdanie na podstawie wagonowej lektury[144]. Tacy ludzie chwytają się wszelkich środków, aż do morderstwa włącznie.

[144] *wagonowa lektura* a. *wagonowa literatura* (pot.) — szablonowa proza na niskim poziomie, skierowana do niewymagających odbiorców czytających książki dla zabicia czasu np. w podróży. [przypis edytorski]

Położyła się do łóżka około jedenastej, lecz nie mogła zasnąć. Wreszcie wstała i poszła do telefonu. Jak na złość linia była zajęta i dopiero po upływie godziny uzyskała połączenie z Hôtel Ritz[145] w Paryżu.

Tam oświadczono jej, iż pan Paweł Dalcz nie zjawił się, a gdy poprosiła wobec tego jego sekretarza, dowiedziała się, że ten właśnie przed chwilą wyjechał, zabierając wszystkie rzeczy, na dworzec St. Lazare.

To ją uspokoiło zupełnie. Widocznie sekretarz musiał otrzymać polecenie wyjazdu, a polecenie takie wydać mógł jedynie Paweł. Zatem żyje, a to, że się ukrywa, że pozostawia wszystkich swoich podwładnych bez dyspozycji i wskazówek, pozostaje na pewno w ścisłym związku z jego planami.

Pomimo to nie spała tej nocy, nazajutrz zaś podczas południowej przerwy pojechała do „Optimy", by zobaczyć się z Blumkiewiczem. On wiedział już także o wyjeździe sekretarza, lecz nie był tak dobrej myśli.

Ze zdziwieniem zauważyła, że fabryka jest nieczynna. Wokół panowała zupełna cisza.

— Co to, strajk u pana? — zapytała.

Blumkiewicz zmieszał się i wyjaśnił, że zepsuły się niektóre maszyny i dlatego zmuszony był zatrzymać fabrykę na czas remontu, który potrwa kilka dni.

— Nie wiem nawet, co się zepsuło, lecz trzeba wszystko sprawdzić. Musi być jakiś zasadniczy defekt.

Znała Blumkiewicza zbyt dobrze, by nie poznać po nim, że zatrzymanie fabryki i ów defekt muszą mieć jakieś głębsze znaczenie. Ponieważ zaś najprostsze wydało się jej przypuszczenie, iż Blumkiewicz uległ nierozumnej panice z powodu rzekomego zniknięcia Pawła, oburzyła się:

— Nie rozumiem pańskiego postępowania. Jest pan starym doświadczonym człowiekiem, a zachował się pan w tym wypadku niżej wszelkiej krytyki. Otóż kategorycznie żądam w imieniu Pawła, by pan natychmiast uruchomił fabrykę. Natychmiast. Wprawdzie Paweł nie pozostawił mi żadnych pełnomocnictw, ale całą odpowiedzialność za tę decyzję biorę na siebie. Proszę dziś jeszcze wznowić produkcję.

Blumkiewicz otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Wstał, wyjrzał za drzwi dla sprawdzenia, czy nikt nie podsłuchuje, i niezdecydowanie zatrzymał się w środku pokoju. Zapaliła papierosa i powiedziała:

— To niesłychane. Człowiek wyjeżdża w przeświadczeniu, że pozostawieni przezeń ludzie godni są jego zaufania, a tu robi się jakaś panika i wprowadza się dezorganizację w jego interesy.

— Broń Boże — zasłonił się rękami Blumkiewicz — niech pan tak nie myśli. Sam pan wie, jak ja jestem przywiązany do rodziny Dalczów. A jeżeli pan myśli, że chcę działać na szkodę pana Pawła, to też się pan myli, panie Krzysztofie. O, niech pan sam zobaczy.

Wydobył z pugilaresu[146] starannie złożony arkusik papieru i podał Krzysztofowi:

— To mój cały majątek.

Było to pokwitowanie podpisane ręką Pawła na sto czterdzieści tysięcy złotych, zaciągniętych jako dług prosty. Zwróciła mu kartkę i zapytała:

— Więc dlaczegóż „Optima" stoi?

Blumkiewicz pochylił się ku niej i powiedział szeptem:

— Bo ta „Optima" to się wcale okazała nie *optima*[147]. W maszynach musi być jakiś feler[148] czy w samym wynalazku, dość że ten kauczuk to okazał się do niczego.

— Jak to do niczego?

— Właśnie wczoraj jeden z naszych odbiorców odesłał z Wiednia cały transport. Całe siedem ton. Kazałem to zamknąć w składzie, żeby nikt na oczy nie widział, bo oto co zrobiło się z naszego kauczuku. Niech pan sam zobaczy: to wyszło z „Optimy" trzy miesiące temu. Jedna z pierwszych wysyłek.

Położył przed nią kawałek matowej brunatnej masy wielkości pięści. Kauczuk był sztywny, strzępiący się i kruchy.

---

[145] *Hôtel Ritz w Paryżu* — wspaniały hotel pałacowy przy placu Vendôme, jeden z najbardziej prestiżowych i luksusowych hoteli na świecie. [przypis edytorski]

[146] *pugilares* (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

[147] *optima* (łac.) — najlepsza. [przypis edytorski]

[148] *feler* (pot.) — wada, usterka. [przypis edytorski]

— I cały transport taki. Powtarzam: musi być jakiś feler.

— Ależ to niemożliwe! Rzecz była badana przez wielu ekspertów. Ogólnie kauczuk syntetyczny wywołał zachwyt, uznany został za lepszy od naturalnego!

Blumkiewicz wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

— Paweł nie dałby się oszukać. Nie pakowałby w to pieniędzy. Zresztą przecie tu wszystko jest zrobione z tego syntetycznego kauczuku. Te meble przecie są ebonitowe — uderzyła palcem w oparcie krzesła — i to trzyma się świetnie. Jezdnia była najdawniej zrobiona, nie ma w niej żadnych uszkodzeń.

— To prawda — zdawkowo potwierdził Blumkiewicz.

— Więc czym pan to tłumaczy? Część produktu była dobra, a część zła? Rozumiem, że mogą być jakieś drobne różnice, lecz przecież nie takie!

— Wszystko to jest słuszne, panie Krzysztofie, wszystko to jest logiczne, ale cóż ja poradzę, że w praktyce jest wręcz inaczej?

— A co na to mówi chemik fabryczny?

— Też dziwi się i też nie ma pojęcia, w jaki się to mogło stać sposób.

Zerwała się i zaczęła chodzić po pokoju. Jakżeby chciała właśnie teraz, podczas nieobecności Pawła, znaleźć jakąś radę, jakżeby chciała, by gdy on wróci, dowiedział się, że niebezpieczeństwo przez nią zostało usunięte. W każdym razie należało działać. Zatrzymała się przed Blumkiewiczem i powiedziała stanowczo:

— Musi pan natychmiast sprowadzić inżyniera Ottmana i wziąć go dobrze za kark. To jego sprawka. Początkową produkcję on prowadził, a gdy został usunięty od kierownictwa, musiał coś zepsuć czy przeinaczyć w recepcie. Trzeba go zmusić do ujawnienia machinacji. Jeżeli nie będzie chciał, po prostu oddać go w ręce prokuratora.

Blumkiewicz uśmiechnął się i przecząco potrząsnął głową.

— Wszystko to można by zrobić, nawet należałoby zrobić, gdyby nie jedna rzecz: pan Paweł najkategoryczniej zabronił nie tylko wpuszczania Ottmana na teren fabryki, lecz nawet komunikowania się z nim w jakiejkolwiek sprawie.

— No dobrze, ale zaszedł tak nieprzewidziany wypadek!

— Może nieprzewidziany, a może i przewidziany. Ja nie mam prawa w to się wtrącać. W każdym razie zakaz porozumiewania się z Ottmanem pan Paweł powtórzył trzykrotnie. Nawet wyjeżdżając, na peronie przypomniał mi to jeszcze: cokolwiek by się stało, Ottman nie istnieje i nie zapomnij pan tego, panie Blumkiewicz, bo to jest najważniejsze. Nikomu też o niczym ani słówkiem nie pisnąłem. Dowiadywałem się, ale dowiadywałem się bardzo ostrożnie i zebrałem wiadomości, że Ottman mieszka w Milanówku. Kupił tam sobie willę i urządził laboratorium.

— Mniejsza o to. Skoro miał pan tak wyraźną dyspozycję Pawła, oczywiście nie ma po co sprowadzać Ottmana. Ale co wobec tego robić?

— Żebym ja sam wiedział — westchnął Blumkiewicz.

— W każdym razie niech pan uruchomi fabrykę. Będą straty, to trudno. Kiedy pan zatrzymał produkcję?

— Od dziś rana. Robotnikom powiedziało się, że szwankują maszyny. Może i ma pan rację. Może to i lepiej. Wobec tego od jutra znowu ruszymy.

Wprost z „Optimy" pojechała do domu. Była wstrząśnięta wiadomościami, jakie otrzymała od Blumkiewicza.

Teraz już niczego nie rozumiała. Wszystko zdawało się zaciemniać coraz bardziej. Jeżeli przedtem nie można było przypuszczać, by Paweł pozbawił się życia, teraz należało wziąć pod uwagę, że mógł od jednego z zagranicznych odbiorców „Optimy" dowiedzieć się o bezwartościowości kauczuku syntetycznego, w który nie tylko sam włożył dużo pieniędzy, wciągnął również wielu kapitalistów obcych. Jeżeli jednocześnie poniósł znaczne straty na giełdzie, równałoby się to nie tylko ruinie materialnej, lecz także i podcięciu autorytetu moralnego.

W tych warunkach nie mogła sobie wyobrazić Pawła obezwładnionego, bez środków działania, wytrąconego z tej wspaniałej drogi, jaką tak szybko się posuwał naprzód. Tu należało liczyć się z najgorszymi możliwościami.

Wieczorem jeszcze raz telefonowała do Paryża, lecz bez żadnego skutku. W hotelu nic nie wiedziano. Nazajutrz wstąpiła do dyrektora Kolbuszewskiego w Centrali Eksportowej.

Była tu po raz pierwszy.

Centrala zajmowała cały front dużego gmachu przy ulicy Jasnej. Wszystko tu było urządzone może nawet z przesadnym przepychem. Wygalonowana[149] służba, dywanami zasłane poczekalnie, luksusowe meble. W ciężkich ozdobnych ramach wisiały na ścianach fotografie różnych fabryk polskich. W środku w hallu[150] wznosił się (inaczej trudno to było określić) ogromnych rozmiarów portret Pawła. Postać naturalnej wielkości w grubym popielatym ubraniu, z papierosem w ustach i z pliką[151] papierów w ręku uosabiała siłę, spokój i pewność siebie.

Po marmurowych schodach wchodziło się na pierwsze piętro, gdzie były gabinety dyrekcji. Kolbuszewski miał właśnie u siebie jakichś interesantów, lecz otrzymawszy kartę wizytową Krzysztofa Dalcza, natychmiast wybiegł na korytarz i przeprowadził ją do sali konferencyjnej. Był wyjątkowo podniecony:

— Nie ośmielałem się pana niepokoić — mówił — ale widząc teraz pana u siebie, odetchnąłem z ulgą. Oczywiście ma pan jakieś informacje o naszym prezesie?

— Niestety żadnych. Chodziło mi właśnie o naradzenie się z panem, czy nie należy przedsięwziąć jakichś kroków celem odszukania mego stryjecznego brata.

Kolbuszewski chwycił się za głowę. Widocznie długo opanowywane zdenerwowanie było już ponad jego siły:

— Ja nie wiem, ja głowę tracę, pojęcia nie mam, co robić. Prezes zostawił tyle spraw w stadium najgorszym, wali się na mnie niemal co godzinę jakiś pasztet[152]. Robię, co mogę, to znaczy dobrą minę i staram się wszystko przeciągać. Ale to przecie nie może trwać wiecznie! W dodatku mam zatarg z pracownikami. Od dwóch miesięcy nie płacę im pensji. Lada dzień może wybuchnąć strajk. Właśnie z tym chciałem zwrócić się do pana. Kwota nie tak duża, kilkadziesiąt tysięcy, gdyby pan mógł...

— Niestety, nie rozporządzam teraz gotówką, ale czyż pan nie ma kredytów? Przecie każdy bank chętnie tak niewielką sumą mógłby służyć.

— Gdzież tam! — z desperacją machnął ręką Kolbuszewski. — Pan prezes wyciągnął wszystko, co się tylko dało wyciągnąć, do tego stopnia, że w najmniejszych banczkach brał bodaj po kilkanaście tysięcy. Jeżeli rzeczywiście coś niedobrego się stało, no, to jeszcze takiego krachu Polska nie widziała!...

Po dłuższej naradzie z Kolbuszewskim postanowili zrobić wszystko, by wytrwać jak najdłużej. Wychodząc, podpisała mu dwa weksle po pięćdziesiąt tysięcy. Wprawdzie nie było wielkiej nadziei na ich zdyskontowanie[153], ale Kolbuszewski chciał jeszcze próbować szczęścia.

Ile razy wracała do domu, pierwszym jej pytaniem było, czy nie ma depeszy. I tym razem jednak nie było.

Nie mogła jeść obiadu. Wypiła dwie filiżanki czarnej kawy, kazała przenieść aparat telefoniczny do swego pokoju i siedziała nieruchomo, nie zapalając światła.

— To niemożliwe — powtarzała — to niemożliwe.

Chwilami zrywała się i biegała po pokoju, przeklinając, że musi być bezczynna, że nic zrobić nie może. W następnym jednak momencie popadała w zupełną rezygnację, graniczącą z apatią. Za oknami brzęczały janczary[154]. Dziś całe miasto było zasypane śniegiem. Lekki mróz pociągnął dolną część szyb delikatnymi wzorkami lodu, na których znaczyły się czarno cienie nagich gałęzi.

Czasami tuż pod oknami przesuwał się pałąk wozu tramwajowego, z którego tryskały małe oślepiające iskierki, oświetlając jak błyskawicą wnętrze pokoju. Jeden po drugim rozlegał się warkot motoru. Samochody tu dodawały gazu. Nagle jeden z nich zatrzymał się przed domem. Głośno trzasnęły drzwiczki.

Nieraz, kiedy Paweł był w Warszawie, do późnej nocy czekała na ten dźwięk. Był sygnałem jego powrotu.

Leniwie wstała i podeszła do okna.

---

[149] *wygalonowana służba* — służba w liberii obszytej galonami, czyli złotą lub srebrną taśmą. [przypis edytorski]

[150] *hall* — duży, reprezentacyjny korytarz. [przypis edytorski]

[151] *pliką papierów* — dziś popr.: plik papierów. [przypis edytorski]

[152] *pasztet* (pot. przen.) — niespodziewana kłopotliwa sytuacja. [przypis edytorski]

[153] *dyskontować weksel* — realizować należność wekslową przed upływem terminu płatności, co wiąże się z potrąceniem przez odkupującego weksel (zwykle bank) dyskonta, tj. pewnej części sumy, na jaką wystawiono weksel. [przypis edytorski]

[154] *janczary* — dzwonki przy końskiej uprzęży. [przypis edytorski]

Przed bramą stała taksówka. Obok niej pasażer rozliczał się z szoferem. Pień drzewa zasłaniał jego głowę. Przechyliwszy się, jednak mogła zobaczyć szeroki ciemny kołnierz futra.

Serce jej ścisnęło się nagłym skurczem. W tej chwili pasażer się odwrócił i szybko wszedł do bramy.

Chciała krzyknąć, lecz zabrakło jej tchu. Chwiejąc się na nogach i zataczając, biegła do przedpokoju. Ręce tak jej dygotały, że nie mogła odnaleźć kontaktu. W drzwiach szczęknął zatrzask.

W smudze światła przesunęła się wysoka sylwetka w rozpiętym futrze i drzwi się zamknęły.

Nie wiedziała, co robi. Rzuciła się do niego, przywarta doń z całej siły. Wyciągnięte ręce oplotły się koło jego szyi.

— Jesteś... jesteś...

Jego głowa pochyliła się i oto uczuła na wargach dotyk jego ust, zimnych z mrozu, mocnych, upragnionych. Obsypywała pocałunkami jego policzki, oczy i znowu usta. Musiała w każdej setnej sekundy przekonywać się, że oto wrócił, że jest, że go odzyskała, że dotyka go żywego i całego swymi rękami, swymi ustami.

— Jesteś, wróciłeś... jedyny, kochany — powtarzała drżącym szeptem, którego sama nie mogła dosłyszeć.

— Tak czekałaś na mnie? — zapytał równie cicho.

— Oooo!...

— No, przytul się. — Ogarnął ją futrem i przycisnął do siebie.

Była pijana. Z ustami przy jego ustach, z piersią przy jego piersi, z szumem, który ogarniał głowę, z szumem krwi huczącej w tętnicach na skroniach, przerywającej bicie roztrzepotanego serca. Nie wiedziała niczego, nie pamiętała o niczym. Uniósł ją lekko w górę, pocałował jeszcze mocniej w usta i powiedział:

— No, chodźmy.

Nie zdejmując futra, szedł do swego gabinetu. Trzymała się jego ręki, teraz go wyprzedziła, by otworzyć drzwi, lecz ręce jej tak drżały, że po ciemku nie mogła trafić kluczem do zamku. Wreszcie otworzyła. Było tu jeszcze ciemniej.

Paweł niespodziewanie włączył kontakt i oboje zmrużyli oczy. Rzucił futro, kapelusz i teczkę na otomanę i rozejrzał się:

— No, tutaj wszystko w porządku. Jakże się miewasz, Krzysieńko? Chodź, pokaż mi się. Dziewczyno, tyś jeszcze zeszczuplała!

Pociągnął ją za rękę i posadził przy sobie. Miał twarz nieco zmęczoną, lecz jego szare głębokie oczy uśmiechały się serdecznie i ciepło.

— Pawle, jak dobrze, żeś już wrócił. Jak to dobrze!... — Obu rękami głaskała jego rękę.

— I ja się cieszę. Jestem diabelnie zmęczony.

— Pewno jesteś głodny? — zerwała się. — Każę ci przygotować...

— Stop, kochanie — przytrzymał ją za rękę i roześmiał się swobodnie tym swoim kochanym niskim głosem. — Widzę, że obudziły się w tobie instynkty gospodyni, panie inżynierze! Ależ nie wstydź się! To jest czarujące, zapewniam cię, że sprawiło mi to wielką przyjemność, czuję się jakby w przystani po tej wariackiej włóczędze.

— Ale nie jesteś głodny?

— Nie. Jadłem w wagonie restauracyjnym. Natomiast wypiłbym szklankę czerwonego wina. Jeżeli nie zmieniłaś tu porządku, to w kredensie z lewej strony musi być butelka Charmes-Chambertin[155]...

Nim skończył mówić, wybiegła.

— Halo! — krzyknął za nią. — Halo, a nie mów nikomu, że jestem!...

Wróciła, stanęła w progu i skinęła głową. Siedział uśmiechnięty z łokciem opartym o poręcz, bezpieczny, silny, pewny siebie, taki jak zawsze. Jakie to szczęście, że już się skończyły wszystkie obawy, że już jest tutaj...

[155] *Charmes-Chambertin* — gatunek czerwonego wina francuskiego z Burgundii. [przypis edytorski]

Prędko wróciła z winem i z kieliszkiem. Paweł właśnie włożył teczkę do kasy pancernej i zamykał ją na klucz. Nalała pełny kieliszek i postawiła na niskim stoliku przy otomanie. Chciała, żeby tu usiadł, gdyż wówczas mogła być tuż przy nim.

Pocałował ją w rękę:

— Bardzo cię przepraszam — powiedział — ale winne temu twoje męskie ubranie. Posłałem cię po wino niczym chłopca. Nie gniewasz się na mnie?

— Oooo!...

— Jesteś dla mnie bardzo dobra — posmutniał — zanadto dobra... No i... cóż tu słychać w Warszawie? Jak tam w fabryce?

— Wszystko w zupełnym porządku. Ofertę temu Argentyńczykowi posłaliśmy, ale jeszcze żadnej odpowiedzi nie ma. Boję się, że nas Szwedzi przelicytują.

— Tak myślisz? Nie sądzę. Oni mają z Argentyną jakiś zatarg i wypowiedzieli sobie traktat handlowy, my zaś korzystamy z największego uprzywilejowania. A cóż poza tym?

— Pawle... Gdzieś ty był tyle czasu! Nie masz pojęcia, co tu się działo! Wszyscy niepokoiliśmy się w najwyższym stopniu. Cztery dni! Można było najgorsze rzeczy przypuszczać!...

Roześmiał się i wziął ją za rękę:

— A co jest najgorsze?

— Ty żartujesz — powiedziała — ale nam tu było nie do żartów.

— Jak to nam? Tobie i komu?

— Kolbuszewskiemu, Blumkiewiczowi... Nikt nie wiedział, gdzie jesteś, co się z tobą dzieje. Kolbuszewski był w rozpaczy, a Blumkiewicz obawiał się... On otrzymał wiadomość od jakiegoś twego agenta z Londynu, że z twoimi interesami jest bardzo źle, i w związku z tym twoje zniknięcie...

— Krótko mówiąc, myśleli, że palnąłem sobie w łeb? Że straciłem wszystko i w uproszczony sposób przeniosłem się na tamten świat? Nie, moja droga, wprawdzie zrobiłbym w ten sposób wielką przysługę niektórym ludziom, ale jestem już taki nieużyty, że wolałem zostać na tym padole płaczu.

Patrzyła nań i z wyrazu jego twarzy nie mogła wywnioskować, czy ukrywał się, gdyż chciano go zabić, czy z jakichś innych powodów.

W każdym razie była przekonana, że jego potajemny powrót, po ciemku, bez rzeczy, mógł teraz oznaczać tylko klęskę na całej linii. Zrobiło się jej bardzo nieprzyjemnie. Oczywiście szczęśliwa była, że wrócił, że jest zdrów i cały, że powitał ją tak serdecznie... Oczywiście... A jednak już to, że wrócił pokonany, że musi nadrabiać miną, by przed nią udawać dobry humor, że po prostu zawiódł jej nadzieje, jakoś go to wszystko pomniejszało, pospolitowało, odbierało ten czar, który tak na nią działał.

Zdawała sobie z tego sprawę i poczuła o to żal do siebie. To było takie nieszlachetne z jej strony. Przeciwnie, powinna zrobić wszystko, by mu okazać teraz właśnie najwięcej serdeczności, by mu pozwolić zapomnieć o przegranej. Należało przytulić się doń, lecz teraz było to zbyt trudne.

Tam, w przedpokoju, nie paliło się światło, no i nie zastanawiała się nad tym, co robi...

— Tak się cieszę — powiedziała — że nareszcie wróciłeś...

— Powiedzże mi teraz, dlaczego Kolbuszewski jest w rozpaczy?

— To przykre — odpowiedziała tonem prośby. — Może odłożymy to na później...

— Nie, właśnie rzeczy przykre należy łykać jak lekarstwo, jednym haustem. Więc?...

Starała się mówić jak najzwięźlej. Opowiedziała o swej bytności w Centrali Eksportowej i powtórzyła rozmowę z Kolbuszewskim. Paweł słuchał spokojnie, na jego twarzy nie drgnął ani jeden muskuł. Gdy skończyła, skrzywił się:

— Kolbuszewski to wyjątkowo zdolny człowiek, jeżeli chodzi o handel. Natomiast nie ma pojęcia o dwóch rzeczach: o utrzymaniu podwładnych w garści i o wydobywaniu pieniędzy. Nałóg starej szkoły. Każdemu z nich się zdaje, że gotówkę można otrzymać tylko wówczas, gdy się daje pełną gwarancję jej zwrotu. Zwykłe nieporozumienie. Gdy wyjeżdżałem do Ameryki i zaczynałem tę kampanię, rozporządzałem takimi kwotami, których nie mógłbym pokryć mymi aktywami nawet w dziesięciu procentach.

Opuściła głowę. Ogarnęło ją przerażenie. Przypomniały się jej słowa Kolbuszewskiego o takim krachu, jakiego jeszcze Polska nie widziała, przypomniała się hipoteka Dalczów i kwit widziany u Blumkiewicza.

— Nie każdemu dają ludzie pieniądze — bąknęła — na piękne oczy.

— Masz, moja droga, rację. Kolbuszewski na swoje prawdopodobnie nie dostałby zbyt wiele, ale mógł wziąć na moje. Co zaś dotyczy upominania się rządu o wpłaty, miał również wymówkę, że beze mnie nie może decydować ani udzielać wyjaśnień, bo sam nie wie.

— Zapominasz, że nie wiedział, kiedy wrócisz, i czy...

— I czy w ogóle diabli mnie nie wzięli? — Zaśmiał się i uderzając się dłonią po kolanie, dodał: — Wszyscy musieli tak myśleć i, do licha, myślą do tej chwili!

W jego głosie zabrzmiało jakby zadowolenie z siebie, jakby przechwałka. Nalał sobie wina, przyjrzał się mu pod światło i powiedział:

— Jednego się obawiałem: że zaczną mnie szukać, że podniosą gwałt. Na szczęście dobrze obliczyłem wytrzymałość ich nerwów.

— Chcieli cię szukać. — Spojrzała nań i zaraz opuściła oczy. — Chcieli i byliby już przedwczoraj zrobili alarm, ale sprzeciwiłam się temu.

— Blumkiewicz?

— Tak.

— To, psiakrew, tchórz. — Strzelił palcami. — Powinienem był przewidzieć tę semicką nerwowość. Cóż z tego, że przyjaciel rodziny? Ładnego bigosu nawarzyłby mi. W każdym razie bardzo ci dziękuję. Dzielna z ciebie dziewczyna. Myślałem jednak, że Blumkiewicz ma więcej zimnej krwi.

— Nie można mu się dziwić — potrząsnęła głową. — Znalazł się istotnie w strasznej sytuacji. Nie chciałam dziś tobie tym głowy zaprzątać, ale już powiem... Czy wiesz, że jeden z odbiorców odesłał cały transport „Optimy"?

— Dlaczego odesłał? — bez zdziwienia zapytał Paweł.

— Dlatego... że kauczuk skruszał. Stał się do niczego.

Spodziewała się, że Paweł się przerazi, że wiadomość ta wywrze na nim wrażenie, którego nawet on nie potrafi ukryć.

Siedział jednak nieporuszony, jakby czekał dalszych szczegółów.

Zaczęła mówić. Sama miała to w ręku. Kauczuk jest rzeczywiście na nic. Strzępi się i rozsypuje na drobne wiórki. Rzecz nie do pojęcia, zważywszy że na jezdni, w ebonitowych meblach, a nawet w niektórych partiach na składzie trzyma się doskonale. Chemik fabryczny, a także i Blumkiewicz nie umieją sobie tego wytłumaczyć. Albo wchodzi tu w grę przypadkowość, albo zła wola Ottmana, który świadomie zataił coś z recepty przez zemstę za usunięcie go od kierownictwa. Blumkiewicz przez oszczędność wstrzymał dalszą produkcję.

— A to idiota! — zerwał się Paweł. — Powiadasz, że wstrzymał? Może jeszcze i Ottmana wezwał?

— Nie — uspokoiła go — Ottmana nie wezwał, gdyż twierdził, że miał wyraźny twój zakaz, a co dotyczy wstrzymania, to trwało ono tylko jeden dzień. Teraz fabryka jest w pełnym ruchu.

— No dobrze, a czym motywował wobec personelu zatrzymanie fabryki?

— Potrzebą remontu. Powtarzam, że wcale mu się nie dziwię. Mówił, że nie sypia po nocach i nie wie, co robić. Aż mi go żal... Nie miałam nigdy zaufania do tego Ottmana. Taki ciamajda. Musisz go jednak sprowadzić, bo przecież może się okazać, że fabryka w dalszym ciągu produkuje szmelc, a każdy dzień przynosi duże straty. No i dobrze byś zrobił, zawiadamiając Blumkiewicza o swoim przyjeździe...

— Nie, nie. Chcę przynajmniej jeden dzień odpocząć. Dzień lub dwa. Wierz mi, moja droga, że mi się to święcie należy. Zresztą na razie nikomu nie jestem potrzebny. Jeżeli jednak sądzisz... Hm... Zrobimy zatem tak: zadzwonisz do Blumkiewicza i do Kolbuszewskiego też. Powiesz im, że skomunikowałaś się ze mną, że zjawię się w Warszawie za dwa dni. Wszystko ma iść normalnym trybem. Poza tym niech Blumkiewicz natychmiast zwróci się do dwóch chemików. Muszą to być ludzie bardzo szanowni, na przykład profesorzy. Niech zaprosi ich do zbadania przyczyn psucia się części kauczuku. Może im pokazać recepty i wszystko, co chce. Jednocześnie niech telegraficznie zawiadomi o całej

historii najszczegółowiej biuro koncernu w Paryżu, dodając, że prosi o powiadomienie o tym pana Pawła Dalcza, który właśnie bawi w Paryżu. Depesza nie powinna mieć tonu alarmującego, lecz wyraźnie zaniepokojony.

Mówił to tonem, jaki słyszała u niego nieraz, gdy wydawał dyspozycje Holderowi lub któremuś z podwładnych. Miał taką minę, jakby odczytywał wymawiane przez siebie słowa z jej twarzy. Odruchowo przesunęła po niej ręką. Chciała zapytać, dlaczego nie wezwać Ottmana, dlaczego Blumkiewicz ma depeszować do Paryża, chciała zapytać, dlaczego w ogóle ta niepokojąca wiadomość nie zmartwiła go. Lecz powiedziała tylko:

— Dobrze, zaraz zatelefonuję.

Teraz zrozumiała, odczuła na sobie tę sugestywność wszystkich poleceń Pawła, które nigdy nie wymagały komentarzy i uniemożliwiały sprzeciw, czy chociażby ociąganie się w ich wykonaniu. Co więcej, pamiętała z dziwną dokładnością każde słowo: ma dzwonić do Blumkiewicza i do Kolbuszewskiego, powiedzieć, że skomunikowała się z Pawłem, który zjawi się w Warszawie za dwa dni...

Blumkiewicz aż krzyknął z radości i przerywał jej ciągle rozradowanym „chwała Bogu". W rezultacie musiała mu drugi raz wszystko powtórzyć.

Kolbuszewskiego po trzykrotnym łączeniu się znalazła w domu. On również bardzo się ucieszył, lecz wprawił ją w zakłopotanie, gwałtownie dopytując się, gdzie jest Paweł. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, po prostu położyła słuchawkę, namyśliła się chwilkę i wyłączyła telefon. Skoro Paweł chce odpocząć, niech nie alarmują go dzwonki.

Nie wróciła wprost do niego, lecz zamknąwszy drzwi od jadalni do dalszych pokojów, nacisnęła dzwonek. Służącemu, który się zjawił, kazała przygotować kolację na dwie osoby:

— Zimne przekąski i kawa. Ignacy przygotuje to tu na stole i ma iść spać.

— Słucham jaśnie pana.

W oczach służącego dostrzegła uśmiech. Oczywiście w swojej naiwności jest przekonany, że będzie tu kobieta. Tym lepiej.

Gdy powróciła do gabinetu, nie było tam już Pawła. Szum wody dochodzący z łazienki świadczył, że się kąpie. Stała chwilę niezdecydowana. Przyszło jej na myśl, że mogłaby teraz przebrać się w sukienkę. Serce zabiło mocniej. Wydało się to czymś nieskończenie bezsensownym, komicznym i niemal kompromitującym, a jednak nie mogła już pozbyć się tej myśli.

Wróciła do jadalni i przynaglała służącego. Gdy już stół był nakryty, starannie pozamykała na klucz wszystkie drzwi do gospodarskiej części mieszkania. Dziurkę od klucza z pokoju kredensowego zastawiła wysokim oparciem krzesła.

Próbowała zreflektować się tym, że postępuje jak dziecko, że jest śmieszna, że cały pomysł był niedorzeczny i że tylko obniży siebie w oczach Pawła. Podniecenie jednak nie dało się opanować.

Wolała wszystko, niż wyrzec się przyjemności, na którą czekała tak długo.

Pobiegła do swego pokoju i w pięć minut była gotowa. Przed lustrem skonstatowała[156], że wygląda dziwacznie, a na twarzy ma rumieńce. Sukienka jednak była dobrze poprawiona. Na biodrach leżała doskonale. Obciągnęła ją ostrożnie i wyjrzała do sąsiedniego pokoju.

O tyle już przyzwyczaiła się do wysokich obcasów, że nie sprawiały na niej wrażenia chodzenia na szczudłach, obawiała się tylko, że nogi stawia niezgrabnie. Nie wiedziała też, co robić z rękami. Kieszenie w spodniach, klapy marynarki były tak wygodną dla nich lokatą[157].

W salonie zatrzymała się. Z łazienki nie dochodził już szum wody, natomiast słyszała kroki Pawła w sypialni. Zapaliła wszystkie światła i niespodziewanie zobaczyła siebie w lustrze nad kominkiem. Własna sylwetka wydała się jej pociągająca. Włosy jednak były za krótkie. Wróciła do siebie i nałożyła kapelusz. Wprawdzie jego kolor nie był ściśle ten sam, co kolor sukni, lecz przy wieczornym oświetleniu różnica była minimalna.

Tak była zemocjonowana, że z trudnością łapała oddech. Gdy znowu przyszła do salonu, Paweł przeglądał jakieś papiery w gabinecie. Ich szelest powolny, miarowy uspokoił ją nieco. Stanęła w środku i czekała. Wreszcie zawołała:

---

[156]*konstatować* — stwierdzać jakiś fakt. [przypis edytorski]

[157]*lokata* (daw., z łac. *locatus*: umieszczony) — mieszkanie, pomieszczenie, lokal. [przypis edytorski]

— Pawle, czy mogę cię prosić...

Szelest ustał. Odgłos odsuwanego krzesła i jego kroków. Od tylu dni przygotowywała się do tej chwili. Splotła ręce przed sobą i lekko przechyliła głowę. Musi to wyglądać sztucznie, teatralnie, obrzydliwie. Było już jednak za późno na obmyślanie nowej pozycji. Paweł otworzył uchylone drzwi. Był w swojej szarej wełnianej pidżamie. Zrobił krok naprzód, zasłonił ręką obnażoną szyję i cofnął się:

— O, przepraszam panią, nie wiedziałem...

Zmieszanie jego i zdziwienie było tak komiczne, że wybuchnęła śmiechem.

Stał przy drzwiach, jedną ręką trzymając się portiery[158], a drugą zasłaniając wciąż szyję. Jego brwi wznosiły się coraz wyżej, a w szeroko otwartych oczach malowało się najwyższe zdumienie.

— Tak bardzo mnie to zmienia?... — zapytała, nie ruszając się z miejsca.

— Niesłychanie! — odezwał się wreszcie Paweł.

Zaśmiała się. Jej własne zażenowanie minęło już o tyle, że zdołała spostrzec jego zmieszanie:

— Nie spodziewałeś się?

— Nie spodziewałem się, że... jesteś tak ładna — powiedział po chwili namysłu.

— Więc dobrze mi w tym?

Zbliżył się do niej i wyciągnął rękę:

— Pani pozwoli, że się jej przedstawię: Paweł Dalcz.

Podniósł jej dłoń do ust, lecz zauważyła, że jego wzrok przesunął się wzdłuż nagiego ramienia, co było odrobinę krępujące, lecz niewypowiedzianie miłe.

— Ale nie wykręcisz się — pytała, unikając spotkania jego oczu. — Musisz mi powiedzieć szczerze, czy nie wyglądam jak straszydło na wróble?

Jeszcze niedawno sama miała tego rodzaju obawy, teraz jednak była pewna, że jej powierzchowność zrobiła na nim dodatnie wrażenie.

— No?

— Owszem — odezwał się z niejakim ociąganiem się — odpowiem ci... jesteś... w tym ubraniu jest ci ślicznie.

Chrząknął i nie wiadomo dlaczego zrobił okrągły ruch ręką:

— Wybacz, ale ja nie umiem mówić tych rzeczy... Powiedziałem znacznie mniej, niż należało... Wyglądasz pięknie, to jest, jesteś piękna. Nigdy w życiu nie poznałbym cię. To zadziwiające, jak strój zmienia niektóre rzeczy... Tak...

Znowu chrząknął, wyjął papierośnicę i zapalił.

— A mnie nie poczęstujesz? — wyciągnęła rękę. — Widzisz, to zła strona sukni kobiecej, nie ma w niej kieszeni. I w dodatku nie wiem, co zrobić z rękami.

Zapaliła i zrobiła kilka kroków naprzód:

— Ruszam się też jak dragon[159]. Prawda?

— Bynajmniej, bardzo dobrze — zaprzeczył z przekonaniem i z miną eksperta. W jego sposobie mówienia znać było chęć ukrycia zmieszania w rzeczowym i spokojnym tonie.

Pomimo to sytuacja nie przestawała być detonująca[160]. Stali w środku wielkiego salonu oboje z niezbyt mądrymi minami. Milczenie przeciągało się zbyt długo.

Wreszcie Paweł zapytał, skąd wzięła suknię i inne części garderoby. Wówczas zaczęła opowiadać, jak znalazła zapasy pozostawione przez Halinę, jak własnymi siłami, chociaż nigdy przedtem nie miała igły w ręku, przerabiała suknię i przystrajała kapelusz.

Temat zdawał się być niebywale obfity, lecz wyczerpał się prawie natychmiast. Na szczęście przypomniała sobie kolację.

— Czy pozwolisz — zapytała — że będę dziś... panią domu i zaproszę cię do stołu?

— Bardzo żałuję — próbował wpaść w jej żartobliwy ton — ale w tym stroju?...

— O, nic nie szkodzi, twoja pidżama warta jest mojej tualety[161].

---

[158] *portiera* — zasłona z grubego, ciężkiego materiału, umieszczana przy drzwiach. [przypis edytorski]

[159] *dragon* — daw. żołnierz lekkiej jazdy; *poruszać się jak dragon*: zamaszyście, energicznie, bez wdzięku. [przypis edytorski]

[160] *detonujący* (daw.) — peszący, odbierający pewność siebie, onieśmielający. [przypis edytorski]

[161] *tualeta* — dziś popr.: toaleta, tj. strój. [przypis edytorski]

Przy kolacji starała się rzeczywiście robić za panią domu. Przysuwała mu półmiski, nalewała kawę, wybierała owoce. Bawiło ją to bardzo, nienaturalny nastrój jednak nie znikał. Szczęśliwym trafem przypomniała sobie, że nie zdała mu relacji z rozmów przeprowadzonych z Kolbuszewskim i z Blumkiewiczem. Powtórzenie ich zajęło dalsze pięć minut czasu.

Paweł słuchał uważnie. Gdy skończyła, uśmiechnął się i powiedział:

— Wszystko w porządku. Jestem z siebie zadowolony. W moich obliczeniach czasu zaszły tylko drobne i nic nieznaczące zmiany, lecz i na tym zyskałem: mam te kilka dni odpoczynku.

Spojrzała nań zdumiona:

— Powiedziałeś, że i na tym zyskałeś. Zatem?

— Czy wiesz — uśmiechnął się — ile obecnie wynosi mój majątek?... W efektywnych walorach coś około trzydziestu złotych oraz kilkadziesiąt kilogramów bezwartościowych akcji, przy pasywach sięgających kilkunastu milionów. Cóż ty na to?

Opuściła oczy. To, co usłyszała od Pawła, nie było dla niej niespodzianką. Jednakże sposób, w jaki jej to powiedział, był nad wyraz przykry. Wydało się jej, że brawuruje[162] swoją przegraną, że chce jej zaimponować rozmiarami swej klęski. Było to niespodziewane u niego, niesmaczne i dojmująco przykre.

Nie pomyślała w tej chwili o sobie, nie nadużył jej zaufania, przecie oddałaby mu wszystko i wtedy, gdyby z góry wiedziała, że nie otrzyma z tego nic. Ostatecznie miała dobry fach w ręku i zawsze jakoś dałaby sobie radę. Stracił on jednak ogromne pieniądze powierzone mu przez wielu ludzi, choćby przez takiego Blumkiewicza, zarwał wiele instytucji, rezultatem czego będzie „krach, jakiego jeszcze Polska nie widziała".

— I cóż zamierzasz robić? — zapytała, nie podnosząc nań oczu.

Wypuścił wysoko strugę dymu i przyglądając się jej zwojom, westchnął:

— Na razie odpocząć. Nie masz pojęcia, moja droga, jak to przyjemnie od czasu do czasu zatrzymać na kilka dni arytmometr[163], który się ustawicznie w głowie obraca. Na razie odpocząć. Arytmometr jest teraz niepotrzebny. Pracuje zań czas, sam czas...

Gorzkie słowa cisnęły się już na usta, lecz nic nie powiedziała.

— Tak, moja droga, mam tę przewagę nad krupierem[164], że wiem, gdzie się zatrzyma rzucona przeze mnie kulka. W tej rulecie nie może być pomyłek. Zwycięstwo, Bogactwo

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Zatrzyma się — mówił w zamyśleniu jakby do siebie — na cyfrze, której na imię miliard...

Chwycił ją za rękę i pytał przyciszonym głosem, w którym brzmiała nuta triumfu...

— Czy ty rozumiesz, co to jest miliard?... Czy możesz pojąć potęgę tego słowa?... Czy zdajesz sobie sprawę z ogromu władzy, jaką on daje?...

Wstał i pochylony nad nią mówił już prawie szeptem:

— Widzisz, to jestem ja, ja, któremu kiedyś powiedziano, że jest do niczego, że jest niczym, że stanowi zero!... Ja, którego rodzony ojciec i cała kochana rodzina uważała na nicość, za wykolejeńca, za fantastę, za półwariata, ja jestem dziś jednym z najbogatszych ludzi na świecie!... Czy rozumiesz? Czy wiesz, z jaką szatańską radością mógłbym im wszystkim świecić w oczy swoją wielkością, której oni do pięt nie dorośli?!...

Ściągnięta twarz Pawła, jej niezwykła bladość i oczy, które stały się prawie przeźroczyste przerażały.

Zdało się jej, że widzi przed sobą istotnie uosobienie jakiejś nadludzkiej wielkości, jakiejś potężnej kosmicznej namiętności, która nie zna przeszkód, a przed którą ona sama jest drobnym pyłkiem, okruszyną pospolitości, która stała się przygodnym świadkiem niepojętego objawienia.

Nie słyszała dalszych słów Pawła. Oszołamiał ją jego wstrząsający szept, widziała przed sobą tylko jego białą jak płótno twarz i źrenice, które zdawały się przenikać przez nią i patrzeć w nieskończoność!

---

[162] *brawurować* — okazywać brawurę, popisywać się odwagą. [przypis edytorski]

[163] *arytmometr* — daw. mechaniczna maszyna licząca, służąca do wykonywania działań arytmetycznych, napędzana ręcznie, dźwignią lub korbką, albo elektrycznie. [przypis edytorski]

[164] *krupier* — pracownik kasyna gier hazardowych kierujący grą przy stole np. ruletki. [przypis edytorski]

A jeszcze przed chwilą mogła go sądzić kategoriami zwykłych przeciętnych ludzi, jeszcze przed chwilą ważyła się w ogóle sądzić! Z tym większą wyrazistością odczuła teraz olbrzymią przestrzeń, jaka oddziela ją od Pawła.

Zawsze od pierwszego spojrzenia oceniała go przecie najwyżej. Jeżeli teraz zwątpiła, jeżeli we własnych myślach obraziła go, ściągając do codzienności, mierząc jego postępki miarą zwykłych ludzi, tym większą uczuła skruchę i jej nicość wobec winy, jaką popełniła.

Na poręczy krzesła oparta była jego ręka, silna, zwarta, pokryta węzłami żył. Pochyliła się, oplotła ją mocno palcami i przywarła do niej ustami w pocałunku niemal bałwochwalczym.

Gdy po chwili podniosła nań oczy, był już spokojny, a na jego uśmiechniętej twarzy nie znać było ani śladu podniecenia. Łagodnie uwolnił dłoń z jej rąk. Spojrzał na zegarek, którego wskazówki zbliżały się do dwunastej, i powiedział:

— Już późno, a ty jutro wcześnie jedziesz do fabryki. Idź spać.

Pocałował ją w rękę, zgasił papierosa i stanął przy kontakcie, czekając, aż wyjdzie, by zgasić światło.

— Dobranoc — powiedziała cicho.

Znalazłszy się w swoim pokoju, nie zapalała światła.

Usiadła w kącie sofy, usiłując zebrać myśli. Teraz dopiero przypomniały się jej słowa Pawła. Gdy je słyszała wypowiadane tym przejmującym głosem, którego każdy dźwięk pozostanie w jej pamięci, nie rozumiała ich treści. Mówił o woli zwycięstwa, o prawie do walki, o władzy, jaką daje poznanie człowieka i mechaniki jego ustroju psychicznego, mówił o nieograniczonym zasięgu swych pragnień, o wielkiej grze...

Jego postać wyrastała jej teraz w ciemnościach do jakichś olbrzymich rozmiarów. Wypełniał sobą wszystko, co stanowiło treść jej życia, co było rzeczywistością i marzeniem, teraźniejszością i jutrem. Jej, tylko jej to powiedział. Nikt na całym świecie nie został przezeń dopuszczony do jego wielkich tajemnic. Wyróżnił ją, zbliżył do siebie, uprawnił do zajrzenia w jego duszę...

A jednak... jednak gdzieś na dnie czuła głęboki, ćmiący ból.

Czymże jest przy nim, czym dla niego? Jaką cząstką może zająć miejsce w jego życiu?... Czy nawet dzisiaj nie była tylko przypadkowym, okazyjnym świadkiem jego słów, czy już w tej chwili Paweł nie żałuje momentu szczerości i tych wspaniałych wstrząsających zwierzeń, wyznań, odkryć, tego otwarcia przed nią bogactwa swego ducha?...

I druga rzecz: czymże mu może odpłacić za to wszystko?... Pomocą, współdziałaniem, radą?... Ależ on tego nie potrzebuje. Nawet jej majątek stanowi tylko drobną monetę w jego ręku.

A miłość? Przecie kocha go ponad wszystko na świecie, ponad jego wielkość, ponad życie własne! Nie ma takich poświęceń, nie ma takich ofiar, na które by się dlań nie zdobyła!... Tylko on ich nie pragnie, nie stanowią dlań one żadnej wartości. Przecie nawet nie chce schylić się po nie.

Powiedział: „Już późno, czas spać...". Tylko tyle za wiele nieprzespanych nocy, za długie godziny rozmyślań, za piekącą tęsknotę, za łzy i niepokoje... „Idź spać, już późno..."

Zaśmiała się głośno, lecz w tejże chwili uświadomiła sobie swój egoizm.

Jakimże prawem można od kogokolwiek żądać zapłaty za ten nieproszony dar, od kogokolwiek, a tym bardziej od niego! Jest dla niej dobry, serdeczny, życzliwy, okazuje jej swoje zaufanie, powierza tajemnice... Wstała i zapaliła lampę na nocnym stoliku. Spostrzegła, że brakuje na nim syfonu[165] z wodą sodową i szklanki, i teraz przypomniała sobie, że Karolina nie mogła wejść, gdyż drzwi od służbowej części mieszkania są pozamykane. Zastanowiła się: jeżeli otworzy je, Ignacy z rana wejdzie, by posprzątać, i oczywiście spostrzeże, że Paweł wrócił, zostawić zaś drzwi zamknięte... to nie ma sensu. Przecie kiedyś i tak trzeba je będzie otworzyć. Nie wiedziała, co ma zrobić. W każdym razie musiał o tym zadecydować Paweł.

Na pewno jeszcze nie zdążył usnąć. W ogóle zapomniała go zapytać, czy jego powrót ma długo pozostać tajemnicą nawet dla służby. Jeżeli śpi, nie będzie go budzić...

[165] *syfon* — grubościenna butla do napojów gazowanych (np. wody sodowej), zaopatrzona w dźwignię, której naciśnięcie powoduje, że ciśnienie zawartego wewnątrz dwutlenku węgla wypycha wodę przez rurkę na zewnątrz. [przypis edytorski]

W salonie i w gabinecie było ciemno. Z sypialni jednak wąziutką szparą pod drzwiami przenikało słabe światło. Podeszła na palcach i lekko zapukała:

— Pawle...

— To ty, Krzysiu? — odezwał się zaraz.

— Tak, zapomniałam spytać cię co do służby.

— Proszę cię, wejdź. Wprawdzie leżę już w łóżku, ale się chyba nie zgorszysz.

W pokoju panował półmrok. Świeciła się tylko ciemna ampla[166] pod sufitem. Zbliżyła się do łóżka. Paweł leżał z rękami założonymi pod głowę. Na stoliku piętrzył się stos notatek i wycinków z gazet oraz gruby pęk małych kluczy.

— Nie obudziłam cię? — zapytała.

— Nie. Ale dlaczego ty nie śpisz?

— O, nie chce mi się, a poza tym przypomniałam sobie, że trzeba jakoś zrobić ze służbą. Czy ty stanowczo nie chcesz, by oni dowiedzieli się, że przyjechałeś?

— Służba jest zawsze gadatliwa, ale masz rację. Trzeba im tylko zapowiedzieć, żeby trzymali język za zębami. Gdyby się w Warszawie rozeszło o moim przyjeździe, nie miałbym chwili spokoju.

Rozejrzała się. Kapa[167] z łóżka leżała zmięta na krześle, a i samo łóżko było nierówno posłane.

— Biedaku — uśmiechnęła się — musiałeś sam sobie przygotowywać pościel.

— Czy zrobiłem to źle? — udał zdziwienie.

— Nieszczególnie. Eee... nigdy ze mnie nie będzie gospodyni. Widzisz, zapowiedziałam, że obejmuję dziś rolę pani domu, ale co to znaczy brak wprawy. Na śmierć zapomniałam o łóżku... Będzie ci niewygodnie. Gdybyś... gdybyś pozwolił, poprawiłabym chociaż prześcieradło...

— Dajże spokój — zaśmiał się. — Chyba w tych rzeczach nie masz ani o odrobinę więcej wprawy ode mnie.

— Ale niewygodnie ci — upierała się. — Ja spróbuję.

Oparła się kolanami o brzeg łóżka i powtórzyła:

— Niewygodnie ci...

Zdawała sobie sprawę z tego, że powinna odejść, że w istocie chwyta się niedorzecznego, nieprawdopodobnie naiwnego pretekstu, by zostać przy nim, zdawała sobie sprawę, że Paweł równie dobrze w tym się orientuje, że to wstyd, i tak dalej... a jednak nie mogła się zdobyć na odejście.

Czuła, że pod wpływem własnych myśli rumieni się, że musi wyglądać śmiesznie i po pensjonarsku, starała się uprzytomnić sobie, że jest dojrzałym człowiekiem, obowiązanym panować nad wszelkimi odruchami, że po prostu narzuca Pawłowi swoją obecność, która zaczyna być wręcz nieprzyzwoitością... a jednak nie ruszyła się z miejsca.

Paweł wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia:

— Usiądź na chwilę — powiedział. — Pomówimy.

— Ale ty pewno chciałeś spać — zauważyła bez przekonania.

Lekko przyciągnął ją ku sobie w ten sposób, że usiadła na brzegu łóżka.

— Nie, nie będę spał — oparł się na łokciu tak, że jego twarz znajdowała się teraz zaledwie o kilka centymetrów od jej obnażonego ramienia. Na skórze czuła ciepło jego oddechu.

— Tak lubię zapach twojej wody tualetowej[168] — powiedział ciszej. — Nieraz za granicą przypominał mi się, gdy wyjmowałem z walizki chusteczki do nosa. Widocznie przez pomyłkę Ignacy zapakował mi twoje.

— I nie sprawiało ci to... przykrości?

— Nie.

— Ale i przyjemności też nie?

Odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy. Nie odpowiedział. Spod półprzymkniętych powiek patrzył na nią. Czuła jego wzrok na szyi i na piersiach, jakby pod wpływem jego oczu przyśpieszało się tętno serca.

---

[166] *ampla* — lampa wisząca zaopatrzona w płytki klosz. [przypis edytorski]

[167] *kapa* — nakrycie na posłanie, narzuta. [przypis edytorski]

[168] *tualetowy* — dziś: toaletowy; odnoszący się do higieny i pielęgnacji. [przypis edytorski]

Pomału, ostrożnie pochyliła usta do jego ust, ręce zarzuciła mu na szyję. Owijały się wokół niej coraz mocniej i mocniej.

— Jak ja ciebie kocham — szeptała — jak ja cię kocham...

Czuła jego dłoń przesuwającą się po grzbiecie, biodrze, wzdłuż nogi aż do kostki, jak gorący prąd. Pod jego wpływem krew zdawała się rozsadzać tętnice, a mięśnie omdlewały w nieprawdopodobnej niemocy. Ogarniała ramionami, ogarniała całą sobą jego szerokie bary, których było takie bogactwo, takie niezmierzone bogactwo... Wchłonąć je, zamknąć sobą, owładnąć...

Późny świt zimowy napełniał pokoje szarym, chłodnym światłem. Zegar w jadalni niskim rozważnym basem wydzwaniał szóstą... Za godzinę pod oknami rozlegnie się sygnał samochodu i trzeba będzie jechać do fabryki... Do obojętnych spraw, do nic nieobchodzących ludzi.

Zmęczenie i senność walczyły w niej z pragnieniem rozpamiętywania minionej nocy. Była półprzytomna.

Cały wysiłek woli koncentrowała na konieczności przypomnienia sobie każdej chwili, każdego mgnienia, których ważność i czar wyrastały teraz ponad wszystko, stanowiły początek nowej epoki, po prostu początek życia... Nie było miejsca na refleksje, na stawianie sobie pytań i szukanie odpowiedzi. Całość zamykała się w jednym: w słowie „szczęście".

Jakie to szczęście ma być, jakimi pójdzie drogami, z jakich składników jest zbudowane — to trzeba zanalizować, to trzeba przemyśleć i rozważyć... Trzeba, lecz niepodobna... Cóż znaczy cały zdrowy sens i logika, i kontrola umysłu nad wrażeniami w porównaniu z taką potęgą!...

A jednak wskazówki posuwały się wciąż naprzód. Należało ubrać się. Czerwona sukienka w zmieszanym świetle dnia i elektryczności wyglądała zmięta. Przypominała zwiędły kwiat maku. Złożyła ją starannie i schowała do szafy.

Później należało rozmówić się ze służbą. Na śniadanie już nie było czasu, zresztą wcale nie odczuwała głodu. Gdy w przedpokoju przed wielkim lustrem Ignacy podawał jej futro, niechętnym spojrzeniem obrzuciła swoje męskie ubranie. Jakże bardzo miała już go dość. Jeszcze raz sprawdziła, czy drzwi oddzielające pokoje Pawła są pozamykane, jeszcze raz zapowiedziała, by go nie budzono pod żadnym pozorem i by telefon był wyłączony, jeszcze raz surowo przypomniała Ignacemu konieczność zachowania ścisłej tajemnicy co do powrotu Pawła i zbiegła na dół.

Kilkanaście minut samotności podczas drogi do fabryki to kilkanaście minut swobody myślenia o Pawle, o sobie i o miłości. Gdy u zbiegu Złotej i Żelaznej powstał zator zatrzymujący samochód, była uszczęśliwiona. Zyskiwała jeszcze parę chwil.

Praca

A później fabryka z codzienną monotonią jej spraw, tych spraw, które jeszcze wczoraj były niezmiernie ważne, zajmowały pierwsze miejsce w dniu. Rozmowy z kierownikami działów, sprawozdania, raporty, rzeczowa, poważna mina Holdera, referującego korespondencję, warsztaty rozdygotane w jednostajnym ruchu, galeria interesantów...

I pomyśleć, że to stanowi treść życia tysięcy ludzi, że każdy z nich najlepsze cząstki własnej energii, największy swój wysiłek i lwią część czasu oddaje temu bożyszczu pracy, codziennej, szarej, jednostajnej i w gruncie rzeczy przecie bezcelowej, skoro sama stała się celem. Praca przesłoniła sobą istotny cel życia, którym może być tylko piękno i miłość. Wyparła je z czasu i przestrzeni. Zamazała smarami, czarnym węglem i rudym dymem kominów, zagłuszyła wyciem syren fabrycznych, zepchnęła do ciasnych alków[169] lub do knajp, gdzie człowiek szuka ich namiastki w alkoholu.

Paweł powiedział, że sens życia leży w walce, leży w wielkiej grze pragnień, namiętności, zdobyczy i klęsk, w osiąganiu coraz to dalej, coraz to wyżej ustawianych met, w nieograniczonym rozmachu zamierzeń i zwycięstw...

Nie umiała jeszcze pojąć tego i zrozumieć. Na pewno miał rację. Nie mogła mieć zbytniego zaufania do swego poglądu i do swoich przeświadczeń. Zwłaszcza dzisiaj, dzisiaj, kiedy z taką jaskrawością uświadomiła sobie nicość pracy, nicość bożka, któremu nauczono ją składać hołdy.

[169] *alkowa* — mały pokoik bez okien, przylegający do większego pokoju, przeznaczony na sypialnię. [przypis edytorski]

Wystarczył jeden moment szczęścia, by przekonać ją o bezcelowości dotychczasowego życia. Być może, a nawet na pewno, z czasem odsłoni się przed nią i ta druga tajemnica, która stanowi treść egzystencji Pawła. Na razie i to jest szczęściem, że może być przy nim, że stała się jego własnością, że dostąpiła prawa zajmowania bodaj najmniejszego miejsca w jego myślach i w jego uczuciach... Na pewno i w uczuciach.

Nie miała wprawdzie żadnych na to dowodów, nie mogła swej pewności oprzeć na żadnych jego słowach, ani nawet na sposobie postępowania, a jednak wiedziała, że jest dlań czymś więcej niż wszyscy inni ludzie, niż wszystkie inne kobiety. Czuła to instynktownie. Co więcej, bałaby się żądać od niego, by konkretnymi wyrazami potwierdził głos jej intuicji. Bałaby się, że oboje nie będą umieli ująć tego w słowa, że słowa swoją ubogą precyzją pomniejszą i spospolitują to, co jest tak piękne i niezwykłe.

Słuchała właśnie obszernego wywodu inżyniera Jankowskiego o potrzebie zastosowania nowego typu imadeł w wiertarkach i skonstatowała, że do jej świadomości nie przedostaje się ani jedno zdanie, że nie jest w stanie zmusić swojej uwagi do ześrodkowania się na tak śmiesznej i błahej kwestii, jak wydajność sześciu wiertarek, czy chociażby wszystkich wiertarek, jakie są, były lub będą istnieć na kuli ziemskiej, na Marsie, Księżycu i wszelkich możliwych planetach.

Ta myśl musiała wywołać mimowolny uśmiech na jej twarzy, gdyż Jankowski przerwał swój wywód i z odcieniem obrazy w głosie zapytał:

— Czy pan dyrektor mnie nie wierzy?... Mogę zaraz przy panu zrobić obliczenie!

— Ależ nie, bynajmniej — zapewniła go. — Wszystko jest w porządku.

— Bo zdawało mi się — uspokoił się inżynier — że pan dyrektor nie docenia ważności tej sprawy. Już z pobieżnego rachunku widać, że stare imadełka muszą dawać przynajmniej dwadzieścia procent szmelcu[170], a zastosowanie...

Miała już tego stanowczo dość. Czuła, że w następnej chwili albo zerwie się z miejsca i nawymyśla mu od idiotów, albo wybuchnie śmiechem, że — słowem — obrazi tego dobrego i pożytecznego pracownika, który musiał sobie tygodniami łamać głowę nad zmniejszeniem szmelcu na wiertarkach, dla dobra firmy.

— Zatem dobrze — powiedziała, wyciągając doń rękę — będzie pan łaskaw postąpić według pańskiego projektu. Powie pan panu Millerowi, że w całości akceptuję te imadełka. Dziękuję panu bardzo.

Prędko pochyliła głowę nad papierami, by ukryć uśmiech. Gdy tylko drzwi za Jankowskim się zamknęły, szybko zamknęła biurko, zajrzała do sekretariatu i oświadczyła Holderowi, że wyjeżdża na miasto i dziś już nie wróci:

— Jeśli zdarzy się coś wyjątkowo ważnego, ale tylko wyjątkowo, proszę dzwonić do mnie do domu.

W kwadrans później była już na Ujazdowskiej. Z pośpiechem zdjęła futro i przejrzała się w lustrze. Aż zdziwiła się swoim wyglądem.

Pomimo nieprzespanej nocy cerę miała świeżą i lekko zaróżowioną, a usta bardziej czerwone niż zwykle. Tylko pod oczyma znaczyły się wyraźne niebieskawe cienie, te jednak dodawały oczom mocniejszego wyrazu. Ku swemu zdumieniu zastała Pawła w salonie. Klęczał na dywanie nad stosem nut. Fortepian był otwarty.

Paweł odwrócił głowę i zawołał:

— O! Tak wcześnie?

— Nie mogłam już tam dłużej wytrzymać — powiedziała szczerze. — Widzisz, w jak złe ręce oddałeś fabrykę. Sam sobie jesteś winien.

Nie podnosząc się, Paweł niespodziewanym ruchem zagarnął ją powyżej kolan i w ten sposób przechylił, że nagle straciła równowagę i znalazła się w jego ramionach.

Oboje wybuchnęli śmiechem, który cichł wśród pocałunków coraz bardziej.

— Jaki ty jesteś silny — powiedziała, łapiąc oddech. — Trzymasz mnie na ręku jak niemowlę...

— Tak. W ten sposób zaspokajam swój głodny instynkt ojcostwa — roześmiał się.

Przywarła doń mocniej.

— Tylko nie wiem — mówił też nieco zdyszany — czy trzymam synka, czy córeczkę...

[170] *szmelc* (z niem.) — odpadki metalowe; złom. [przypis edytorski]

Uprzytomniła sobie swoje męskie ubranie i to, że musi w nim wyglądać śmiesznie w takiej sytuacji. Akurat naprzeciw jest lustro. Lekko wyswobodziła się z jego ramion i uklękła obok.

— Grałeś? — zapytała.

— Od rana. I wyobraź sobie, że stwierdziłem niebywałą rzecz. Prawie wszystko pamiętam. Tylko z techniką jest gorzej.

Zaczął przekładać nuty, a po chwili powiedział:

— Nie rozumiem, co się stało z motetami[171] Bacha[172]. Był taki tom *in octavo*[173] w zielonej oprawie... Bardzo stare wydanie...

— A może jest w bibliotece?

— Nie. O, bądź dobra, zajrzyj tu na górną półkę. Zdaje się, że przywalili go Griegiem[174]. Przepraszam, że cię trudzę.

— Ależ, Pawle — zerwała się — to tylko przyjemność...

Istotnie za wielkim foliałem[175] Griega znalazł się Bach.

— Jakie to zakurzone — powiedziała. — Zaczekaj chwilę, każę to wytrzeć.

— Szkoda czasu — machnął ręką i otarł kurz dłonią. — Swoją drogą muszę zbesztać Ignacego za te porządki.

Rozłożył nuty na pulpicie, przysunął sobie stołek i już nie zwracając na nią uwagi, zaczął grać. Usiadła w pobliżu tak, że widziała na tle okna jego mocny profil o silnie zarysowanej szczęce i wysokim czole, na którym wyraźnie występowały dwie duże wypukłości. Z profilu jego brzydota jeszcze bardziej rzucała się w oczy, lecz tym dobitniej zaznaczała się jej wspaniałość. Przecie dość było rzucić okiem, by powiedzieć sobie:

— Ten człowiek musi być kimś niezwykłym.

We wspomnieniach starała się odszukać rysy Cezara, Napoleona, Washingtona, Batorego. Do żadnego z nich nie był podobny. W linii głowy miał coś z tygrysa, a kształt nosa przypominał Ludwika XIV. Jego duże ręce o silnych, lecz klasycznie pięknych palcach, zdawały się pokrywać sobą połowę klawiatury. Widocznie odczuł na nich jej wzrok, gdyż przestał grać i odwrócił głowę:

— Jeżeli Bach na tamtym świecie ma równie subtelny słuch — odezwał się żartobliwie — obawiam się, że przeklina teraz swoją twórczość.

— Ależ grasz bardzo dobrze — zapewniła, łapiąc się jednocześnie na tym, że wcale nie słuchała muzyki.

— Nie — potrząsnął głową — zanadto go lubię, bym nie czuł, że krzywdzę go tym obijaniem klawiszy.

— Przesadzasz, Pawle. Oczywiście nie jest to gra koncertowa...

— Ho, ho! Stop, moja droga. Nawet nie taperstwo[176]. Ale cóż chcesz, zesztywniały mi palce od liczenia banknotów.

Zaśmiał się i zaczął znowu grać. Lubiła muzykę. Bacha jednak nigdy zrozumieć nie mogła, ani znaleźć w nim tego piękna, o którym tyle mówiono. I teraz, słuchając Pawła, na próżno starała się znaleźć w sobie oddźwięk tych jednostajnych i spokojnych, jak nurt leniwej rzeki, tonów. Na próżno starała się w skupionych rysach Pawła odnaleźć zrozumiały dla siebie komentarz do tych smutnych, poważnych, jakichś psalmicznych rozmów z wiecznością lub raczej kontemplacji niezmienności świata i jego spraw.

— Nie lubisz Bacha? — zapytał, nie przerywając gry.

— Ja go nie rozumiem — powiedziała tonem usprawiedliwienia.

Przewrócił stronę i zatrzymawszy się na wysokiej nucie, kilkakrotnie uderzył w klawisz:

---

[171] *motet* (muz.) — rodzaj kompozycji wokalnej na wiele głosów, przeważnie z tekstem o tematyce religijnej, zwykle śpiewanej bez akompaniamentu. [przypis edytorski]

[172] *Bach, Johann Sebastian* (1685–1750) — wybitny niem. kompozytor i organista epoki baroku, jeden z największych artystów w historii muzyki. [przypis edytorski]

[173] *in octavo* (łac.: w ósemce) — daw. format książki wielkości 1/8 arkusza papieru; obecnie określenie książek mających typowy współczesny rozmiar: ok. 20–25 cm wysokości. [przypis edytorski]

[174] *Grieg, Edvard Hagerup* (1843–1907) — norweski kompozytor, pianista i dyrygent, autor lirycznych, nastrojowych utworów, twórca narodowej szkoły norweskiej w muzyce. [przypis edytorski]

[175] *foliał* — książka formatu *folio* (wielkości połowy arkusza); ogólnie: wielka, gruba księga. [przypis edytorski]

[176] *taperstwo* — grywanie jako pianista w kawiarniach lub restauracjach. [przypis edytorski]

— Kiedyś, gdy jeszcze byłem małym chłopcem — zamyślił się — może miałem lat dziesięć czy dwanaście, miałem nauczyciela, który jednocześnie wykładał w jakiejś uczelni ekonomię polityczną. Otóż on przepowiadał mi wielką karierę... naukową!

— Dlaczego się śmiejesz, cóż w tym nieprawdopodobnego? — uczuła się dotknięta tonem lekceważenia, z jakim mówił o sobie.

— No, nieprawdopodobieństwo było chociażby w tym, że nawet gimnazjum nie skończyłem, ale nie o to chodzi. Mój mentor[177] twierdził, że każdy, kto rozumie Bacha, ma na pewno zadatki na genialnego ekonomistę. Nie umiał tego uzasadnić logicznie, ale cytował cały szereg nazwisk na potwierdzenie swej teorii.

— Więc nie omylił się i tu.

— Aha — uśmiechnął się — więc i ty sądzisz, że jestem genialnym ekonomistą?

— Nie potrzebuję sądzić. To jasne jest dla każdego, kto tylko widział cię w interesach.

Paweł żywo zaprzeczył ruchem głowy.

— To zupełnie inna rzecz. William Willis i zresztą wszyscy popełniają ten sam błąd, wynikający ze złej interpretacji nazwy ekonomisty. Człowiek umiejący robić dobre interesy robi je właśnie dlatego, że nie ma pojęcia o podstawowych regułach ekonomii. Wszyscy mistrzowie ekonomii poumierali w nędzy. Zwróć, moja droga, uwagę na ten właśnie znamienny szczegół. Rozumieli ekonomię i Bacha, co im nie przeszkodziło tracić majątki i wegetować na poddaszach. Nie, moja Krzysiu, ja obciąłbym się na pierwszym egzaminie z ekonomii, a zapewniam cię, że to samo stałoby się z Willisem, z Fordem, Morganem czy Rockefellerem. Wszystko to są ordynarne nieuki...

Uderzył kilka taktów, przyjrzał się nutom i pokiwał głową:

— Nawet Bacha nie znają. Im więcej przyglądam się życiu, tym mocniej utrwalam się w przeświadczeniu, że nie ma większego wroga praktycznego działania niż teoria. Wszyscy ludzie, którzy do czegoś pozytywnego doszli, wolni byli od kultu dla teorii. Teoria w życiu to klosz, zasłaniający pole obserwacyjne, to kierat, w który włażą naiwni. Życie nie znosi żadnych form sztywnych, wymaga giętkości i umiejętności przystosowania się do środowiska, szybkiego i na wskroś praktycznego oceniania warunków, sporadycznie, indywidualnie, doraźnie. Teorie w polityce sprawiły to, że twórcy rewolucji, naukowi jej organizatorzy, ideolodzy i teoretycy — po kilku miesiącach rewolucji wędrują do więzienia, na wygnanie, lub wręcz do Abrahama na piwo[178], a władza pozostaje w ręku praktykantów[179], których jedynym bagażem intelektualnym są hasła zapamiętane z transparentów partyjnych, no i zdrowy trzeźwy zmysł obserwacyjny. To samo jest *mutatis mutandis*[180] w kwestiach gospodarczych. To przecież jasne. Ekonomia i socjologia zawsze będą czczą gadaniną, póki człowiek nie stanie się podobny do każdego innego człowieka, jak dwa kryształki soli. Teoria tam jest na miejscu, gdzie może doprowadzić do stworzenia przyrodniczego prawa. Prawo zaś może opierać się li tylko[181] na wartościach znanych i jednakowych. Ci panowie teoretycy przypominają mi jegomościa sprzedającego przed kasynem w Monte Carlo „niezawodne wskazówki wygrania miliona" za dwadzieścia centymów[182].

— Jednak — uśmiechnęła się — sam teraz wygłaszasz teorię.

— Bynajmniej. Jest to tylko recepta dla mnie, względnie dla indywiduum bliźniaczo do mnie podobnego, a znajdującego się w takich warunkach, w jakich właśnie ja się znajduję. Recepta i jadłospis niezalecanych potraw. To ostatnie może mieć zresztą szersze zastosowanie... Poza tym, moja droga, każda rzecz zaczyna się od sumy wiary, jaką w nią wkładamy. A ja wierzę w swoją nieteoretyczną teorię!

Zaśmiał się i znowu odwrócił się do klawiatury. Grał teraz coś z pamięci, coś bardzo lirycznego o rozpływającej się melodii.

— Nie — odezwał się — nie jestem ekonomistą, a jeżeli już koniecznie muszę być umieszczony pod jakąś etykietą... możesz uważać mnie za psychologa. Właśnie za psy-

[177] *mentor* — nauczyciel, wychowawca. [przypis edytorski]

[178] *do Abrahama na piwo pójść* (pot.) — umrzeć. [przypis edytorski]

[179] *praktykant* — tu: praktyk. [przypis edytorski]

[180] *mutatis mutandis* (łac.) — zmieniając to, co powinno być zmienione; po dokonaniu niezbędnych zmian; z uwzględnieniem istniejących różnic. Zwrot zwracający uwagę na występowanie analogii pomiędzy jedną a drugą sytuacją, o ile uwzględni się różnice wynikające z odmiennych warunków. [przypis edytorski]

[181] *li tylko* — wyłącznie, jedynie. [przypis edytorski]

[182] *centym* — drobna moneta francuska, wartości 1/100 franka. [przypis edytorski]

chologa, bo całą działalność opieram na znajomości psychiki ludzkiej. To jest mój podstawowy kapitał wiedzy, całkowicie zresztą empirycznej.

Słuchała go z największym skupieniem. Wszystko, co mówił, wydawało się zadziwiająco przejrzyste. Trafiało wprost do przekonania, prawie nie budziło sprzeciwu ani wątpliwości. Cała jego konstrukcja robiła wrażenie zupełnie nieskomplikowanej, prostej, niemal geometrycznie prawidłowej. A jednak nie mogła połapać się w całości. Czuła się jak przed wielkim gmachem, którego poszczególne fragmenty widzi i zna, nie może jednak ogarnąć całej budowli. Odkąd go znała, był taki. Co więcej, zdawała sobie sprawę, że również i inni ludzie, obcując z nim, podobnego doznają wrażenia, inni, więc nie dlatego, że go kocha, nie umie pojąć go całego tak zwyczajnie, jak na przykład zna Holdera, Blumkiewicza czy Marychnę. Prowadziło to do prostego wniosku, że różnica tu polega tylko na skali...

— Nad czym tak dumasz? — niespodziewanie zapytał Paweł i jednym ruchem przyciągnął do siebie fotel, na którym siedziała.

— Myślę o tobie — odpowiedziała, patrząc mu w oczy.

— I jak myślisz?

— Że tak bardzo nierówne mamy szanse. Jesteś tak duży, że gubię się w tobie, i... trochę mnie to przeraża.

— Chyba nie mówisz serio?

— Najzupełniej. Ty przecie powiedziałeś, że jesteś psychologiem, a chociaż nie dałeś żadnego przymiotnika, należy domyśleć się, że jest tam miejsce na superlatyw. To daje ci wielką przewagę, a ja ją czuję. Patrzysz na mnie i nie ujdzie twej spostrzegawczości ani jeden mój ruch wewnętrzny. Po prostu nie mogę mieć przed tobą tajemnic. Podczas gdy ty cały jesteś dla mnie tajemnicą.

— Przeceniasz moje zdolności, moja droga. — Wziął jej rękę, ukrył ją w swoich dłoniach. — Miałem w życiu jeden wypadek, który zupełnie zdyskwalifikował mnie jako znawcę psychologii ludzkiej.

— No, jeden o niczym nie świadczy.

— Owszem. W tym wypadku chodziło mi bardziej o trafne odnalezienie prawdy niż w tysiącu innych. Zależało mi na tym, a omyliłem się kompromitująco.

— Aż kompromitująco?

— Tak. Ty dobrze znasz ten wypadek.

— Ja? — zdziwiła się.

— Właśnie. Omyliłem się co do ciebie fatalnie.

Wybuchnęła śmiechem:

— Ach, że nie poznałeś we mnie przebranej kobiety?

— O, nie — zaprzeczył — to byłby drobiazg, wynikający z optycznego nawyku. Pomyliłem się stokroć gorzej, wręcz niewybaczalnie! I gdyby nie ten nieszczęśliwy wypadek, zapewne do dziś dnia nie wiedziałbym, że to, co brałem za zawziętą nienawiść do mnie, było... czymś wręcz odwrotnym.

Przytuliła się doń i chwilę siedzieli w milczeniu.

— Widzisz — zaczęła — ja wówczas robiłam wszystko, by cię znienawidzić... Prędko, bardzo prędko przekonałam się, że to niepodobieństwo. Wtedy starałam się chociaż uniemożliwić sobie jakiekolwiek zbliżenie się do ciebie... O, Pawle, nigdy nie ocenisz, ile mnie to kosztowało!... Każde zimne słowo, każde obojętne spojrzenie przypłacałam bólem tak wielkim... Tylko nie zrozum mnie źle! Ja bynajmniej nie chcę przez to powiedzieć, że żądam od ciebie wynagrodzenia!

— Mogę cię wynagrodzić tylko tym, co i mnie za ówczesne straty daje rekompensatę — powiedział i pocałował ją w usta.

— Och, Pawle — mówiła, obejmując go za szyję — musi być jednak jakieś wielkie dobro tu na świecie lub gdzieś nad nami!... Tak marzyłam o takiej chwili i tak wydawała mi się wówczas nieosiągalna...

— Masz rację — potwierdził z powagą — dobro takie na pewno istnieje. Czułem jego bezpośrednie działanie na własnej czaszce. Działało wprawdzie przy pomocy żelaznego łomu, ale tym niemniej przekonywająco.

— Jak możesz, Pawle!

— Ja nie żartuję. Opatrzność różne środki wybiera i nieznane są jej drogi. Dziwi też mnie nie to, lecz fakt, że nie mogłaś wcześniej zdobyć się na decyzję postawienia sprawy po prostu. Wówczas o krok byłem od popełnienia głupstwa, jedynego bodaj w moim życiu głupstwa, jakiego nie umiałbym sobie nigdy wybaczyć.

— O czym mówisz?

Zamiast odpowiedzi podniósł ją, posadził na kolanach i mocno przytulił.

— Jakie głupstwo chciałeś zrobić? — zapytała po chwili.

— Nie powiem ci — odpowiedział stanowczo. — Niech ci wystarczy to, że szczęśliwy dziś jestem z tego powodu, że do owego głupstwa nie doszło, moja ty... moja najdroższa.

Czuła, że blednie. Wprawdzie słowa te wypowiedział tym samym szorstkim tonem, ale brzmiał w nich jakiś nieuchwytny ciepły dźwięk. Odsunęła się od jego twarzy i spojrzała szeroko otwartymi źrenicami:

— Pawle... Pawle!...

Jego szare oczy patrzyły na nią z pogodą i dobrocią.

— Pawle, czy ty wiesz, coś powiedział?!... To przecież niemożliwe!?

— I ja tak myślałem kiedyś. Cóż na to poradzę, że teraz myślę inaczej, że wiem, że nie mogę nie wiedzieć, czym jesteś dla mnie.

Mówił bardzo spokojnie i bardzo powoli. Umilkł, a ona jeszcze nie rozumiała, co się z nią dzieje. Coś ścisnęło ją za krtań, w oczach zakręciły się łzy i wybuchnęła płaczem.

— Pawle, mój jedyny, jaki ty jesteś dobry, jaki dobry dla mnie — powtarzała wśród łkania. — Czym ja zasłużyłam na ciebie, Pawle... kochany...

— Cicho, Krzysieńko, uspokój się. — Głaskał jej głowę i wilgotny od łez policzek. — Cicho, moja maleńka...

Nagle rozległy się kroki w sąsiednim pokoju.

— Ignacy idzie — powiedział Paweł i ostrożnie postawił ją na ziemi.

Szybko obtarła oczy i odwróciła się plecami do drzwi, i w samą porę, gdyż właśnie lokaj stanął w progu:

— Obiad na stole, proszę jaśnie panów — oznajmił uroczyście.

— Dobrze, idziemy — kiwnął głową Paweł.

Przed pójściem do jadalni musiała wstąpić do siebie, by umyć zapłakane oczy. Przyszło jej na myśl, że w niektórych wypadkach puder używany przez kobiety ma rację bytu.

Uprzytomniła też sobie, jak zabawnie i niedorzecznie musiała wyglądać w męskim ubraniu, zapłakana i na kolanach u mężczyzny. Gdy siadali do stołu, najniespodziewaniej przyszła pani Józefina. Ignacy był o tyle ostrożny, iż nie powiedział jej o przyjeździe Pawła. Na szczęście śpieszyła się i uczęstowawszy służącego porcją obaw o zaginionego syna, zaraz wyszła.

— Wystarczyłoby, gdybym się pokazał mojej rodzicielce, a w ciągu dwóch godzin cała Warszawa wiedziałaby, że tu jestem. Oczywiście pod największym sekretem — śmiał się Paweł. — Nie znam istoty równie naiwnej, jak moja matka, i równie prostodusznej. Po prostu w głowę zachodzę, jak ona mogła zatruć życie ojcu? Że ten człowiek nie umiał sobie z nią poradzić! Szkoda, Krzysiu, że nie znałaś tych stosunków. Była to z jednej strony zawzięta wojna podjazdowa, z drugiej zaś bierna obrona. Zło, zdaje się, tkwiło w tym, że ojciec ożenił się z kobietą nie ze swej sfery.

— Sądzisz, że odgrywa to jakąś rolę?

— Odgrywało wówczas z całą pewnością, a i dziś miewa tego rodzaju aliaż[183] złe skutki. Chociażby na potomstwie. Zwróć uwagę na mnie.

Śmieli się[184] oboje. Od czasu jego powrotu przyglądała się Pawłowi i odkrywała w nim nowe cechy charakteru tak dla niej miłe: pogoda z odcieniem niefrasobliwej ironii, pogoda, która świadczyła o wewnętrznym spokoju, harmonii, równowadze, a jednocześnie była dowodem głębokiej kultury uczuć. Tak się jej przynajmniej wydawało.

Wczesny zmrok zimowy sprawił, że gdy przeszli z oświetlonej jadalni na kawę do salonu, było już prawie ciemno. Paweł kazał zapalić w kominku. Czerwony blask ognia stwarzał nastrój domowy, zasiedziały, intymny. Przysunęli sobie fotele i Paweł powiedział:

[183] *aliaż* (z fr. *alliage*) — przest. stop, mieszanina; przen. połączenie różnych właściwości, pojęć, cech. [przypis edytorski]

[184] *śmieli się* (daw., reg.) — dziś: śmiali się. [przypis edytorski]

— Kiedy ostatnio byłem w Anglii, pewna dama zwróciła mi uwagę na stratę, jaką poniosło nasze życie dzięki swemu pośpiechowi: dziś nie istnieje lub prawie nie istnieje rozmowa w jej dawnym dobrym znaczeniu. Nie mamy czasu na rozmowę. Przedwojenne jej domeny, to jest salony, przestały istnieć. Dziś w salonie również załatwia się interesy. Sam flirt przybrał ton interesów: kupno i sprzedaż, sezonowa dzierżawa lub po prostu targ o jednorazowy bilet wstępu. A transakcje zawierane są błyskawicznie. W tych warunkach rozmowa stała się rzeczą zbędną, a ludzi uprawiających ją nazywamy lekceważąco gadułami.

— To jest smutne — powiedziała, gdyż odniosła wrażenie, że Paweł ubolewa nad tym objawem.

— Smutne? — zdziwił się. — Nie, ani smutne, ani wesołe. Po prostu naturalne. Ty mało z owych czasów możesz pamiętać, a zresztą dom stryjostwa zawsze był zamknięty w sobie, ale ja nieraz przysłuchiwałem się tym właśnie rozmowom *par excellence*[185]. Była to wspaniała szkoła właśnie dla psychologów. Niezależnie od tematu rozmowy każdy z biorących w niej udział zawsze mówił o sobie lub o tych stronach kwestii, które pośrednio lub bezpośrednio z nim, z jego osobistym życiem się wiązały. W gruncie rzeczy było mu absolutnie obojętne to, co słyszał od innych. Wystarczyło znać tych ludzi i wiedzieć o nich trochę intymnych rzeczy, by móc odnajdywać sprężyny ich twierdzeń, poglądów i argumentów. Tylko technika kultury towarzyskiej nadawała pozór rozmowy tym dialogowanym monologom o sobie. Powszechna zabawa w ciuciubabkę. Dziś ludzie nie mają czasu na udawanie, na analizowanie siebie, na roztrząsanie przy lada sposobności swojej tak zwanej jaźni. Dlatego rozmowa straciła rację bytu. Zastąpił ją z powodzeniem rodzaj telegraficznego kodu. I trzeba dopiero wyjątkowych warunków, ot takiego wieczoru i kominka, by człowiek tak puścił w ruch język, jak ja w tej chwili.

— Ale to jest bardzo przyjemne. Jeżeli o mnie chodzi, pragnęłabym takich chwil mieć najwięcej.

— Chwile takie są dzisiaj przywilejem tylko starości. Rozpamiętywanie dawno ubiegłych lat, przeglądanie spłowiałych listów, zasuszonych kwiatów, zaręczynowych pierścionków, kotylionowych[186] orderów...

Nagle przypomniała sobie jego pierścionek:

— Zaczekaj chwilę — zerwała się. — Muszę ci oddać coś, co zapomniałeś.

Zanim mógł ją powstrzymać, pobiegła i po chwili wróciła z pierścionkiem. Miała wielką ochotę zapytać go, co oznaczało noszenie przezeń tej imitacji, lecz podając mu pierścionek, powiedziała tylko:

— Zostawiłeś to na umywalni. Schowałam, gdyż sądziłam, że sprawi ci wielką przykrość zgubienie przedmiotu, który widocznie ceniłeś, skoro się nigdy z nim nie rozstawałeś. To też może jedna z takich właśnie pamiątek...

Spod oka przyglądała się mu, chcąc sprawdzić, jakie to na nim sprawi wrażenie. Paweł wziął w palce pierścionek i patrzył nań przez dłuższą chwilę z jakimś dziwnym uśmiechem. Wreszcie podniósł na nią oczy i zapytał:

— Czy wiesz, jaką to przedstawia wartość?

Skłamać nie chciała, a zdobyć się na szczerą odpowiedź nie mogła. Obawiała się, że dotknęłaby nią Pawła. On jednak nie czekał na odpowiedź. Podniósł pierścionek pod światło i mówił:

— W średniowieczu, gdy nadawano wojownikom herby, uwidoczniano w nich szczegół początku rycerskiej kariery danego jegomościa: miecz, strzałę, uciętą głowę, zdobytą twierdzę czy coś w tym guście. Gdyby mnie chciano dać herb, jego tarczę należałoby ozdobić tym oto emblematem!... Faktycznej wartości nie posiada on żadnej, tak jak prawdopodobnie i większość emblematów herbowych, ale niezaprzeczenie jest klejnotem rodu Pawła Dalcza, który, jeżeli kiedykolwiek będzie istniał, będzie miał zaszczyt mieć mnie za swego protoplastę.

Zaśmiał się i lekkim ruchem dłoni wrzucił pierścionek w ogień.

---

[185] *par excellence* (fr.) — w całym znaczeniu tego słowa, w najwyższym stopniu. [przypis edytorski]

[186] *kotylion* (fr. *cotillon*) — przypinana do piersi ozdoba naśladująca order, mająca formę rozetki lub bukieciku, używana podczas zabawy tanecznej zwanej również kotylionem. Pary jednakowych kotylionów są rozdzielane między tancerzy i tancerki, posiadacze jednakowych kotylionów mają odnaleźć się na sali i tańczyć w parze. [przypis edytorski]

— Po co to zrobiłeś? — zapytała odruchowo.

— Nie cenię pamiątek. Klejnot zrobił swoje, klejnot może odejść.

— Zupełnie ciebie nie rozumiem — powiedziała szczerze.

Paweł spoważniał, wziął jej rękę i zapytał:

— Czy wiesz, ile jest warta prawda?... Tyle, co ten pierścionek! Warta jest cały majątek, jeżeli w nią wierzymy, i pozostanie imitacją, gdy jej nie wierzymy. Może nie powinienem ci tego mówić, ale chcę ci powiedzieć... Tobie jednej... Zdaję sobie sprawę z wszystkich możliwych skutków! Wiem, czym ryzykuję. Prawdopodobnie nabierzesz do mnie wstrętu, może nawet pogardy, na pewno zniszczę tym twoją miłość i twoją przyjaźń dla mnie, być może zmienię cię w swego zawziętego wroga i w dodatku dam ci do ręki broń przeciw sobie, i to broń śmiertelną...

Przeraziła się. Nigdy dotychczas nie mówił do niej w ten sposób, nigdy jego oczy nie miały tak surowego, bezlitosnego wyrazu. Zrozumiała, że chce zwierzyć jej jakąś straszliwą tajemnicę, i ogarnął ją paniczny strach:

— Nie mów, Pawle, nie mów — błagała, wpijając się palcami w jego rękę. — Ja nie chcę nic wiedzieć... Ja cię tak kocham!... Nie mów!...

Zmarszczył brwi, jego usta miały twardy, zacięty wyraz.

Twarz w czerwonym świetle ognia zdawała się skamieniała.

— A jednak muszę ci powiedzieć. Jest to moja konieczność, jest to ten zbytek, luksus, na który chcę sobie pozwolić. Nie jest to moment słabości, lecz potrzeba momentu słabości... Otóż...

— Pawle, błagam cię.

— Otóż było to tak. Od dzieciństwa wpajano we mnie poczucie hierarchii. Miałem czcić wszystkich, którzy byli nade mną, a przede wszystkim matkę, której głupotę poznałem już bardzo wcześnie, i ojca, którego despotyzm budził we mnie bunt. Powiedziałem sobie już wówczas, że jedyny sposób zrzucenia z siebie ciężaru hierarchii to znalezienie się na jej szczycie. Próbowałem drogi rewolucji. Gdy ojciec dopuścił mnie do współpracy w fabryce, każdy moment jego nieobecności starałem się wyzyskać dla zagarnięcia władzy w swoje ręce. Wówczas to nabrałem przeświadczenia, że środki, którymi się do władzy dochodzi, są zupełnie obojętne. Czułem w sobie siłę, czułem pewność, że mogę dokonać rzeczy wielkich, że do szczytu drabiny dotrę pewniej i prędzej niż inni. Ojciec był pierwszym z tych, którzy paraliżowali moją działalność, spychali mnie w dół, krępowali każdy rozmach. Znienawidziłem go. Wówczas jeszcze zdolny byłem do nienawiści. Zerwałem z ojcem. Wyjechałem z niedużym kapitalikiem, który rzucono mi jak ochłap, bym tylko nie wracał. Znalazłem się na obcym, nieznanym sobie terenie. Wspomnienie kraju było mi równoznaczne ze wspomnieniem zgrai miernot, które mi do pięt nie dorastały, miernot w guście Zdzisława, Jachimowskiego i innych, tych miernot, które z olimpu swej przeciętności odsądzały mnie od czci, od praw, nawet od zdrowego rozumu. Ogarnęła mnie żądza zdeptania ich, zgniecenia swoją wielkością, żądza silniejsza ponad głód, ponad obawę o własne życie. Czaszka pękała mi od nadmiaru pomysłów. Wokół siebie widziałem błędy popełniane przez ludzi wielkich interesów, widziałem ich niedopatrzenia, ślamazarność i tchórzostwo przed ryzykiem. Postanowiłem zacząć. Może dlatego, że zajęty wielkością swoich planów, nie zwracałem uwagi na drobne szczegóły, może dlatego, że brak mi jeszcze było doświadczenia w znajomości ludzi, a głównie dlatego, że kapitalik, którym rozporządzałem, uniemożliwiał mi wejście w sferę wielkich interesów z głosem decydującym — ponosiłem klęskę za klęską. Z początku nie opuszczałem rąk, zabierałem się znowu do roboty, później coraz częściej popadałem w rozpacz i w apatię. Tygodniami, całymi tygodniami leżałem w łóżku nieruchomy jak kłoda drzewa, jak trup... Ze wszystkiego to właśnie było najokropniejsze, lecz i wówczas nie traciłem jeszcze wiary w siebie...

Oparł głowę na rękach i wpatrzył się w płomień. Na jego skroni połyskiwały siwe włosy i zdało się jej, że wówczas właśnie musiały posiwieć.

Wsunęła rękę pod jego ramię i przytuliła się mocno. Zdawał się tego nie spostrzegać. Po chwili zaczął znów mówić:

— Ludzie, z którymi się stykałem, uważali mnie za maniaka. W głowie ich nie chciało się pomieścić, że człowiek niemający czym zapłacić za szklankę kawy chce założyć lombard oparty na nowych zasadach, a przynoszący pół miliona rocznie. Wydawało się to im

absurdem, że żyję w abstrakcjach swoich projektów, a nie wezmę się do jakiegoś drobnego pośrednictwa, handelku, do groszowych interesów, które zapewniłyby mi tak zwany kawałek chleba, czyli coś, co stanowi szczyt marzeń dla tego całego bydła. Spokojny kawałek chleba, renta na starość i królestwo niebieskie po śmierci. Królestwo niebieskie jest nieodzownym zakończeniem. Ma ono zrehabilitować kilkadziesiąt lat bydlęcej wegetacji. Nie umiałem się w tym zmieścić. Najpierw usiłowałem znaleźć w szlamie, co oblepiał mnie ze wszystkich stron, drogę bardziej wartkiego prądu. Szukałem dróg prostych, stawiałem sprawy jasno... Byłem młody. I przychodziły klęski. Coraz dotkliwsze, coraz bardziej obezwładniające. Miażdżyły bez reszty wszystko, co największym wysiłkiem, co nieprawdopodobną pracą zdołałem zmontować. Zostawałem znowu z gołymi rękami. A przecież wciąż czułem w nich siłę do podźwignięcia największych ciężarów, wciąż wierzyłem w siebie. Okresy apatii stawały się po każdej katastrofie dłuższe. Przerzucałem się z miejsca na miejsce, szukałem ludzi obcych, którzy nie znali jeszcze moich poprzednich niepowodzeń. Wreszcie uległem...

Na jego twarzy wystąpiły ostre bruzdy, palce zacisnęły się kurczowo. Stłumiła oddech, siedziała nieruchomo, starając się wmyśleć, wczuć, wżyć w jego tragedię. Napięcie tej tragedii, jej obszar i potęgę odczuwała każdym nerwem, na próżno jednak próbowała ją pojąć.

Tymczasem Paweł mówił dalej. Pozornie spokojnym opanowanym głosem opowiadał historię swej ostatniej próby, próby podźwignięcia folwarku oddanego mu przez matkę, stworzenia wzorowego gospodarstwa na wielką skalę, uprzemysłowienia okolicznego rolnictwa i znalezienia w tym odskoczni do dalszych zdobyczy. Drobne troski i drobni — jak ich nazywał — małokalibrowi ludzie paraliżowali i tu każdy jego krok. Przyszła zupełna rezygnacja.

— Zaszyłem się w barłogu[187] i na wszystko machnąłem ręką. Zalewałem się alkoholem, całymi miesiącami nie wychodziłem z brudnej jak chlew izby... O, moja droga Krzysiu, zapewniam cię, że uciekłabyś przerażona, gdybyś tam mnie wówczas ujrzała.

Zaśmiał się i spojrzał na nią. W jego uśmiechu było coś dojmującego. Mimo woli skuliła ramiona i spuściła oczy.

— Gniłem, rozumiesz, gniłem jak parszywe zwierzę, zapędzone w ślepy kąt! Jak ostatni nędzarz w zawszonych łachmanach, porośnięty brudem, nieustannie pijany w doborowym towarzystwie na wpół zidiociałego wyrostka i dziewek, które za przestawanie ze mną chłopi wypędzali z chat. Stawałem się kupą gnoju, ja, który miałem w sobie pełną świadomość własnej mocy potrząśnięcia światem!

Zerwał się i wzniósł nad głową zaciśnięte pięści:

— O, co za piekielne żądze szarpały mnie wówczas, jak nieludzka nienawiść gryzła mi gardło!... Nienawiść do samego siebie za to, że wyrosłem głową ponad przeciętność, że modlitwa o chleb powszedni była dla mnie bluźnierstwem przeciw memu człowieczeństwu, przeciw człowieczeństwu, które wdziera się na szczyty Himalajów, które pęta ziemię stalowymi szynami, wwierca się w jej skorupę, tworzy, włada, ogarnia!... O, stokroć wolałem gnić jak padlina, niż pogodzić się z rolą jednego z tych drobnoustrojów, którymi tak gardzę!...

Pochylił się nad nią i zapytał prawie szeptem:

— Dziwisz się, że nie palnąłem sobie w łeb?...

— Pawle — uczepiła się jego rąk.

— Nie zaprzeczaj, wyczytałem to w twoich oczach. O, nie! Znajdowałem jakąś dziką rozkosz w rozpamiętywaniu własnej klęski, w kontemplacji tego wspaniałego kontrastu między swoją wewnętrzną potęgą i śmietniskiem, w które się zmieniłem. Dlatego właśnie wybuchałem od czasu do czasu śmiechem, który moje otoczenie uważało łaskawie za obłęd. Była zresztą i inna przyczyna. Widzisz, wszyscy zapomnieli o mnie. Przecie to zrozumiałe: minęły lata. Zapomnieli, a ja za żadną cenę nie chciałem przypomnieć im siebie i swojego upadku. Krew mnie zalewała na myśl, że mi będą nad grobem z politowaniem kiwali głowami i wygłaszali swoje idiotyczne kanony wiary o przykładnym życiu. Tej satysfakcji musiałem im oszczędzić. Może zresztą... może, gdzieś na dnie, w podświa-

[187] *barłóg* — legowisko niedźwiedzia lub dzika; potocznie o niechlujnym, nędznym posłaniu. [przypis edytorski]

domości, żarzyła się jeszcze jakaś niedostrzegalna iskierka nadziei... W każdym razie nie łudziłem się, że kiedyś wybuchnie pełnym jasnym płomieniem. Przyszło to całkiem niespodziewanie. Domyślisz się zapewne, że była to depesza o samobójstwie ojca. W chwili gdy mi ją doręczono, nie miałem kilku groszy na napiwek dla posłańca.

Zamyślił się i wpatrzył się w ogień.

— To było straszne — miękko dotknęła jego dłoni.

— Co mówisz? — ocknął się.

— Kocham cię, Pawle, za każdą godzinę twoich cierpień bardziej cię kocham...

Potrząsnął głową:

— Nie mów tego, Krzysiu, nie mów. Za chwilę możesz wyprzeć się wszystkiego. Nie, nie zaprzeczaj...

— Pawle!

— Otóż słuchaj. Przyjechałem do Warszawy w łachmanach, przyjechałem wagonem trzeciej klasy za wyżebrane od pachciarza[188] pieniądze. Dlaczego przyjechałem?... Nie wiem. Po prostu intuicja mówiła mi, że trafię na szczęśliwy moment, że po śmierci ojca wszyscy tu głowy potracą, że powstanie zamęt, panika, chaos... Nie omyliłem się. Nie omyliłem się również i w ocenie naiwnej przezorności matki. Nie dowierzała Jachimowskiemu, nie dowierzała ani Zdzisławowi, ani córkom. Wolała we wszystko wtajemniczyć mnie.

— W co wtajemniczyć?

— Przede wszystkim w powody samobójstwa mego ojca. Ale to późniejsza sprawa. Zacznę od tego, jak tu przyszedłem. Przyszedłem chyłkiem, jak złodziej. Matka sama otworzyła mi drzwi. Nie mógł mnie przecie nikt zobaczyć w tych łachmanach. Któż by wówczas miał do mnie zaufanie! Któż by powierzył mi objęcie interesów rodziny!

Uśmiech jego przeszedł w ostry szyderczy grymas.

— Matka tedy była pierwszą wspólniczką mego pierwszego oszustwa — dodał z naciskiem.

— Ależ jakiego oszustwa? — zdziwiła się.

— Najzwyklejszego. Pozwoliła mi przebrać się w ubranie ojca i oświadczyła rodzeństwu, że przyjechałem z Anglii wezwany przedśmiertnym listem ojca, że mieszkam w Liverpoolu, gdzie posiadam przedsiębiorstwo handlowe. Cóż na to poradzę, że ona jedna nie uważała mnie za wariata, no i że miała rację?... Wręczyła mi pozostałe po zmarłym papiery, papiery, których istnienie przed innymi zataiła. Z nich to dowiedziałem się, że zacny mój rodzic rozstał się z tym światem w najzupełniejszym porządku, że nie popełnił żadnego nadużycia.

— Jak to?

— Myślisz o tych dwustu tysiącach dolarów?

— Przecie sam przedstawiłeś tę sprawę memu ojcu? Pokazywałeś dokumenty?

— Tak, moja droga. Ojciec mój istotnie nielegalnie zaciągnął taką pożyczkę, lecz przed śmiercią spłacił ją do ostatniego grosza, spłacił ją całym majątkiem własnym i mego rodzeństwa. Po prostu sprzedał ich udziały.

— Nie rozumiem?

Paweł zaczął obszernie opowiadać o wszystkim. Przypomniał jej dzień po dniu zdarzenia i pertraktacje z owego okresu. Z chłodnym spokojem mówił o podrabianiu przez siebie kwitów, listów bankowych, o wyłudzaniu pieniędzy zarówno z fabryki, jak i bezpośrednio od jej ojca, o oszukaniu rodzeństwa, zawładnięciu kierownictwa firmy, o machinacjach z wykupieniem udziałów, o usuwaniu niewygodnych ludzi.

Słuchała tego półprzytomna. Zdawało się jej, że lada moment Paweł roześmieje się pogodnie i powie, że cała ta okrutna spowiedź jest tylko najzwyklejszą mistyfikacją, żartem, jakąś próbą, tak, najoczywiściej próbą jej miłości. Paweł jednak mówił dalej. Słowa jego padały jedno po drugim z nieubłaganą konsekwencją. Wyzierała z nich niedająca się obalić prawda.

Zakryła oczy dłonią i zaciskała zęby, by zmusić siebie do milczenia. Jakżeby chciała zawołać teraz:

---

[188] *pachciarz* (daw.) — osoba dzierżawiąca coś od kogoś (np. karczmę); w daw. Polsce funkcję taką sprawowali zazwyczaj Żydzi. [przypis edytorski]

— Ratunku! Ratunku! Ratujcie mnie przed tą potworną spowiedzią!

Nagle uderzyła ją myśl:

„On dlatego mówi mi to wszystko, by uwolnić się od mojej miłości, by uwolnić się ode mnie!... Chce, bym nabrała dlań pogardy..."

Straszny ból ścisnął jej serce. Opuściła rękę i spojrzała na Pawła. Twarz jego była kamiennie spokojna. Nie słyszała już jego słów, nie rozumiała ich treści. Tylko ten niski, równy głos, niewzruszony, bezlitosny, zimny.

Nie, nie mogła tego znieść dłużej, nie mogła. To było ponad jej siły. Przycisnęła pięści do uszu i krzyknęła:

— Dość! Dość! Nie mów!

Wówczas odwrócił z wolna głowę i spojrzał na nią.

Przeraziła się wyrazu jego oczu. Były prawie przezroczyste, bezbarwne, białe...

Wybuchnęła płaczem.

— No i co? — zapytał chłodno. — Teraz brzydzisz się mną?

— Och, jakie to okropne, jakie to straszne!... Pawle, po co, po co powiedziałeś mi to wszystko!

— Brzydzisz się mną? — powtórzył z naciskiem i jak się jej zdawało, z zadowoleniem.

— Dlaczego ty mnie nienawidzisz!? — Zerwała się i stojąc tuż przy nim, nerwowo zaciskała palce. — Dlaczego chcesz się mnie pozbyć!?... Pawle!... Pawle!

Wzruszył ramionami:

— Bynajmniej... Chcę tylko, byś mnie znała.

— Ale ty nie jesteś taki! — wybuchnęła.

— Jestem.

Opadła na fotel i skuliła się, ukrywając twarz w dłoniach. Stał przy niej nieruchomy i po chwili powtórzył:

— Jestem taki. Jestem imitacją uczciwego człowieka, ale imitacją wykonaną precyzyjnie, mistrzowsko, wspaniale. Pierścionek, który wrzuciłem do ognia, spełnił swoją rolę dzięki temu samemu. Był niezłym falsyfikatem. A teraz pomyśl, moja droga, czy zwróciłabyś na mnie uwagę, gdybym zjawił się przed tobą w łachmanach, w nędzy, jako ostateczny bankrut życiowy? Co powiedziałabyś o mnie, gdybym przyjechał do Warszawy i usiłował wytłumaczyć twemu ojcu i memu rodzeństwu, że powinni mnie powierzyć kierownictwo fabryki? Wyśmiałabyś mnie razem z nimi! Prawda?... A przecie moja wartość była wciąż niezależna od mego wyglądu ani od opinii, jaką mnie zaszczuwano przez długie lata, a przecie zawsze byłem tym samym genialnym finansistą, za którego teraz uważają mnie wszyscy!

Podniosła nań oczy. Stał nad nią z twarzą złą, surową, niemal groźną:

— Jaką wartość ma prawda? Jaką, do stu diabłów, wartość? Tylko tę, że się w nią wierzy! Jeżeli wierzy się w kłamstwo, staje się ono takąż prawdą, a świat chce wierzyć za wszelką cenę. *Mundus vult decipi*[189]. Musiałem popełnić cały łańcuch oszustw, by zdobyć opinię uczciwego człowieka. To wcale nie paradoks, to treść psychiki ludzkiej. Mówiłaś mi, że pociągnąłem cię ku sobie swoją siłą, potęgą... Czy gdybym ukazał ci się jako bezsilny i podeptany, mogłabyś mnie pokochać?... Powiedz!...

— Tak, to prawda — szlochała — ale mogłeś dojść do tego samego drogą uczciwą!

— Możliwe. Temu nie przeczę, ale kwestia ta dla mnie w ogóle nie istniała i nie istnieje. Jest to kwestia... nomenklatury, nazwa i tyle. Gdybym w tak zwany uczciwy sposób doszedł do majątku, musiałbym i tak komuś ten majątek odebrać. Różnica polegałaby wyłącznie na legalności środków działania. No i na rozległości czasu. A to nie jest przecie istotne. Mniejsza zresztą o to... Pozostaje faktem, że wygrałem, że udowodniłem temu bydłu swoją wielkość, że stać mnie było nawet na to, by teraz przed tobą zdjąć maskę!

— Pawle!

— Brzydzisz się mną?

Potrząsnęła głową:

— Ja ciebie nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego mówisz mi to wszystko?

[189] *mundus vult decipi* (łac.) — świat chce być oszukiwany; pierwsza część maksymy *mundus vult decipi, ergo decipiatur*: świat chce być oszukiwany, więc niech będzie oszukiwany. [przypis edytorski]

— Nie rozumiesz?... — przygryzł wargi. — O, moja droga! Dlaczego nie chcesz zrozumieć, że ja raz jeden, w stosunku do jednej jedynej istoty ludzkiej, chcę być człowiekiem? Że chcę podzielić się z tobą, właśnie z tobą tym, co według mnie jest moim bogactwem, tym, czym mogę ci zapłacić za twoją miłość, zdobyć ją dla siebie prawdziwego!...

W głosie Pawła dosłyszała jakąś nieznaną, gniewną, rozedrganą nutę. Po raz pierwszy odczuła, że naprawdę, że ponad wszelką wątpliwość przedstawia dla niego jakąś głębszą wartość, że oto zapragnął jej, że zapragnął jej bliskości. Była tak jeszcze oszołomiona, że po prostu nie mogła zebrać myśli:

— Tak, Pawle, tak, Boże mój... Nie rozumiem tylko, dlaczego postępowałeś w ten sposób?... Czy... czy... z chciwości?...

— Tak, naturalnie — potwierdził. — Z chciwości gry. Nie pieniędzy. Sama wiesz najlepiej, że pieniądze nie są mi potrzebne. Jeżeli chodzi o zaspokojenie moich wymagań życiowych, wystarczyłby mi w zupełności ten przeciętny kawałek chleba powszedniego. Nie. Pieniądze są dla mnie tylko środkiem, środkiem w gruncie rzeczy najobojętniejszym, ale niezbędnym.

— Środkiem do czego?

— Do gry!

— I cóż ma być celem tej strasznej gry?

— Celem?... Władza! Potęga! Boskość!

— Pawle!

— Tak, boskość, bo rządzenie ludźmi, żonglowanie nimi jak kukiełkami z celuloidu[190], jak kolorowymi kulkami, to boskość, to słodycz wszechwładzy. Oto świat zmienia się w moją szachownicę. Oto mogę dowolnie manipulować figurkami bardzo ważnych, bardzo nadętych, bardzo szanownych bliźnich, ja, taki sam jak oni, a przecież stokroć od nich potężniejszy. Czy nie rozumiesz rozkoszy, jaką to daje? Gra, Władza

Jego oczy iskrzyły się, a wargi drgały.

— Czy nie pojmujesz — mówił, pochylając się ku niej — że największą żądzą, żądzą, która odróżnia człowieka od zwierzęcia, jest żądza potęgi? Czy wiesz, że zaspokojenie tej żądzy musi dać najwyższą rozkosz? Że nie ma ofiar, które nie byłyby godne tej żądzy?

Głos Pawła zdawał się rozżarzać, rozpłomieniać. Nigdy dotychczas nie widziała go takim, nigdy dotychczas nie biła z jego oczu tak silna, aż obezwładniająca namiętność. Nie zdawała sobie sprawy ze słuszności jego argumentów. Wiedziała jedno: porywał ją, ogarniał, roztapiał w swym ogniu.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła ustami do ust. Półświadomie zapragnęła ześrodkować na sobie, wchłonąć, przepalić się tą wielką niepojętą żądzą, przywłaszczyć ją i stopić się w niej. Wziąć go takim potężnym, niepohamowanym, niezwyciężonym. Wtulić, wgarnąć w siebie, opleść chciwym ciałem, spętać omdlewającymi mięśniami, posiąść każdym nerwem, każdym ścięgnem, oddechem i pragnieniem krtani, drżeniem piersi i tęsknotą bioder, skowytem ofiary i spazmem zatraty siebie w nim i jego w sobie... Zlać się w jedno krwią huczącą w skroniach, przepaść w jej czerwonym bulgocie, zginąć w jej falach zachłystujących świat...

Nigdy jeszcze tak go nie pragnęła, nigdy w najupalniejsze noce oczekiwania nie objawiła się jej tak oszołamiająca rozkosz... Nigdy taką pełnią nie czuła swego życia...

Na gruby miękki dywan padały ostatnie błyski. Pod siwym gorącym popiołem dogasał żar węgli na kominku.

ROZDZIAŁ VI

Aresztowanie inżyniera Ottmana odbiło się głośnym echem w prasie. Kable telegraficzne i fale radiowe rozniosły tę wiadomość we wszystkie strony świata. Podobizna wielkiego oszusta ukazała się na pierwszej stronie tysiąca dzienników.

[190]*celuloid* — termoplastyczne, łatwopalne tworzywo sztuczne; dawniej powszechnie produkowano z niego przedmioty codziennego użytku, np. lalki, różne zabawki, piłeczki pingpongowe, błony fotograficzne. [przypis edytorski]

„Kolosalna panama[191] inżyniera Ottmana" — krzyczały tytuły — „Kauczuk syntetyczny jest bluffem[192]"... „Milionowa afera fałszywego wynalazcy"... „Oszust osadzony w więzieniu"...

W gabinecie Centrali Eksportowej Paweł Dalcz systematycznie przeglądał stosy gazet. Siedzący przed nim blady jak płótno Blumkiewicz raz po raz otwierał usta, chcąc coś powiedzieć, lecz wciąż mu brakowało odwagi. Wyczekiwał na moment, gdy Paweł podniesie wzrok znad szarych kolumn druku. Wreszcie wybuchnął:

— Ja nie mogę, panie prezesie, ja nie mogę!

Paweł zmarszczył brwi, lecz natychmiast roześmiał się:

— Nie bądź pan dzieckiem, panie Blumkiewicz. Ręczę panu, że nie posiedzisz w ciupie[193] dłużej niż trzy, najwyżej cztery miesiące.

— Ja wolę już... uciec, ukryć się, bo ja wiem!...

— To głupio.

— Panie prezesie, ja wiem, ja panu wierzę, ja nawet niczego złego się nie spodziewałem, ale co będzie, jeżeli, nie daj Boże, pana coś spotka?

Paweł wstał i poklepał go po ramieniu:

— Masz mnie pan za lekkomyślnego młodzieńca? Co?... Wstydziłbyś się, panie Blumkiewicz! Przypomnij pan sobie, coś sam klarował Ottmanowi. Ten jest znacznie głupszy od pana, a jednak dał się przekonać.

— Może właśnie dlatego, że głupszy — z rezygnacją opuścił głowę Blumkiewicz.

— Mądrzejszy. Mówię panu, że mądrzejszy. Pan musi być również aresztowany. Jeden człowiek to za mało dla tłumu. Dziś zresztą aresztowano już chemika fabrycznego i pańskiego pomocnika. Oczywiście zwolnią ich po kilku dniach, ale pan musisz odpocząć w więzieniu aż do rozprawy.

Blumkiewicz wyjął kraciastą chusteczkę i wycierał nią oczy.

— Najlepiej pan zrobisz, jeżeli zaraz pojedziesz dobrowolnie do Urzędu Śledczego — spokojnie mówił Paweł. — To nawet niebezpieczne, że siedzisz pan tu u mnie. Mógł pana ktoś poznać.

— Ale po co, po co pan prezes kazał mnie aresztować? — rozpaczliwie zawołał Blumkiewicz, wyciągając patetycznie ręce. — Czemu nie uprzedził mnie pan o tym?!

— Dość tego — szorstko przerwał Paweł. — Wytłumaczyłem panu raz i powtarzać nie będę. Niech panu wystarczy, że gdybym podczas śledztwa doszedł do przekonania, że mnie samego dla dobra sprawy należy zamknąć, postarałbym się i o to. Zresztą nie żądam tego od pana darmo. Pół miliona piechotą nie chodzi.

Spojrzał na zegarek i dodał tonem rozkazu:

— Za dziesięć minut masz się pan zameldować w policji.

— Ottmanowi daje pan prezes milion — ociągał się Blumkiewicz.

— Jego rola jest bez porównania ważniejsza — wzruszył ramionami Paweł.

— Ale ja przez tyle lat służyłem rodzinie Dalczów, zdrowie straciłem, siły, a jeszcze teraz na starość w więzieniu mam siedzieć...

— No, dobrze — skrzywił się Paweł — pomyślę o tym. Obiecuję panu, że pomyślę. Czy to panu wystarcza?

Na twarzy Blumkiewicza zjawił się uśmiech:

— Oczywiście wystarcza, panie prezesie, oczywiście. No trudno. Jak trzeba, to trzeba. Do widzenia panu prezesowi. Może pan być spokojny. Wszystko zrobię dokładnie.

Paweł podał mu rękę i odprowadził do drzwi. Teraz już wszystkie sprężyny były nakręcone i aparat musiał działać bez błędu. Przeświadczenie o tym nie znaczyło jednak bynajmniej, że Paweł mógł sobie pozwolić na krótki bodaj odpoczynek. Niemal z minuty na minutę należało czuwać nad realizacją precyzyjnie obmyślanego planu. Lada chwila można było spodziewać się z każdej strony niebezpiecznych podejrzeń. Wówczas przyszłaby konieczność tłumaczenia się, jeżeli nie przed władzami, to chociażby przed opinią publiczną, a tego należało za wszelką cenę uniknąć.

---

[191] *panama* (daw.) — wielkie oszustwo inwestycyjne; określenie pochodzące od największej afery gospodarczo-politycznej XIX w., związanej z działalnością francuskiej Kompanii Panamskiej, spółki akcyjnej założonej w celu zbudowania kanału w poprzek przesmyku panamskiego. [przypis edytorski]

[192] *bluff* a. *blef* — postępowanie mające na celu wprowadzenie kogoś w błąd. [przypis edytorski]

[193] *ciupa* (pot.) — więzienie. [przypis edytorski]

Zresztą większość pozorów przemawiała przeciw tym obawom. Od chwili gdy Paweł zażądał aresztowania Ottmana, cała prasa zajęła jednomyślne stanowisko po stronie znakomitego przemysłowca przeciw fałszywemu wynalazcy. Przenikające do wiadomości publicznej szczegóły śledztwa wzmagały jeszcze bardziej oburzenie na Ottmana, który nieudolnie i wykrętnie tłumaczył się rzekomą nieświadomością w tak ważnej kwestii, jak w kwestii psucia się syntetycznego kauczuku. Mówił o jakimś błędzie, który musiał wkraść się do prac laboratoryjnych. Ładny błąd! Błąd ten przecie dziwnym wypadkiem zarwał Pawła Dalcza i finansistów zagranicznych na kilka milionów inwestowanych w bezwartościowym wynalazku, a człowiek, który ten „błąd" popełnił, kupił sobie wielką willę, urządził w niej kosztowne laboratorium (widocznie dla opracowywania dalszych fałszerstw) i rozbijał się własnym samochodem! Na wszystkim tym położył teraz rękę sędzia śledczy, by chociaż w części zabezpieczyć straty poszkodowanych.

Z drugiej strony asekurowało Pawła stanowisko Williama Willisa. Miliarder amerykański udzielił wywiadu, w którym wyraźnie oświadczył, że zarówno on sam, jak i pan Dalcz zostali oszukani przez nieuczciwego chemika. Zaznaczył przy tym, że obaj ponieśli straty dość dotkliwe.

Oczywiście mogło komukolwiek przyjść na myśl, że ci dwaj bogacze oszukali jednego biednego wynalazcę i zmusili go do odegrania haniebnej roli. Podejrzenie to jednak zjawiłoby się tylko w wypadku, gdyby ktokolwiek wiedział o skupieniu przez nich akcji kauczukowych. W obecnym wszakże układzie sprawy, jeżeli podejrzewano ich o co, to o ukrywanie rozmiarów strat. Ogólnie bowiem przypuszczano, że straty muszą być tak wielkie, iż zachwieją finansami, jeżeli nie Willisa, to w każdym razie Dalcza. A nikt nie mógł wiedzieć, że w gruncie rzeczy straty były minimalne. Przede wszystkim akcje „Optimy" nie znajdowały się jeszcze na rynku. Poza tym nie dokonano ani jednej poważnej inwestycji. Place zakupione pod budowę fabryk „Optimy" utrzymały swoją realną wartość, na zapasach terpentyny i kazeiny tracili raczej producenci tychże, gdyż nagłe zwolnienie wielkich zapasów obniżyło ceny.

Tymczasem oczekiwać należało jedynie wzburzenia w kołach byłych właścicieli akcji kauczukowych. Ci jednak siedzieli cicho. Najczynniejszy i najniebezpieczniejszy ze wszystkich, Brighton, nie żył. Inni stracili swoje majątki, a tym samym znaczenie. Zresztą nie mieli powodu do podnoszenia larum[194]. Wbrew jednogłośnym przepowiedniom ekonomistów prasa gospodarcza zaobserwowała dziwne zjawisko: oto upadek „Optimy" bynajmniej nie wpłynął na zwyżkę akcji kauczuku naturalnego.

Zjawisko to polegało wszakże na bardzo prostych przyczynach. Wszystkie akcje znajdowały się w rękach Dalcza i Willisa. W portfelach drobnych posiadaczy pozostały wprawdzie tu i ówdzie małe pakiety ocalałe zbiegiem okoliczności podczas niedawnej paniki, nie mogły one jednak wpływać na zwyżkę kursu. Nie mogły tym bardziej, że na giełdach bynajmniej nie ustały transakcje w tych papierach. Gdyby wiedziano, że transakcje polegają na fikcyjnej wymianie akcji sprzedawanych dla pozoru przez jednych agentów Pawła Dalcza innym jego agentom — może by było znacznie gorzej. W obecnych jednak warunkach wszystko zdawało się gwarantować utrzymanie spokoju i doprowadzenie olbrzymiej afery do pomyślnego finału.

Przez pewien czas opinia publiczna interesowała się uwięzionymi oszustami, inżynierem Ottmanem i dyrektorem Blumkiewiczem. Później uwaga jej zajęta została wysoce obywatelskim postąpieniem Pawła Dalcza, który nie bacząc na i tak poniesione straty, gorliwie zaopiekował się robotnikami zamkniętej fabryki, zapewniając im zarobek w innych przedsiębiorstwach.

Z tym wszystkim Paweł zajęty był pracą po uszy. Z trudem tylko mógł wyrwać się na dwa dni do Paryża. Wyjazd ten jednak był nieodzowny ze względu na konieczność osobistego porozumienia się z Willisem, który w tym właśnie celu przyjechał do Europy.

Układ między nimi został zawarty według dawno omówionych zasad ogólnych. W rękach Willisa miał pozostawać cały przemysł przetwórczy w Ameryce Południowej, Północnej, w Afryce, Australii i Azji, Pawłowi zaś przypadał wytwórczy na całym świecie i przetwórczy w Europie.

[194] *larum* (łac.) — alarm. [przypis edytorski]

W małej willi na jednym z przedmieść paryskich w ciągu niemal doby bez przerwy toczyły się pertraktacje i nikt by nie był przypuścił, że podzielono tu na dwie części jedną z najważniejszych gałęzi przemysłu.

Wszystko odbyło się jak najciszej, bez najmniejszego rozgłosu. Ponieważ zaś nie dało się ukryć przyjazdu do Paryża dwóch tak wybitnych ludzi interesu, ograniczyli się oni do podania prasie wiadomości, iż celem spotkania było przekazanie przez Willisa Dalczowi generalnego zastępstwa swoich przedsięwzięć na stary kontynent. Nie mijało się to zresztą z prawdą. Willis od pierwszego spotkania z Pawłem poznał się na jego geniuszu finansowym i nabrał doń zaufania. Przeprowadzenie olbrzymiej afery kauczukowej jeszcze bardziej utwierdziło między nimi stosunek wzajemnej życzliwości.

— Gdybyś chciał mnie wystrychnąć na dudka — powiedział pewnego razu Willis, odsuwając kwit podany mu przez Pawła — zrobiłbyś to już dawno. Między nami te świstki są niepotrzebne.

— Dziś nie mam tego zamiaru — roześmiał się Paweł — ale bądź ostrożny. Mogę zmienić projekty!

— Mój drogi — wydął wargi Amerykanin — pozwól, że ci przypomnę przysłowie polskie, którym mnie kiedyś częstowałeś: lepiej z mądrym stracić, niż z głupim zarobić. Ale mam wrażenie, że my we dwójkę nie stracimy, co, stary?

— Nie mam żadnych w tym względzie obaw — z przekonaniem potwierdził Paweł i jednocześnie pomyślał:

„Przekonasz się, głupcze, że przysłowie się sprawdzi".

Istotnie Paweł miał teraz w ręku wszystkie atuty, by porządnie oskubać Willisa. Jadąc do Paryża, nawet nie przypuszczał, że tyle zdoła uzyskać. Mówiąc po prostu, Willis sam dobrowolnie wszedł w ślepą uliczkę, zdając się na łaskę i niełaskę Pawła. Oddanie mu całego przemysłu wytwórczego nie było przecież niczym innym, jak stworzeniem monopolu produkcji surowca, monopolu, od którego przemysł przetwórczy zależny był pod każdym względem.

— Co za głupiec, co za głupiec — powtarzał Paweł, rozmyślając o tym nie tylko ze zdumieniem, lecz i z pewną dozą niezadowolenia.

Irytowała go naiwność dotychczasowego wspólnika i obiecywał sobie należycie go za tę lekkomyślność ukarać. Ukarać chociażby za rozczarowanie, jakie sprawił. Paweł spodziewał się gry o wiele ciekawszej i bardziej wyrafinowanej. Miał opracowany plan podziału zdobyczy wprawdzie również na swoją korzyść, lecz korzyść ta była starannie ukryta. Polegała ona na drobiazgowo przewidzianych szczegółach praktycznych, jak względna i faktyczna opłacalność produkcji w różnych obiektach, jak koszty transportów, podatków, cła i robocizny. Większą też czułby satysfakcję, gdyby w Willisie spotkał gracza godnego siebie i pomimo to osiągał nad nim przewagę. Takie zwycięstwo było zbyt łatwe.

Do uzyskania tego zwycięstwa dopomógł wprawdzie Pawłowi jego stale używany a niezawodny sposób. Mianowicie w trakcie wstępnych rozmów o podziale zdobyczy nadmienił, że jest do zrobienia interes znacznie większy i znacznie lepszy.

— Na przykład? — zainteresował się Willis.

— Nie będę przed tobą robił z tego tajemnic, gdyż wierzę, że zabierzemy się do tego na spółkę. Czy wiesz, że jestem właścicielem Centrali Eksportowej?

— Owszem, wspominałeś o tym.

— Więc dzięki tej Centrali jestem w dość bliskim kontakcie z rządami szeregu państw mniejszych. Zwłaszcza w środkowej i we wschodniej Europie. Państwa te dałoby się porównać z przedsiębiorstwami o fatalnej gospodarce. Mają rozdęte budżety i cierpią na stały głód gotówki. Ręczę ci, że w danej chwili w Paryżu bawi przynajmniej pięć różnych delegacji z Węgier, Łotwy, Czechosłowacji i tak dalej, starających się wydębić grubsze pożyczki. Procent, jaki te rządy gotowe są płacić, w stosunkach amerykańskich, a nawet zachodnioeuropejskich jest kolosalny. Nic jednak dostać nie mogą lub prawie nic, gdyż nikt tu nie uważa takiej lokaty za pewną.

— Poniekąd mają rację — przerwał Willis.

— Ale tylko poniekąd. Zabezpieczenie bowiem można znaleźć zupełnie pewne i ja je znalazłem.

— No, chyba nie zabezpieczenie przeciw wojnie? — zaśmiał się Amerykanin.

— Nawet i to — z tajemniczą miną odpowiedział Paweł. — Teraz jeszcze nie powiem ci tego, gdyż chcę najpierw rzecz gruntownie zbadać. Jednakże bądź przekonany, że bez ciebie do tego nie przystąpię. Na to masz moje słowo.

Wypowiedział to takim tonem, jakby już samo przyrzeczenie było wielkim dowodem życzliwości brzemiennej w grube dochody.

Willis jednak nie mógł powstrzymać ciekawości i zaczął wypytywać o szczegóły. Projekt tak go zafrapował, że często podczas rozmowy o podziale plonów afery kauczukowej powracał do tamtego tematu. Paweł sam, ilekroć obie sprawy dały się zazębić, umiejętnie wtrącał różne informacje.

Mówił na przykład:

— Do wpływania na przemysł samochodowy trzeba będzie stworzyć bank. Zarys jego konstrukcji mam gotowy. Co powiedziałbyś o wydzierżawianiu w różnych krajach podatku drogowego i utrzymania dróg w połączeniu z koncesją na wyłączne prawo handlu samochodami?... To nie jest zła myśl, zważywszy iż od jakości nawierzchni zależy zużycie opon. Kwestia konsumpcji zwiększanej lub zmniejszanej w razie potrzeby. Otóż bank ten będzie miał i inne, znacznie szersze zadania. Weź pod uwagę chociażby to, że drobny kapitał, który nie ma zaufania do obligacji państw narażonych na ewentualną wojnę, obligacje takiego banku rozchwyta bez najmniejszej obawy. A teraz uwzględnij różnicę oprocentowania! Minimum pięć procent czystego zysku bez żadnego ryzyka i bez wkładania własnych kapitałów! A do tego jeszcze dodać należy liczne rodzaje koncesji, jakie za udzielenie pożyczki da chętnie, byle po cichu, każdy rząd.

— Dlaczego po cichu? — interesował się Willis.

— Ze względów wewnętrznopolitycznych[195]. Wszyscy oni gotowi są na każde ustępstwo, byle zdobyć wśród swoich obywateli uznanie za uzyskanie pożyczki, wyglądającej względnie tanio.

I o tym projekcie myślał Paweł zupełnie poważnie. Jeszcze przed powrotem do Warszawy przeprowadził w Paryżu i w Berlinie szereg rozmów z wybitniejszymi finansistami. Minęły już dawno te czasy, kiedy dla zobaczenia się z jakąś grubszą rybą musiał tracić wiele wysiłków i używać najrozmaitszych wybiegów. Międzynarodowa finansjera doskonale już teraz wiedziała, kim jest Paweł Dalcz i jak należy cenić bliższe z nim stosunki.

Rozrastający się do potwornych rozmiarów zasięg jego interesów zmusił go do otworzenia we wszystkich większych stolicach swoich agentur. Sieć ta nie była wszakże dostrzegalna dla niewtajemniczonych z tej prostej przyczyny, że poszczególne agentury występowały pod najróżnorodniejszymi firmami. Każda była pozornie oddzielnym i niezależnym przedsiębiorstwem. Nawet zbadanie jej rejestru handlowego nie zawsze przydałoby się dla ustalenia jej właścicieli, bowiem w niektórych tylko figurowało nazwisko Pawła jako prezesa, dyrektora czy członka zarządu. W istocie wszystkie zależały wyłącznie od niego, gdyż były albo ukrytymi filiami jego przedsiębiorstw, albo tych firm, w których ostateczne słowo należało do niego.

Na pomysł ten Paweł wpadł już przed wielu laty, obserwując komplikacje bilansowe i trudności kredytowe przedsięwzięć nierozporządzających dostatecznym kapitałem obrotowym. Wygody ten system dawał nieocenione, kosztując prawie grosze. Przede wszystkim dzięki niemu Paweł Dalcz zawsze mógł rozporządzać ogromnym portfelem wekslowym. Każda z kryptoagentur wystawiała na telegraficzne zlecenie żądaną sumę weksli, każda przyjmować mogła na swą odpowiedzialność gwarancję kredytów udzielanych przez banki innym kryptoagenturom. Natomiast w razie nagłych tarapatów płatniczych jednej z wielu w ten sposób współpracujących placówek, Paweł zawsze mógł na czas wydobyć potrzebne kwoty, lukę załatać i tym samym podnieść prestiż zagrożonej, zdawałoby się, instytucji.

Miało to jeszcze i tę zaletę, że z państw o wysokiej skali podatku dochodowego bez trudu można było przenosić te dochody do państw, gdzie podatek był mniejszy. Po prostu w księgach jako dostawca na przykład surowca figurowała jedna z kryptoagentur, a że ceny jej płacone przez agenturę w państwie drogim były niewspółmierne do cen rynkowych,

[195] *wewnętrznopolityczny* — dziś: wewnątrzpolityczny, dotyczący polityki wewnętrznej państwa. [przypis edytorski]

na to już urzędnicy podatkowi nie zwracali uwagi, jako na szczegół nieobchodzący władz skarbowych.

Sam Paweł tłumaczył budowę sieci tych firm Krystynie w ten sposób:

— Jest to system, który kiedyś powinien być nazwany przez ekonomistów systemem lustrzanym. Polega on na uwielokrotnieniu kapitału jakby przy pomocy licznych odzwierciedleń. Oczywiście sam kapitał pozostaje bez zmiany, lecz stwarza się pozór jego kilkakrotnego powiększenia. Pozór, no i rzecz ważniejszą: dochód z obrotu, dochód! Oto co zbieram z tych luster. Osiada na nich, zapewniam cię, takimi grubymi warstwami, jakby osiadał na prawdziwym, konkretnym kapitale.

— Ale w tym stanie rzeczy ty po prostu nie masz możności stwierdzenia, ile wynosi twój majątek!

Roześmiał się z taką miną, jakby ktoś mu powiedział, że figiel przez niego splatany udał się bez zastrzeżeń:

— A nie wiem! Nie wiem, moja kochana, i wcale mnie to nie dręczy. Przeciwnie. Jestem kontent[196]. Realna wartość tego, co posiadam, dochodzi teraz do miliarda dolarów.

— Boże...

— Ale dysponuję czterema z górą.

— Przecie to jest przerażające! — Splotła ręce i przyglądała się mu szeroko otwartymi oczyma. Dostrzegł w ich wyrazie podziw, ale i jakiś lęk.

— Jest jednak i zła strona tego systemu — potrząsnął głową. — Mój realny miliard nie wystarczyłby na pokrycie nierealnych czterech w razie czegoś nieprzewidzianego, jakiejś wielkiej katastrofy gospodarczej, zbyt nagłego wybuchu wojny, czy czegoś w tym rodzaju. Jednakże w przeciągu kilku lat tak rzeczy ugruntuję, że będę na wszystko przygotowany. Wymaga to tylko trzech rzeczy, że przekręcę słowa Bismarcka[197]: Pracy, pracy i jeszcze raz pracy[198].

Toteż pracował. Sam dawniej nie wyobrażał sobie, by jeden człowiek mógł podołać takiemu ogromowi pracy. Mnożące się z dnia na dzień, niemal z godziny na godzinę, interesy i przedsiębiorstwa, którymi musiał kierować, wyrastające ze wszystkich stron trudności i komplikacje, które należało usuwać, dostrzegane co moment niedokładności i błędy podwładnych — wszystko to pożerało czas z niewiarygodną szybkością. Ponieważ zaś doba wciąż miała tylko dwadzieścia cztery godziny, trzeba było wreszcie zrezygnować z dotychczasowej metody pracy. Zmiana ta dużo kosztowała Pawła. Decydowała tu nie tylko jego pasja wnikania osobistego w najdrobniejsze poruszenia kierowanego przez siebie wielkiego mechanizmu, lecz i przeświadczenie, że tylko w ten sposób może być pewien sprawnego funkcjonowania wszystkich kółek, trybików i przekładni, a tym samym wyników działania całości. Obecnie zaś musiał rezygnować z pomniejszych spraw, zwierzając wykonanie ich podwładnym, do których bynajmniej nie nabierał przez to większego zaufania. Najgorsze było to, że w miarę rozrostu skali jego interesów coraz większe schodziły do rangi owych pomniejszych.

Nie wyrzekł się tylko jednego: najzupełniej osobistego załatwiania bodaj najdrobniejszych spraw, których przeprowadzenie znajdowało się pod jakimkolwiek względem w sprzeczności z przepisami prawnymi. Tu nie ufał nikomu. Dlatego drukarnia ręczna w jego gabinecie domowym, dlatego zamknięte w kasie ogniotrwałej najróżnorodniejsze pieczęcie, stemple, blankiety i gotowe już dokumenty nigdy nie były dla nikogo dostępne. Godziny drogiego, nieludzko drogiego czasu musiał nieraz marnować na przygotowanie różnych papierów, które pierwszy lepszy zakład drukarski i każdy grawer za grubsze pieniądze mógłby sporządzić na skutek minutowej rozmowy. Paweł wolał jednak nie dopuszczać nikogo do wejrzenia w centrum swojej kuchni. Nawet tych kilku najbliższych

[196] *kontent* — zadowolony. [przypis edytorski]

[197] *Bismarck, Otto von*, właśc. *Otto Eduard Leopold von Bismarck-Schönhausen* (1815–1898) — niem. polityk konserwatywny, jako premier Prus doprowadził do zjednoczenia państw niemieckich, w powstałej Drugiej Rzeszy pełnił funkcję kanclerza. Prowadził pozbawioną sentymentów politykę z pozycji siły, zyskując miano Żelaznego Kanclerza. [przypis edytorski]

[198] *Wymaga to tylko trzech rzeczy, że przekręcę słowa Bismarcka: Pracy, pracy i jeszcze raz pracy* — trawestacja powiedzenia: „Żeby prowadzić wojnę potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy", przypisywanego najczęściej Raimondowi Montecuccolemu (1609–1680), cesarskiemu feldmarszałkowi i teoretykowi wojskowości. [przypis edytorski]

współpracowników, których nie mógł nie wtajemniczyć w te i owe posunięcia, kolidujące z kodeksem karnym, zawsze starał się jednocześnie związać udziałem w machinacji, a poza tym mieć kompromitujące ich wiadomości.

Na ogół nie przedstawiało to zbyt trudnego zadania. Stosunkowo najwięcej miał kłopotu z tym głupcem Ottmanem, by skłonić go do przyjęcia wyznaczonej mu roli. Na szczęście chemik w końcu uległ perswazjom Marychny. Gdy już raz ustąpił, musiał zgodzić się na odegranie swej roli do końca ściśle według dyspozycji Pawła.

Różne okoliczności złożyły się na to, że trzeba było przesunąć datę procesu o dalsze trzy miesiące. Gdy wreszcie rozprawa została wyznaczona, wszystko już było w najdrobniejszych szczegółach gotowe.

Same władze postarały się o to, by procesowi nie nadawać rozgłosu. Bądź co bądź była to kompromitacja polskiego wynalazcy wobec wielu przemysłowców zagranicznych, poważnie na „aferze Ottmana" poszkodowanych. W ich oraz we własnym imieniu występował przez swego adwokata Paweł z powództwem cywilnym o czterysta kilkadziesiąt tysięcy złotych tytułem poniesionych strat.

Rozprawa odbyła się w ciągu jednego dnia w sali prawie pustej, gdyż jednocześnie rozpoczynał się wielki i bardzo sensacyjny proces o morderstwo na tle erotycznym. Prasa, a z nią i publiczność zbyt były zajęte tamtym, by zbytnio interesować się sprawą bądź co bądź odleżałą i przycichłą.

Powołani w charakterze ekspertów chemicy w zasadzie potwierdzili słuszność głównego motywu obrony oskarżonego Ottmana. Było rzeczą zupełnie możliwą, iż wynalazca miał podstawy do uwierzenia w dobroć swego kauczuku syntetycznego. Ponieważ zaś liczni świadkowie stwierdzili, że istotnie część wyprodukowanego kauczuku „Optima" miała wszystkie zalety kauczuku prawdziwego, nikt zaś, nie wyłączając biegłych, nie umiał wytłumaczyć przyczyn, dla których później kauczuk „nie wychodził" — sądowi nie pozostało nic innego, jak uznać dobrą wiarę oskarżonego. Ponieważ zaś oskarżony zgadzał się zwrócić poszkodowanym poniesione straty, oddając im to, co mu za wynalazek zapłacili, oceniona[199] również została i jego dobra wola. Wyrok oczywiście ku obopólnemu zadowoleniu stron był uniewinniający. Blumkiewicza zwolniono już dawniej.

Ma się rozumieć, że kwotę powództwa musiał wyłożyć z własnej kieszeni Paweł Dalcz i dodać do niej jeszcze okrągłą sumkę, jako odszkodowanie obiecane Ottmanowi za przyjęcie na siebie przykrej roli oszusta na czas siedmiu miesięcy.

— No, chyba nie stracił pan na swoim wynalazku? — sarkastycznie zapytał go Paweł, wręczając mu nazajutrz gruby plik banknotów.

Ottman spojrzał nań ponurym wzrokiem:

— Nie straciłem?... Tak się panu zdaje. Straciłem więcej, niż wolno mi było stracić. Straciłem uczciwość!

— Ale za dobrą gotówkę! Nikt zresztą o tym nie wie.

— Ja wiem, to mi aż nadto wystarcza — opuścił głowę Ottman.

Paweł przyglądał mu się z uśmiechem politowania. Zawsze wprawiało go w przykre zdziwienie to, tak częste u ludzi, przywiązywanie niepomiernie wielkiego znaczenia do kwestii etyki, pojęcia przecież na wskroś umownego, warunkowego, zależnego chociażby od szerokości geograficznej, od mody czy od widzimisię kilku jegomościów, wydających ustawy. Uważał to za brak zdolności indywidualnego rozumowania, za słabość i symplicyzm[200] duchowy. Oczywiście nie znaczyło to, by zaprzeczał potrzebie istnienia pewnych form, pewnych ceremoniałów obcowania, składających daninę przesądom moralnym. Uważał jednak, że robienie z nich treści jest tylko paradoksem, zakłamaniem, w którym grzęzną prostaczkowie. Nie wątpił też, że każdy z nich po paru doświadczeniach życiowych sam będzie wyśmiewać siebie. Taką też przepowiednią pożegnał Ottmana.

I tak przebrzmiała i w gruncie rzeczy od dawna załatwiona sprawa „Optimy" zbyt wiele pochłonęła czasu. Trzeba jednak było te formalności prawne pozałatwiać. Paweł nie cierpiał zostawiać za sobą rzeczy nieukończonych. Tymczasem zaczynało się tyle nowych!

Przede wszystkim sieć agentur rozrastała się i musiała rozrastać się stale. Różnorodność oczek tej sieci stawała się coraz bardziej skomplikowana w miarę komplikacji zasięgu

[199] *oceniona (…) została i jego dobra wola* — tu: doceniona. [przypis edytorski]

[200] *symplicyzm* (z łac. *simplex*, *simplicis*: prosty) — nadmierne upraszczanie i spłycanie. [przypis edytorski]

rozmaitych interesów Pawła. Były wśród nich firmy budowlane, biura techniczne, fabryki i towarzystwa transportowe, domy towarowe i kantory bankierskie, zakłady przemysłowe, firmy wydawnicze, asekuracyjne[201], leśne, kopalniane, eksploatacyjne, terenowe, kolonizacyjne, wszelkiego zakresu i wszelkiego kalibru, występujące pod najróżniejszymi szyldami, pisanymi w najrozmaitszych językach. Administracja tej machiny zatrudniała w centrali kilkuset urzędników, a przecież stanowiła zaledwie połowę pracy, jaka w rezultacie uderzała o biurko Pawła nieustannymi falami.

Po wielkim krachu kauczukowym i zaburzeniach w przemyśle przetwórczym produkcja kauczuku zaczęła wzrastać w szybkim tempie. Paweł nie omylił się. Odprężenie przeszło nawet oczekiwania dobrze obeznanego z rynkiem Willisa. Resztki niewykupionych akcji zwyżkowały z dnia na dzień. Konsumpcja wracała do pełnej normy. Pomimo to Paweł uznał za konieczne osobiste zlustrowanie głównych ośrodków plantacji kauczukowych. Jak mówili jego bliżsi współpracownicy, miał „srocze oko". Polegało to na wyjątkowej zdolności czy też na zdumiewającym szczęściu wyłapywania w kilometrowych kolumnach cyfr i w stertach raportów tych właśnie miejsc, na których zamaskowaniu autorom mogło zależeć, tych błędów w gospodarce, niekonsekwencji czy niedopatrzeń miejscowych dyrektorów. Dzięki swej fenomenalnej pamięci i owemu sroczemu oku szybko doszedł do wniosku, że dochodowość plantacji brazylijskich jest niewspółmierna do ich wartości. Że zaś w grę wchodziły nie byle jakie sumy, postanowił rzecz zbadać na miejscu.

Nawet było mu to poniekąd na rękę i w całym szeregu spraw innych. Zrobił właśnie kilka pociągnięć, które mogły wywołać niezadowolenie w krajowych sferach rządowych, w kołach kapitalistów holenderskich, a także i w administracji interesów samego Willisa. Tu przeprowadził nieoczekiwane trzy grubsze operacje finansowe, Willisa zaś uderzył po kieszeni wymówieniem udziału w kosztach ubezpieczenia transportów surowca. Była to pierwsza próba pokazania Amerykaninowi pazurów, zrobiona nie tyle dla doraźnej korzyści, ile dla nastraszenia go na przyszłość i wytargowania lepszych warunków przy organizacji Banku Pożyczek Międzynarodowych. Na okręcie i podczas podróży brazylijskiej zawsze będzie miał możność porozumiewania się z podwładnymi, a także i możność nieotrzymania tych depesz, których nie zechce.

Wróciwszy do domu wcześniej niż zwykle, zastał Krystynę przy kolacji i swoim zwyczajem zaczął jej wykładać cel i korzyści takiej podróży.

— Wyjeżdżając jutro pociągiem o czwartej trzydzieści — zakończył — zdążę w sam raz do Genui na „Tripolitanię", odpływającą wprost do Rio de Janeiro.

— Jak to, już jutro, Pawle?...

Powiedziała to tak dziwnym głosem, że podniósł oczy znad talerza i przyjrzał się jej uważnie. Była wyjątkowo blada i oczy miała szeroko otwarte.

— Co ci się stało? — zapytał.

Usta jej drżały, gdy mówiła:

— Ja rozumiem, że jest to potrzebne... że to jest ważne... Ale podróż taka... Pawle, znowu nie będzie cię tak długo!... Pawle, będę znowu czekała na ciebie miesiąc, a może i więcej... Jakie to okropne!

— No, nie trzeba przesadzać — stropił się nieco. — Zaraz okropne! Sama, Krysieńko, widzisz, że podróż jest konieczna.

Nic nie odpowiedziała. Bąknął jeszcze kilka zdań wytłumaczenia i umilkł również. Było mu przykro. Gdy przeszli do salonu, pociągnął ją ku sobie i posadził na kolanach. Nie opierała się, nie zrobiła żadnego ruchu obrony, a przecież odczuł doskonale, że zrobił to wbrew jej woli. Pozwalała się całować i sama całowała go jak zwykle, a przecież wiedział, że zadaje sobie przymus.

Spostrzegł to po raz pierwszy. Zawsze przyjmowała każdą jego pieszczotę z taką radością, z taką jakby wdzięcznością. Rozpromieniała się przy każdym cieplejszym słowie, a gdy mówił jej o swoich planach, gdy dzielił się z nią myślami o ludziach i zdarzeniach, wsłuchiwała się ze skupioną uwagą i z nieukrywanym zachwytem. Wprawdzie ostatnimi czasy coraz rzadziej mogły zdarzać się chwile rozmów, no a pieszczot jeszcze rzadziej.

[201] *zakład asekuracyjny* — instytucja ubezpieczeniowa. [przypis edytorski]

Wracał do domu bardzo zmęczony i kładł się do łóżka, usypiając natychmiast. Gdy przychodziła powiedzieć mu dobranoc, najczęściej już tego nie słyszał lub tylko przez sen czuł jej pocałunek na ustach i orientował się, że wychodzi na palcach, gasząc światło.

W tym stanie rzeczy nie widział nic nienormalnego. Wiedziała przecie doskonale, jak wiele pracuje, i nie mogła mu robić żadnych zarzutów. Cały swój wolny czas jej poświęcał, nie dzielił go z nikim innym, a że tego czasu było coraz mniej, to nie zależało przecież od jego woli.

Dziś jednak po raz pierwszy wydało mu się, że w sposobie zachowania się Krystyny jest jakby ton hamowanego wyrzutu. Najpierw zdziwiło go to, później zirytowało, a później napełniło współczuciem. Rzeczywiście odjeżdżał na dwa prawie miesiące i zostawiał ją samą. Wprawdzie prowadziła teraz samodzielnie Zakłady Przemysłowe Braci Dalcz i wiele miała z tym roboty, jednakże należało wziąć pod uwagę, że jest kobietą i że jej ambicje nie tylko w tym kierunku mogą znaleźć zaspokojenie. Początkowo przyszło mu na myśl wciągnięcie jej do własnej pracy, wydało mu się to wszakże czymś nieodpowiednim, niestosownym, może nawet krzywdzącym. Zdziwiła go własna refleksja, lecz wytłumaczył się przed sobą krótkim: „tak będzie lepiej".

Tego wieczora miał jeszcze sporo roboty. Postanowił pomimo to spędzić czas z Krysią. Nie czuł się winowajcą, lecz uważał, że musi jej, a poniekąd także i sobie wynagrodzić długie rozstanie.

Zaproponował pójście do kabaretu:

— Tak dawno nigdzie nie byliśmy razem. Trochę się rozerwiesz.

— Nie — odmówiła stanowczo. — Sam wspominałeś przy kolacji, że masz moc pracy.

— Załatwię to później — powiedział bez przekonania.

— Nie, Pawle, nie chcę w najmniejszym stopniu być ci zawadą. Przepraszam cię też za moje impulsywne odezwanie się o twoim wyjeździe. Gdybym zastanowiła się nad tym, na pewno przyznałabym ci od razu słuszność.

— Jesteś bardzo rozumna i bardzo dla mnie dobra — przytulił ją.

— Idź już do pracy — odpowiedziała, całując go w czoło. — Kwadrans po dziesiątej.

— Już tak późno? — zerwał się. — Mam istotnie pilne rzeczy... Ale... W ciągu dwóch godzin załatwię to. Przyjdź do mnie... musimy się pożegnać...

Zaśmiała się, jakby z przymusem:

— O, nie. Musisz wypocząć, następną noc spędzisz w wagonie, a w wagonie źle sypiasz. Zresztą wczoraj wróciłeś do domu po trzeciej, a wstałeś o siódmej. Trzeba się wyspać.

— Przyjdź...

— Nie, nie. Dobranoc.

Wycałował ją serdecznie i poszedł do siebie. Przebierając się w pidżamę i przygotowując maszynę drukarską, rozmyślał przez pewien czas nad swoim stosunkiem do Krystyny, wkrótce jednak pochłonęła go praca.

Było już po północy, gdy wykąpał się i położył do łóżka. Bardzo był zmęczony. Jeszcze przez chwilę siłą inercji[202] mózg roił się od myśli, lecz te zaczynały się gmatwać, jałowieć, wiotczeć. Ogarniał go spokój, cisza, zapadał głęboko w sen.

Przed samym uśnięciem usłyszał lekki stuk klamki i ciche kroki na dywanie. Półprzytomnie zdawał sobie sprawę z tego, że to ona przyszła... Więc jednak przyszła... Kocha go bardzo... jest tutaj, pochyla się nad nim... Trzeba otworzyć oczy, trzeba jej chociaż podziękować za jej dobroć...

Powieki jednak były tak ciężkie, że wprost nie było sposobu dźwignąć tego ciężaru. Wciągnął głębszy oddech i zasnął.

Nazajutrz obudzono go o świcie. W należącej do niego kopalni „Nexos" stała się wielka katastrofa. Wskutek tektonicznego osunięcia się warstw węgla stu kilkudziesięciu robotników zostało odciętych od świata. Ratunek jest mało prawdopodobny... Co robić?

Wydał dyspozycje. Nie żałować pieniędzy, przedsięwziąć bodaj najkosztowniejsze próby ratunku. Rodzinom wypłacić podwójne odszkodowanie... Czuł się tu bezsilny i to napełniało go niezadowoleniem z samego siebie.

[202] *inercja* — bezwładność. [przypis edytorski]

Nie mogło to wszakże wpłynąć na odłożenie podróży i przed samym odejściem pociągu Paweł zjawił się na dworcu kolejowym wraz ze swoją podróżną ekipą, składającą się z dwóch sekretarzy i stenotypistki. Czas bowiem spędzany w drodze nigdy nie oznaczał u niego odpoczynku. Przeciwnie. W oderwaniu się od bezpośredniego kontaktu z ludźmi cały szereg spraw przedstawiał się przejrzyściej, wskutek czego myśl mogła pracować sprawniej i intensywniej. Zjawiały się nowe kombinacje i rozwiązania.

Na każdej większej stacji jeden z sekretarzy wysyłał pliki depesz i listów, podczas gdy drugi przygotowywał następne. Rzadko próżnowała maszyna stenotypistki. Na okręcie wprawdzie nie pisało się listów, za to jednak radiodepesze wydłużały się bardzo, a poza tym pisało się najróżnorodniejsze memoriały[203], instrukcje, statuty i sprawozdania. Należenie do podróżnej ekipy Pawła Dalcza nie było przyjemnym odpoczynkiem.

Tym razem roboty było jeszcze więcej niż zazwyczaj. Organizował się właśnie Bank Pożyczek Międzynarodowych w Brukseli i Paweł lwią część czasu poświęcał tej sprawie. Miał to przecie być arcytwór jego życia.

Pomimo wszystko zaraz za Gibraltarem musiał pracę przerwać. Duży, trzydzieści tysięcy ton liczący okręt skakał jak piłka. Fala dochodziła do jedenastu metrów, niepodobna było pisać. Zresztą po godzinie jeden z sekretarzy zaczął chorować, a drugi dostał ataku sercowego. Nadspodziewanie tylko stenotypistka trzymała się dobrze. Nawet rozbawiło ją to kołysanie, przy którym człowiek musiał zataczać się jak pijany i chwytać się poręczy, by nie upaść. Śmiała się i było jej z tym tak ładnie, że Paweł zapytał:

— A nie boi się pani?

— Czego, panie prezesie?

— No, że zatoniemy. Nie zostawiła pani w Warszawie nikogo, kto będzie panią opłakiwał? Narzeczonego, kochanka?

Zdetonowała się[204]. Paweł nigdy ani jednym słowem nie upoważniał swego personelu do wszczynania rozmów.

— Nie, panie prezesie — zaczerwieniła się.

— Nie?... To dziwne.

Widział, że chciała coś powiedzieć, lecz nie ma odwagi.

— Dziwne, bo pani jest młoda i ładna... Hm... bardzo ładna — dodał z tonem odkrycia.

Istotnie dotychczas tego nie spostrzegał. Nie miał zwyczaju przyglądać się ludziom pod innym kątem widzenia niż wyrobienia sobie opinii o inteligencji, etyce i psychice osobnika, z którym miał jakikolwiek interes.

— Pan prezes zbyt łaskaw — zarumieniła się jeszcze bardziej.

— Po prostu konstatuję fakt... No, niechże pani powie, czy mnie nie wolno tego zauważyć?

— Owszem — zdobyła się na odwagę — tylko pana prezesa to zupełnie nie interesuje...

— Tak pani myśli?

— O — dodała pośpiesznie — ja nie o sobie... Ale pan prezes w ogóle na kobiety nie zwraca uwagi.

Roześmiał się:

— Moja droga pani, a kiedyż ja mam czas na to!

— Każdy ma na to czas, na co chce mieć — odpowiedziała sentencjonalnie.

Spojrzał na zegarek i powiedziawszy jeszcze kilka zdawkowych zdań, wyprawił ją spać. Sam zasnąć nie mógł.

Najpierw rozmyślał o tej zabawnej stenotypistce. Gdy dyktował, miał zwyczaj patrzeć na ołówek stenografującej, a ona miała ręce prawie takie jak Krystyna...

Prawie takie...

A jednak o tamtych, prawdziwych, zapomnieć nie mógł. Nieraz podczas największego nawału pracy przypominał sobie jej ręce, oczy, niski głęboki głos o niebywale ciepłym brzmieniu. Początkowo odrobinę irytował się tym, z biegiem czasu jednak doszedł do

[203] *memoriał* (z łac.) — oficjalne pismo zawierające wyjaśnienie sprawy lub uzasadnienie prośby. [przypis edytorski]

[204] *zdetonować się* — speszyć się, zmieszać się, stracić pewność siebie. [przypis edytorski]

przekonania, że ostatecznie może sobie na to pozwolić, pozwolić na tę małą słabość, która w rezultacie nie zajmuje mu przecież czasu więcej, niż sam jej zechce poświęcić... Zechce?... Czy stenotypistka miała rację, że to jest wyłącznie zależne od jego chcenia lub niechcenia?... Czy istotnie mógłby więcej czasu poświęcić Krystynie?... Czy ona ma prawo żywić doń żal za te swoje samotne godziny?...

Nie, stanowczo nie. Jest przecie dość rozsądna i dostatecznie obeznana z jego interesami, by wiedzieć, że po prostu nie jest w stanie zostawić ich na dzień jeden własnemu losowi. Groziłoby to niesłychanymi komplikacjami, a może i nawet utratą szeregu zdobytych pozycji. A to byłoby nonsensem, tego nie mogłaby odeń oczekiwać!

Wszystko zatem było zupełnie jasne. Stosunek, jaki się między nimi utrwalił, był najbezsprzeczniej normalny i słuszny, ale przeprowadzenie w nim jakichkolwiek zmian byłoby niepodobieństwem i oboje o tym wiedzieli...

A jednak Paweł nie mógł zapomnieć nuty żalu, nuty krzywdy w jej głosie, gdy go żegnała. I było mu z tym niewygodnie. Trudno powiedzieć, by czuł się winnym, by miał sobie z tego powodu robić jakieś wyrzuty, ale w każdym razie napełniało go to niezadowoleniem. Gdyby istniała jakaś możliwość w tym względzie, wolałby nie sprawiać przykrości Krystynie, bo lubił ją, niewątpliwie lubił ją bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Kiedy doszedł do tego stwierdzenia, przyszła refleksja, że to żadna sztuka, gdyż nikogo nie lubi. Refleksja jednak natychmiast wydała mu się niesmaczna, nie na miejscu, cyniczna i wynikająca raczej nie z chęci pomniejszenia swych uczuć do Krystyny, lecz z nałogu pomniejszania wszelkich wartości ludzkich.

Lubił ją. Nie tylko lubił przestawać z nią, patrzeć na nią, słuchać jej głosu, dzielić się z nią myślami, mieć poczucie, że ma do czynienia z kimś bezwzględnie i jedynie dlań bliskim, oddanym i cenionym, lecz także lubił myśleć o niej jako o czymś przynależnym jemu, jako o swojej niepodzielnej własności. Jeżeli zaś odpowiadały mu jej żywy umysł, wnikliwa inteligencja i dyscyplina myślenia, bynajmniej nie osłabł w nim dawny, jak mu się zdawało, wyłącznie fizyczny pociąg do jej ciała, ruchów, jakiegoś nieuchwytnego wdzięku kobiety i młodego chłopca jednocześnie.

Nieraz zastanawiało go to, że on, który wcale nie wyróżniał się plastyką wyobraźni, gdy tylko przymykał oczy i intensywnie myślał o niej, z łatwością uzmysławiał ją sobie. Widział ją uśmiechniętą i zamyśloną, smutną i zasłuchaną, widział blask jej oczu i za każdym razem zdumiewający go wykrój warg, widział ją całą z nieprawdopodobną wyrazistością. Każde zaś wspomnienie o niej odzywało się wewnątrz poczuciem łagodnego ciepła, które na mgnienie przerywało nieustanną pracę mózgu.

Z czasem nawet i te, jak je nazywał, zapady myślowe polubił. Przychodziły podczas samotnej pracy i podczas dyktowania, w trakcie rozmowy i w chwilach odpoczynku. Przyzwyczaili się do nich i podwładni, chociaż do głowy nigdy by im przyjść nie mogło, że prezes Dalcz każe sobie powtarzać przed sekundą wypowiedziane zdanie, bo zamyślił się o jakiejkolwiek kobiecie.

Wynikiem tych częstych teraz zapadów były odręczne listy, rzecz niebywała, wysyłane przez Pawła przy lada sposobności z różnych miast brazylijskich. Wprawdzie zawierały zaledwie kilka lub najwyżej kilkanaście słów, ale już sam fakt, że adresowane były do pana Krzysztofa Dalcza, świadczył o ich na wskroś prywatnym charakterze.

Na ogół Paweł wiedział, że jego zażyłość z Krystyną obszernie była komentowana wśród tysięcy podwładnych urzędników jako rzadki wzór miłości rodzinnej między stryjecznymi braćmi. Do cnót patriotycznych, społecznych i kupieckich przybywała Pawłowi jeszcze i ta, mniej może cenna dla ogółu, ale przez ten ogół najbardziej faworyzowana.

Lustracja przedsiębiorstw brazylijskich niespodziewanie musiała być przerwana, a podróż uległa znacznemu skróceniu. Pawła wzywano do Brukseli.

Przyczyną, która spowodowała zamieszanie w organizacji Banku Pożyczek Międzynarodowych, było bankructwo wielkiego niemieckiego koncernu bankowego, zaangażowanego w tym przedsięwzięciu dość poważnie. Skutek bankructwa przedstawiał się dla Pawła w ten sposób, że szereg drobniejszych udziałowców popadł w panikę i gwałtownie zaczął wycofywać kapitały.

Sam Willis słał depeszę za depeszą i nie ukrywał zamiaru jak najszybszego wycofania się. Isaakson, czuwający nad biegiem spraw w Brukseli, przyjął Pawła z wystraszoną miną:

— Jest bardzo niedobrze. Obawiam się, prezesie, że wszystko rozleci się jak kupa papierów na wietrze.

— Zobaczymy — lakonicznie powiedział Paweł.

W pół godziny później uzyskano połączenie telefoniczne z New Yorkiem. William Willis na szczęście był w biurze.

— Halo, Will! — zawołał Paweł. — Tu Dalcz. Co ty, do diabła, wyprawiasz?

— Nie jestem głupcem, mój drogi.

— Zapewniam cię, że jesteś — zimno odpowiedział Paweł.

— Niemcy nas położyli. Trzeba machnąć ręką. Cenię twój upór, ale ja nie zamierzam pakować pieniędzy w błoto.

— Mam twoją deklarację i nie ustąpię — mówił Paweł.

— Bardzo mi przykro, ale deklaracja jest podpisana nie przeze mnie.

— Przez twego plenipotenta. To jest jednoznaczne[205].

— Mylisz się. Zresztą nie będziesz chyba tak naiwny, żeby sprawę kierować do sądu.

— Nie. Will, nie będę tak naiwny. Ale co byś powiedział na przykład o podrożeniu kauczuku?

— Żartujesz!

— Nie. Mam wrażenie, że z chwilą gdy skończymy tę miłą pogawędkę, każę wysłać depeszę, by podwyższono ceny o dwadzieścia procent.

W aparacie zaległo milczenie.

— Jak ci się to podoba? — z uśmiechem zapytał Paweł.

— Słuchaj, Dalcz — odezwał się wreszcie chrapliwy głos — to... to jest... łajdactwo, ty tego nie możesz zrobić!

— Ja wszystko mogę zrobić, mój drogi — łagodnie odpowiedział Paweł.

Znowu Willis umilkł. Oczywiście wiedział, że to nie były żarty.

— Więc dobrze — zdecydował się — dziś jeszcze jadę do Europy.

— O, nie, mój najdroższy — roześmiał się Paweł. — Podróż trwa pięć dni.

Willis wściekał się:

— Cóż, do stu diabłów, dla twojej przyjemności mam lecieć samolotem?

— Nie. Bardzo cenię twój widok, ale w tym wypadku mogę się, chociaż z żalem, bez niego obyć. Wystarczy, jeżeli Bank Morgana zadepeszuje mi, że wydałeś polecenie przelania pierwszej raty.

— Zwariowałeś, człowieku! To stracone pieniądze!

— Głupi jesteś. Czekam do piątej na telegram Morgana. Do widzenia. Ukłony dla małżonki.

— Dalcz! Zwariowałeś! Ja tego nie zrobię.

— Zrobisz, bo jesteś rozsądniejszy, niż wyglądasz. Do widzenia.

— Zaczekaj dwa dni. Tylko dwa dni — jęczał Willis.

Paweł dość już miał tej rozmowy:

— Czy ty masz mnie za smarkacza, Will?

— Więc jedną dobę!

— Czekam do piątej, a wiesz, że słowa dotrzymam. Do widzenia.

— Niech cię diabli!

Willis z furią rzucił słuchawkę.

Isaakson otarł pot z czoła i niepewnym wzrokiem przyglądał się spokojnej minie Pawła:

— No? — zdołał wykrztusić.

— W porządku — uśmiechnął się Paweł.

Nie wątpił, że Willis zastosuje się do żądania. Rozmowa kablowa kosztowała jedenaście tysięcy franków, ale opłaciła się sowicie.

Na tym jednak nie kończyły się trudności. Przez długi szereg dni Paweł musiał ciężko pracować nad zmontowaniem zachwianej przez niemieckie bankructwo pozycji. Codziennie setki listów i depesz wychodziły w świat, codziennie długie odbywały się konferencje. Wreszcie katastrofa nadludzkim niemal wysiłkiem została pokonana.

[205] *jednoznaczne* — tu: oznaczające to samo. [przypis edytorski]

Willis, który pomimo wszystko przyjechał do Brukseli, musiał Pawłowi przyznać, że ten miał rację.

Uratowanie koncepcji Banku Pożyczek Międzynarodowych nie obeszło się jednak tanim kosztem. Cena, którą Paweł musiał za to zapłacić, była ceną ustokrotnienia komplikacji w interesach. Wszystkie kryptoagencje zostały wyssane z resztek kapitału i trzeba było uciekać się do notorycznego fałszowania bilansów, by ratować je od bankructwa. Trzeba było przeprowadzać fikcyjne transakcje, a nawet posunąć się do podrabiania papierów wartościowych, których wprawdzie Paweł nie puszczał w obieg, lecz pod zastaw których można było w bankach uzyskiwać większe kredyty. Oczywiście groziło to nieustannie skandalem w wypadku, gdyby oszukanym przyszło na myśl sprawdzić autentyczność zastawionych papierów. O autentyczności ich jednak nikt nie wątpił. Przecie składał je sam wielki Paweł Dalcz, Paweł Dalcz nie tylko multimiliarder, jeden z kilku najbogatszych ludzi na świecie, lecz i Paweł Dalcz kryształowy człowiek, którego uczciwość i honor kupiecki powszechnie stawiano jako przykład innym.

W tych warunkach obliczano majątek Pawła na sześć miliardów dolarów, przepowiadając dalszy jego rekordowy wzrost. Bank Pożyczek Międzynarodowych rozpoczął swą działalność wspaniałą transakcją, udzielając rządowi jugosłowiańskiemu wielkiej pożyczki pod zastaw monopolu spirytusowego, którego eksploatację przejmował na bardzo rentownych warunkach. Zaraz potem przyszła kolej na kaukaskie kopalnie nafty, budowę szos w Rumunii, monopol tytoniowy w Austrii...

Mijały miesiące, a żaden nie minął bez nowego wielkiego interesu. Bank Pożyczek Międzynarodowych ustawicznie powiększał swój kapitał. Jego akcje były rozchwytywane. Po wszystkich krańcach ziemi krzyczały z murów plakaty:

— Najpewniejszą lokatą kapitału są akcje Banku Pożyczek Międzynarodowych!

Pod tym zapewnieniem widniało faksymile[206] podpisu Pawła Dalcza.

Agenci wołali:

— Czytajcie, co mówi najuczciwszy człowiek świata! Kupujcie akcje Banku Pożyczek Międzynarodowych!

— Jego nazwisko jest najlepszą gwarancją!

— Papiery Dalcza to skarb!

— Najpewniejszą lokatą kapitału są akcje Dalcza!

I ludzie kupowali. Płynęły franki, leje, pesety, dolary, funty, eskudosy, korony, liry, złote, belgi, guldeny... Płynęły wielką rzeką z najodleglejszych zakątków po to, by zaraz dzielić się znowu na szereg strumieni i napełniać wyschnięte kasy państw, kasy wciąż otwierające swe niesyte paszcze. Bez przerwy pociły się tłustym smarem stalowe maszyny drukarskie, wypuszczając kolorowe papierki, po które wyciągały się miliony rąk.

Po upływie roku Bank Pożyczek Międzynarodowych wypłacił dywidendę w wysokości trzydziestu od sta[207] nominalnej wartości. Wypłacał gotówką lub nowymi akcjami: do wyboru. Lecz Paweł Dalcz nie zawiódł się: wszyscy żądali akcji.

I rosła wciąż potęga Pawła Dalcza. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę. W jego poczekalniach wysiadywali dygnitarze różnych państw, o jego względy zabiegały rządy, stronnictwa, koterie[208] polityczne, starali się zjednać go sobie dyktatorzy i królowie. I nie było w tym nic dziwnego. Nieraz od jego decyzji zależał w tym czy w innym kraju upadek gabinetu, zwichnięcie kariery politycznej ministrów, zmiany programów gospodarczych, pogorszenie lub polepszenie stosunków z sąsiednimi państwami, zażegnanie bezrobocia i w ogóle konfiguracja spraw pierwszorzędnej wagi.

Były wprawdzie państwa, w których potężna władza Pawła Dalcza nie miała żadnego bezpośredniego znaczenia. I tam jednak często ulegano jego wpływom w obawie, że może sytuacja się zmienić. Gdy zaś nawet tego nie brano pod uwagę, Paweł umiał zawsze znaleźć takie środki represji, że zasięg jego wpływów rozrastał się wciąż dalej. Do środków tych należało przede wszystkim zmuszanie państw już uzależnionych do wznoszenia barykad celnych przeciw wwozowi z państw opornych. Posunięcia tego rodzaju, w zasadzie

[206] *faksymile* (z łac. *fac simile*: czyń podobne) — wierna kopia mechaniczna lub fotograficzna dokumentu, rękopisu, podpisu, np. kopia własnoręcznego podpisu odbita pieczątką na dokumencie. [przypis edytorski]

[207] *od sta* (daw.) — od stu (*sta*: daw. D. słowa „sto", odmienianego jak rzeczownik); dziś: procent. [przypis edytorski]

[208] *koteria* — grupa osób popierających się wzajemnie w celu osiągnięcia korzyści. [przypis edytorski]

i w wynikach całkiem proste, wymagały wielu precyzyjnych i wielostronnych zabiegów, działań, nacisków.

W tym wszystkim życie Pawła musiało zmienić się w jedną nieustającą podróż. Berlin, Londyn, Rzym, New York, Paryż, Moskwa, Bruksela, i znowu Paryż i Londyn, New York. Wszystkie większe transakcje, wszystkie ważniejsze rozmowy Paweł przeprowadzał osobiście. Obecnie nie wystarczała mu już szybkość samochodów i pociągów pośpiesznych. Na wszystkich większych lotniskach zawsze stały gotowe do lotu wielkie płatowce[209], powierzone kierownictwu najsławniejszych pilotów, a stanowiące własność Banku Pożyczek Międzynarodowych, czyli mówiąc po prostu, własność Pawła Dalcza.

W swoich błyskawicznych podróżach w miarę możności starał się jak najczęściej wpadać do Warszawy. Lecz możności takich było niewiele, a że ich było o wiele za mało, widział to zawsze w oczach Krystyny.

Unikał rozmowy z nią na ten temat. Kilkakrotnie próbował wprawdzie nakłonić ją, by zechciała odwiedzić go w Brukseli, gdzie najwięcej stosunkowo czasu przesiadywał, lecz wówczas go zapytała:

— A co się stanie, jeżeli w godzinę po mym przybyciu do ciebie będziesz miał jakiś świetny interes w Ameryce?

Nic na to nie odpowiedział. Oczywiście pojechałby. Nie dlatego, że wolałby wyrzec się jej towarzystwa dla korzyści, jakie w danym wypadku mógłby osiągnąć, lecz po prostu nie miał prawa rezygnować z żadnej nadarzającej się sposobności, by ugruntować swój stan posiadania, oparty przecie w olbrzymiej części na fikcji. Był to potwornych rozmiarów gmach wzniesiony z niepewnego materiału na niepewnym gruncie. Olśniewał z zewnątrz, lecz runąłby w każdej chwili, gdyby nie czuwano bez przerwy nad jego równowagą, gdyby w porę nie podpierano zagrożonych części, gdyby nie pracowano gorączkowo nad podkładaniem fundamentów *ex post*[210].

O tym istotnym stanie rzeczy nie wiedział i nie mógł wiedzieć nikt oprócz samego Pawła. On też skupiał w swym ręku wszystkie nici, starając się najbliższych nawet współpracowników utrzymać w nieświadomości nieustannego niebezpieczeństwa. Zresztą makietowe ściany gmachu z wolna, ale stale wypełniały się cementem prawdziwego pieniądza. Jeszcze kilka lat, a żadna burza, żaden orkan[211] nie będzie w stanie zachwiać jego potęgą.

Gdy tłumaczył to Krystynie, jedynej istocie ludzkiej, przed którą odkrywał swe plany, sam podniecał się tą potęgą:

— I pomyśl! — mówił. — Nie ma już nikogo, kto by mógł dla mnie przedstawiać niebezpiecznego wroga. Wszystkich największych wziąłem w ryzy, uzależniłem od siebie. William Willis jest całkowicie w moim ręku. Towarzystwo Vandinga mogę wywrócić jednym pociągnięciem pióra, Koncern Kanadyjski drży przede mną, a sam Morgan musiał mnie prosić o pomoc. Głupcy! Otaczają mnie szpiegami, by poznać moje słabe strony! I nic wywęszyć nie potrafią. Okiełznałem największych i będą musieli iść w cuglach, dokąd im każę. Czy ty to rozumiesz? Nie ma dziś na ziemi człowieka, który by się ważył być przeciw mnie!

I Paweł miał rację. Istotnie nie było takiego człowieka. Poza człowiekiem jednak i poza jego wolą istnieją wielkie, niedające się przewidzieć ani opanować fale życia zbiorowego. Tego nie brał w rachubę Paweł Dalcz, a gdy dostrzegł, gdy dostrzegł wcześniej zresztą od innych zbliżającą się katastrofę, za późno już było na zwijanie olbrzymich żagli.

ROZDZIAŁ VII

Zaczęło się to wszystko niepozornym zdarzeniem: Wiedeński Bank Dyskontowy zawiesił wypłaty.

W tydzień później związana z bankiem hamburskim spółka transportowa ogłosiła upadłość. Za nią poszły inne firmy. Na giełdzie w New Yorku z przyczyn niewytłumaczonych spadły akcje europejskie. Paryż odpowiedział zwyżką kursu dolara. I wszystko uspokoiło się, zdawało się wracać do stanu normalnego.

---

[209] *płatowiec* — statek powietrzny z nieruchomymi płatami nośnymi (skrzydłami), samolot. [przypis edytorski]
[210] *ex post* (łac.) — po fakcie. [przypis edytorski]
[211] *orkan* — gwałtowny i silny wiatr, wichura, huragan. [przypis edytorski]

Tymczasem jednak rozwijało się coś znacznie gorszego. Jak pod jakimś zaklęciem zaczęła spadać konsumpcja we wszystkich niemal krajach jednocześnie. Najlepiej prosperujące przedsiębiorstwa znalazły się w trudnościach płatniczych. Nieskartelizowane[212] fabryki rozpoczęły gwałtowną zniżkę cen.

Na porządku dziennym wszystkich niemal parlamentów zjawiły się przedłożenia[213] rządowe o natychmiastowej zwyżce ceł ochronnych. Słowo „nadprodukcja" wpełzło olbrzymimi czarnymi literami na szpalty dzienników i coraz więcej na nich zajmowało miejsca. I oto posypały się drobne bankructwa. Małe, nic nieznaczące przedsiębiorstwa, firmy, których egzystencja zdawała się nie mieć najmniejszego wpływu na bieg światowego życia gospodarczego, zaczęły znikać jedna po drugiej.

Wreszcie zachwiał się i runął Brytyjski Trust Naftowy. Na giełdach powstała panika. Z godziny na godzinę spadały kursy.

Paweł Dalcz już tym nie był zaskoczony. Od szeregu miesięcy cały swój wysiłek skierował ku ratowaniu zagrożonych firm. Nie robił tego oczywiście z żadnych względów altruistycznych. Po prostu chodziło o powstrzymanie fali kryzysu, fali, która w razie swobodnego wezbrania runęłaby i na jego własne przedsiębiorstwa, zmiatając je z powierzchni ziemi.

Był to istny taniec w płomieniach. W ciągu jednej doby Paweł Dalcz nieraz miewał po trzy i cztery konferencje w różnych stolicach, bił pięściami w stół przed bladymi dyrektorami banków, groził potentatom przemysłu, obiecywał ministrom:

— Wytrwać, wytrwać za wszelką cenę. Znajdą się środki zapobiegawcze! Muszą się znaleźć.

I przychodziły chwile odprężenia. Niestety, były to tylko chwile.

Praca Pawła weszła w stadium gorączki. Nie była to już ta do ostatnich granic intensywna, wytężona, ale równa i pewna w swych decyzjach działalność, lecz walka od wypadku do wypadku, od jednego niespodziewanego ciosu do drugiego, a ciosy sypały się znienacka, zawzięcie, niepowstrzymanie.

W ciągu kilku miesięcy Paweł schudł nie do poznania, jego szare oczy nabrały szklistego wyrazu, a ściągnięte rysy drapieżnych konturów. Tylko swobodny i pełny wiary w siebie uśmiech nie znikał z jego ust.

Nie znikł, póki patrzyli nań ludzie, póki tym uśmiechem można było powstrzymać walące się klęski, póki tego uśmiechu czepiały się jak ostatniej deski ratunku najwątlejsze, najbeznadziejniejsze[214] nadzieje słabych, zrezygnowanych, złamanych. A Paweł potrzebował właśnie ich wiary, właśnie zrywał swe nerwy, by nie dopuścić do ostatecznej paniki. Na prawo i na lewo rozdawał gwarancje, przejmował bankrutujące przedsiębiorstwa, sypał kredytami i pożyczkami, przebudowywał, organizował przemysł, banki, trusty[215] i kartele[216]...

Lecz lawina kryzysu szła niepowstrzymanie. Wszędzie redukowano płace, zamykano fabryki, zamykano giełdy. Nie pomogły moratoria, na nic nie zdały się wzajemne gwarancje. Wreszcie pękł funt angielski, najmocniejsza waluta świata.

Wiadomość przyszła o czwartej nad ranem. Do wielkiej sali konferencyjnej Niemieckiego Związku Przemysłu i Finansów, gdzie właśnie Paweł Dalcz kończył swoje przemówienie, wszedł sekretarz i podał mu depeszę. Na twarzy Pawła nie drgnął ani jeden muskuł:

— Panowie — powiedział tylko — otrzymałem wiadomość, wobec której na razie nasza narada traci podstawy aktualności. Proponuję odłożyć ją na dwadzieścia cztery godziny. Ja muszę natychmiast wyjechać.

Wśród grobowej ciszy skłonił się i wyszedł z sali. W nocy spadł pierwszy śnieg. Ulice Berlina w tej bieli i ciszy oddychały, zdawało się, najspokojniejszym ze snów. Auto pędziło

[212] *nieskartelizowane* — nienależące do kartelu, monopolistycznego porozumienia przedsiębiorstw, uzgadniających swoje działania rynkowe dla osiągnięcia wspólnego interesu. [przypis edytorski]

[213] *przedłożenie* (daw.) — propozycja, wniosek. [przypis edytorski]

[214] *najbeznadziejniejsze* — dziś: najbardziej beznadziejne. [przypis edytorski]

[215] *trust* (ekon.) — monopolistyczne przedsiębiorstwo powstałe w wyniku połączenia firm z jednej branży. [przypis edytorski]

[216] *kartel* (ekon.) — porozumienie przedsiębiorstw jednej branży mające na celu ochronę wspólnych interesów. [przypis edytorski]

z zawrotną szybkością. Na wielkim polu lotniska nieco ciemniejszą plamą odcinał się ptasi kształt samolotu.

— Wyborna pogoda — powitał go pilot. — Formalności załatwione, panie prezesie.

Paweł zamyślił się i patrząc w ziemię, potrząsnął głową:

— Nie polecimy do Londynu. Niech pan przestempluje papiery na Warszawę.

Podczas gdy pilot pobiegł spełnić polecenie, Paweł wydał dyspozycje sekretarzowi. Ma czekać nań w Berlinie do jutra wieczór, jeżeliby zaś do tego czasu nie wrócił, ma jechać do Brukseli.

Obsługa zapuszczała śmigła. W ich warkocie już wsiadając do kabiny, Paweł krzyknął młodemu człowiekowi do ucha:

— Wiedz pan, że wszystko jest jak najpomyślniej. Na spadku funta zarabiam kolosalnie. Możesz pan z tego nie robić tajemnicy przed dziennikarzami. Czy pan rozumie?

Sekretarz blady jak trup podniósł nań oczy, w których zakręciły się łzy:

— Rozumiem, panie prezesie. Niech pana Bóg prowadzi...

Paweł zmarszczył brwi i zatrzasnął drzwiczki. Z zewnątrz zdejmowano schodki. W kabinie mechanik przekręcał kontakty, włączając elektryczne ogrzewacze. Samolot był już gotów do startu, gdy pilot zwolnił obroty. Od strony hangarów biegł jakiś człowiek, wymachując rękami.

— Depesza do pana Dalcza.

Paweł, nie otwierając, wsunął depeszę do kieszeni. Przypomniał ją sobie dopiero, gdy aeroplan[217] oderwał się od ziemi i pochyłym łukiem unosił się nad hangarami. Był to kablogram[218] z New Yorku:

„Willis ciężko chory. Zachodzi obawa obłąkania. Przewieziony do sanatorium. Czekam poleceń. — Cormier".

— Zawsze miał słabą głowę — mruknął przez zęby Paweł, lecz nie mogąc w huku motorów dosłyszeć własnego głosu, krzyknął z całych sił: — Zawsze miał słabą głowę! Ma szczęście, że dopiero teraz zwariował! Wariat!... Wariat!...

Nagle w lustrze naprzeciw ujrzał swoją twarz wykrzywioną dziwnym skurczem. Rzucił na stół zmiętą depeszę, przetarł pięścią oczy i wstał.

Za oknami głęboko rozciągały się zaśnieżone pola. Samolot leciał równo i gdyby nie jego drganie, można by nie dostrzec ruchu. Na wschodzie jasny seledyn nieba wpadał w róż, czerwień i wreszcie w soczysty gorący szkarłat. Za chwilę miało wzejść słońce. Lecieli na wysokości mniej więcej dwóch tysięcy metrów.

Paweł zasłonił kotarą szklane drzwi od kabiny pilota, zdjął futro i stanął przy drzwiach, przez które tu wszedł. Dźwigowa klamka ustąpiła z lekkim trzaskiem. Przypomniał sobie Loewensteina. Gdy ten po bankructwie wyskoczył w ten sposób nad *Pas de Calais*[219], dowodzono, że drzwi zewnętrzne podczas lotu nie mogą się otworzyć ze względu na zbyt silny opór powietrza.

A te otwierały się tak łatwo. Biedak Loewenstein musiał na dobitek napocić się. Paweł zaśmiał się i wychylił głowę. Chłodna fala powietrza wdarła się do kabiny, uderzyła w oczy i zatamowała oddech. Stał przez moment bez ruchu, przyglądając się białej mapie plastycznej z wolna przesuwającej się w dole. Na skrzydła padały pierwsze czerwone promienie. Zatrzasnął drzwiczki i spojrzał na zegarek:

„Przez cztery noce nie zmrużyłem oka" — pomyślał.

Otulił się pledem i zasypiając, przypomniał sobie Willisa. Przyszło mu do głowy, że „Ile de France" odpływa dziś wieczorem do Ameryki, że koniecznie trzeba teraz być w New Yorku, że ostatecznie...

Obudziła go nagła cisza i spokój. Otworzył oczy. Z prawej strony ziemia wychylała się nieprawdopodobnie wysoko wystającym talerzem, z lewa jaśniało niebo. Aha, lądowali na zamkniętych motorach[220]. Warszawa.

---

[217] *aeroplan* (przestarz.) — samolot. [przypis edytorski]

[218] *kablogram* — telegram przekazany za pomocą kabla podmorskiego. [przypis edytorski]

[219] *Pas de Calais* (fr.) — Cieśnina Kaletańska, najwęższa część kanału La Manche, pomiędzy miastem Calais we Francji a Dover w Anglii. [przypis edytorski]

[220] *lądowali na zamkniętych motorach* — przy wyłączonych silnikach, którym zamknięto dopływ paliwa. [przypis edytorski]

Nie oczekiwano go tu i na lotnisku nie było auta. Posłany chłopak sprowadził taksówkę, zabrało to jednak tyle czasu, że gdy Paweł przyjechał na Ujazdowską, nie zastał już Krystyny. Wcześnie, jak zawsze, udała się do fabryki. Wydał dyspozycje służbie:

— Położę się teraz spać, gdy pan Krzysztof wróci, proszę mnie obudzić.

Dwie godziny snu w samolocie były niczym, toteż natychmiast zasnął. Gdy otworzył oczy, w pokoju panowała zupełna ciemność. Pomimo to wiedział, że ktoś tu jest.

— Czy to ty? — zapytał.

— Śpij jeszcze — odpowiedział po pauzie jej głos taki łagodny, taki ciepły, taki spokojny.

Nagle uprzytomnił sobie, że jest już noc, że zatem przespał, zmarnował cały dzień. Czemu nie obudziła go wcześniej! Przecie to szaleństwo tracić czas w takiej chwili. Tam na świecie wszystko się wali!... Willis zwariował.

Nie odzywając się, wyciągnął rękę. Zawsze siadywała tuż przy łóżku na małym niewygodnym taburecie[221]. I teraz nie omylił się. Dłoń jego natrafiła na grubą fałdę miękkiego materiału i spotkała się z jej palcami.

— Krzysieńko... — powiedział tak cicho, że mogła tego nie dosłyszeć.

Sprawiło mu wręcz niewysłowioną radość to, że oto miał ją przy sobie, że czuł dotyk jej ciepłych, łagodnych, dobrych rąk.

— Krzysieńko, jak to dobrze, że tu jesteś — odetchnął — jak to dobrze... Czy wiesz, że William Willis, zdaje się, dostał pomieszania zmysłów?...

— Owszem. Czytałam w dziennikach. Nie myśl o tym. Postaraj się jeszcze zasnąć.

— Nie. Zapal światło. Czuję się wprawdzie nieludzko zmęczony, ale spać już nie chcę wcale. Która to godzina?

— Przed kwadransem biła północ.

Zapaliła amplę i usiadła na skraju łóżka. Oczy Pawła szybko przyzwyczaiły się do łagodnego kolorowego światła. Przyglądał się jej smukłej sylwetce, tak wyraźnie rysującej się pod szerokimi fałdami szlafroka, jej subtelnemu profilowi i nieruchomym rysom:

— Dawno nie widziałem ciebie — powiedział tonem zdziwienia. Spojrzała nań oczyma, w których była obawa. Zdawało się mu, że Krystyna patrzy nań jakby ze współczuciem i ze strachem. Niewątpliwie musiała zdawać sobie sprawę z katastrofy, która ogarniała jego interesy.

— Czy wiesz, że krach funta — zaczął — czy wiesz, że w ogóle...

Spokojnie wzięła go za rękę:

— Nie myśl teraz o tym — odezwała się prosząco — przez chwilę nie myśl o tym.

— To trudno — zaśmiał się krótko.

— Tym lepiej, że trudno — odpowiedziała z bladym uśmiechem. — Zawsze cię pociągały rzeczy trudne. Pewno jesteś głodny.

Istotnie głodny był jak wilk.

— Jeżeli zechcesz dać mi coś do zjedzenia, będę ci wdzięczny. Tak się zdarzyło, że od przedwczorajszej kolacji nic nie miałem w ustach.

— Jakże tak można! — powiedziała z wyrzutem.

— Ale ja wstanę — podniósł się.

— Nie wstawaj. Przyniosę ci wszystko tu.

— Krzysiu — zażartował — podźwigniesz się, jeżeli chcesz zaspokoić mój głód. Nie, chodźmy do jadalni. I tak wszyscy śpią, nikt nam nie będzie przeszkadzać.

Jadł z wilczym apetytem, pochłaniając istotnie niebywałe ilości.

— Jesteś bardzo mizerny — mówiła Krystyna.

— Możliwe.

— Nigdy cię jeszcze takim nie widziałam. Pod oczyma masz po prostu sińce.

— Sińce?... Hm... Tylko sińce?... Widzisz, a Willis zwariował!...

Zakryła oczy dłonią i nic nie odpowiedziała. Odezwanie się jego oczywiście było szorstkie i przykre. Za jej ciepło i dobroć płaci jej w ten sposób. Chciał zatrzeć wrażenie ironii, która ją dotknęła, i zaczął mówić.

Mówił o Willisie. Właściwie Willis już dawno powinien był palnąć sobie w łeb. Trzeba takiego optymisty jak on, by tak długo wierzyć w możność ratunku. Przed trzema

[221] *taburet* — dziś popr.: taboret, stołek. [przypis edytorski]

miesiącami był już nędzarzem, nędzarzem dysponującym jeszcze milionami, błyszczącym pełnym światłem, ale już kwalifikującym się do kryminału. Jest to tak, jak z bardzo odległymi gwiazdami: gwiazda gaśnie, a ludzie wciąż widzą, że istnieje. W ten sam sposób powstają wielkie fortuny. Gdy się zjawiają, jeszcze nikt o tym nie wie, gdy nikną, życie ich pozorne wydaje się znacznie dłuższe od istotnego.

Paweł umilkł. Wiedział, że na usta Krystyny ciśnie się pytanie: „Czy mówisz też o sobie?..." Wiedział, że musi jej powiedzieć o swojej klęsce, lecz wprost nie mógł zdobyć się na postawienie kwestii jasno, tak przeraźliwie jasno.

— Może byś teraz zasnął? — dotknęła jego ręki, a w jej głosie brzmiało współczucie.

— Nie — potrząsnął głową — ale z przyjemnością położę się. Jednak jestem fizycznie bardzo zmęczony. Każdy organizm ma granice wytrzymałości!... Oczywiście fizycznej wytrzymałości.

Przeszli do gabinetu i Paweł rozciągnął się na tapczanie, a ona siadła przy nim, na szczęście w ten sposób, że nie mogła wprost nań patrzeć. Leżał dłuższy czas z zamkniętymi powiekami. Wreszcie zaczął mówić:

— Więc tak, moja droga, i moja gwiazda... gaśnie. Rozpaczliwe w tym wszystkim jest to, że w najmniejszym stopniu nie przyczyniłem się do tego. Nie zaniedbywałem niczego, przewidziałem wszystko. A jeżeli nie mogłem przewidzieć czegoś, co jest po prostu jakimś zbiorowym szałem, jeżeli nie miałem dość sił, by powstrzymać masową panikę, stanowczo nie mam prawa siebie o to oskarżać. Psychoza tłumu jest takim samym kataklizmem, jak trzęsienie ziemi czy orkan. Psychoza kryzysu. A przecie nikt chyba lepiej ode mnie nie wie, że naprawdę żadnego kryzysu nie ma!... Absurd! Maligna[222] ekonomistów! Świat nadal pozostaje bogatym przedsiębiorstwem, nie ubyło mu przecież ani bogactw naturalnych, ani konsumentów tych bogactw. Klientela nie tylko się nie zmniejszyła, lecz rośnie wciąż i, do licha, jest jej dwa i pół miliarda głów, dwa i pół miliarda brzuchów, które chcą być pełne i które tak łatwo nakarmić! Słowo „kryzys" powinno być przeniesione do wyłącznego użytku psychiatrów, bo nie ma i być nie może kryzysu gospodarczego, bywają tylko kryzysy zdrowego sensu! Opętania zbiorowe! Lęgnie się taka hydra w tępych mózgach różnych władców dzisiejszego życia publicznego i opanowuje stado! Szaleńcy podnoszą cła, obniżają płace, równoważą swoje bezmyślne budżety. Kręcą się jak pies w pogoni za własnym ogonem. Nie rozumieją, że są proste i jasne prawa, rządzące życiem, że dość oderwać wzrok od ogona, którego nigdy nie złapią, a zobaczą te prawa w całej ich wyrazistości. Oni wolą palić miliony ton zboża, by utrzymać ceny! Wolą wystawiać karabiny maszynowe przeciw głodującym bezrobotnym, dla których to zboże byłoby ratunkiem. Arytmetyka wariatów: tracą zboże, tracą pieniądze na kule karabinowe, tracą ręce robocze, tracą konsumentów, a zyskują samowystarczalność gospodarczą, czyli standaryzowaną nędzę i nieustanną groźbę rewolucji!

Tłum, Władza, Handel

Zapalił papierosa i nerwowo odrzucił zapałkę:

— Szaleństwo!

— To prawda — nieśmiało odezwała się Krystyna — ale jakież się znajdą środki zaradcze?

— Jakie? — wybuchnął — jakie?... Przede wszystkim zamknąć tych wszystkich kacyków[223] w domach wariatów! Skrępować, uniemożliwić im decydowanie o rzeczach, których nie są w stanie ogarnąć. Pomyśl tylko, jak się przedstawia dzisiejszy świat: wyobraź sobie wielkie przedsiębiorstwo, w którym kilkuset dyrektorów działa sobie na złość. Jest to, dajmy na to, wielki dom handlowy. Dział manufaktury na razie nie ma obrotu i nie posiada gotówki, by zapłacić swoich pracowników. Przeprowadza redukcję, głodzi ich, bo wie, że z działu żywnościowego nie dostanie niczego na kredyt, ani z działu pieniężnego ani grosza pożyczki. By wyśrubować ceny na manufakturę, niszczy swoje zapasy, a pracownicy z działu żywnościowego chodzić muszą teraz półnago, bo nie stać ich na ubranie. O takim przedsiębiorstwie każdy przeciętnie rozsądny człowiek powiedziałby, że jest ponurą groteską, ale gdy ten sam człowiek czytuje codziennie pisma z wiadomościami

[222] *maligna* — wysoka gorączka połączona z majaczeniami. [przypis edytorski]

[223] *kacyk* — przywódca plemienny w Afryce, Ameryce Południowej lub Środkowej; pot. urzędnik, zwłaszcza lokalny, nadużywający władzy. [przypis edytorski]

o identycznie mądrej gospodarce państw i klik[224] kapitalistów — ma całkiem poważną minę. Powiada, że są to „zjawiska ekonomiczne", zamiast powiedzieć, że są to po prostu opłakane wyniki głupiej gospodarki, skutki dopuszczenia nieudolnych ludzi do kierowania poszczególnymi działami. Cały sekret polega na fatalnej dystrybucji dóbr. Oczywiście byłoby równym nonsensem twierdzić, że można je porozdzielać z matematyczną ścisłością, że każdy powinien otrzymać dokładnie tyle samo co inny.

— Któż zatem może dokonać takiej racjonalnej dystrybucji?

— Kto?...

— Tak, kto? Jaka instancja, jaka władza?

Paweł przetarł oczy ręką i milczał przez chwilę:

— Gdyby mi dali jeszcze dwa, trzy, najwyżej cztery lata czasu... Pytasz, kto?... Ktoś, kto osiągnął możność dyktowania innym, dyktowania wszystkim. Władzę taką dają tylko pieniądze. Wiele ich na to trzeba mieć, bardzo wiele. Trzeba móc przygnieść ich ciężarem wolę innych, przerazić świat swoim bogactwem... Wówczas osiąga się możność panowania, władania, rozrządzania. Bez insygniów, bez tytułów, bez pisanych praw taki człowiek ogarnia całość... I aż ręce chce się gryźć z bólu, gdy się pomyśli, że było się już na najprostszej drodze do tego celu, że omal sięgało się doń, że jeszcze niewielki ułamek czasu, a posiadłbym potęgę, jakiej ziemia dotychczas nie znała!...

Ostatnie słowa rozbrzmiały chrapliwym echem w pustych pokojach i zaległa cisza. Nie patrzył teraz na Krystynę, nie widział jej, zapomniał o jej obecności.

— Pawle — odezwała się prawie szeptem.

— Chcesz zapytać, czy dam się złamać, czy opuszczę ręce?

W jego pytaniu była gniewna niechęć.

— Nie, Pawle, chciałam tylko wiedzieć, czy już wszystko stracone?

Podparł się na łokciu i powiedział dobitnie:

— Tak źle nie jest. Stracony tylko rozpęd, inercja, no i prawie wszystkie kapitały, ale pozostało najważniejsze: wola dalszej walki i pewność zwycięstwa.

Zerwał się i zaczął chodzić po pokoju. Starał się stąpać najciężej, by na grubym dywanie przecież dosłyszeć własne kroki:

— Tak, tak, tak — powtarzał — pewność zwycięstwa, pewność zwycięstwa... Nie pozostanę bezsilny, zdeptany przez tłum uciekających tchórzów, nie, po stokroć nie...

Zatrzymał się przed nią i zaciskając pięści, zasyczał:

— Jeszcze żyję, jeszcze żyję, jeszcze to bydło przekona się, że Paweł Dalcz nie da się stratować!

— Rozumiem cię, Pawle — błagalnie chwyciła go za ręce — rozumiem, ale nie męcz się tak, nie przepalaj. Uspokój się teraz i siądź przy mnie. Ja cię bez słów zrozumiem...

Wstała i tuląc się doń, głaskała jego twarz rękami.

Z wolna powracał do równowagi. Usiadł prawie bezwładnie i coś w rodzaju uśmiechu zjawiło się na wykrzywionych i jeszcze rozedrganych wargach:

— Nie dziw się i nie gniewaj na mnie, Krysieńko, że przy tobie popadam w taki stan nerwowy, ale widzisz... dla wszystkich mam zawsze tyle pogody... Tylko przed tobą mogę... tylko przed tobą chcę, muszę być szczery...

— Mój ty kochany, mój ty najdroższy — szeptała, wtulając usta w jego włosy.

Poczuł dziwne słodkie ciepło tej dziewczyny, poczuł stokroć wyraźniej niż dotychczas to, że przecie była mu jedyną bliską istotą... Jedyną, i teraz dopiero pojął ogrom tego słowa...

Gdyby tam, nad zaśnieżonymi polami... Na miły Bóg, przecie to nie obeszłoby nikogo! absolutnie nikogo!... Kiwaliby głowami, w obojętnej ciekawości wyczytywaliby druk z dzienników i tyle...

A ona?... Podniósł głowę i spojrzał w jej oczy.

— Ty... moja... — powiedział i uczuł w gardle skurcz, jakiego nie znał dotychczas.

Z wielkich czarnych oczu padały nań łzy. Nie pojmował, co się z nim dzieje. Skądś, z głębi piersi rozpływał się po całym ciele drżący prąd krwi jakby innej, jakby gorętszej,

[224] *klika* — nieformalna grupa osób wspierających się wzajemnie w dążeniu do stanowisk i kariery. [przypis edytorski]

jakby pijanej... Mózg zdawał się mroczyć, a w ustach przejmował smak cierpkiej, nieznanej słodyczy.

Nie wiedział, co się z nim dzieje. Nigdy nie podlegał takim uczuciom, nigdy nie popadał w tak dziwny stan obezwładnienia.

Na czoło, na policzki padały duże ciepłe łzy. Bał się poruszyć, jakby się bał utracić bodaj jedną z tych kropel, które padały z jej otwartych szeroko oczu.

„To jest słabość, to jest upadek sił" — nawijały się z trudem myśli. „To jest mój wróg..."

Jednak nie umiał wyzwolić się spod uroku tej ciszy.

— Pawle — bezgłośnie poruszały się jej wargi — kochasz mnie, Pawle... Powiedz, że mnie kochasz...

Z wolna, z jakąś skupioną powagą objął ją ramieniem i ściska coraz mocniej, coraz mocniej, aż do bólu...

— Kocham, kocham cię, jedyna... Ty jesteś moja...

Nagle olśnieniem uderzyło go wypowiedziane słowo: moja. Pojął jego niezmierną wartość, nieocenione znaczenie tego absolutnego posiadania.

Należała doń przecie każdą swą myślą, każdym nerwem. Wiedział to od dawna, lecz pojął dopiero w tej chwili, w tej chwili, gdy uświadomił sobie, czym jest dla reszty ludzi, czym stanie się dla świata po swoim upadku, czym stanie się dla samego siebie...

— Nicość! Znowu nicość.

Wyraz ten zelektryzował go. Nie, nie może upaść. Trzeba rzucić się w to piekło i zwyciężyć, trzeba bodaj zdychając z utraty sił, dobrnąć do brzegu. Jeszcze nie wszystko stracone. Tak, nie wszystko... Wiedeń jutro wpłaci trzy miliony, to można rzucić na szalę, wprawdzie szala nie drgnie od tego pyłku, ale istnieją przecie dalsze możliwości, są dłużnicy, którzy muszą mu przyjść z pomocą, ba, są wierzyciele, którzy powinni zrozumieć, że jego klęska równa się ich klęsce, że jeszcze trzeba walczyć!...

To przecie jasne!

Ścisnął dłoń Krystyny. Nie chciał jej przekonywać, ale musiał powiedzieć jej to wszystko, pragnął, by i z jej ust padło potwierdzenie jego wiary, wierzył, że sam siebie przez to umocni w przeświadczeniu o trzeźwości własnego sądu.

— Poczekaj, poczekaj — gniótł jej rękę — nie płacz tak nade mną. Jutro od rana wrócę do roboty. Nie jestem jeszcze ostatecznym rozbitkiem. Nie przegrałem ostatniej stawki. Jeszcze nie koniec gry. Patrz, mam przeciw sobie chaos, bezrozumny żywioł, a ja wciąż jestem świadomy własnych sił i środków. Potrafię utrzymać się na powierzchni, bo muszę, bo chcę!

Zaczął wyliczać z jakimś gorączkowym spokojem, z jakąś zaciekłą nerwową systematycznością szanse, które mógł jeszcze wyzyskać, ewentualności, które mogłyby być uwzględnione, ludzi, na których prawdopodobnie należałoby wywrzeć nacisk.

Po każdym nowym argumencie wpatrywał się w jej oczy, błagając o błysk wiary, o iskrę nadziei, która by go rozpłomieniła znowu. I z każdym zdaniem bardziej tracił wiarę we własne słowa. W wielkich czarnych oczach było tylko ciepłe bezlitosne współczucie. Gdy wreszcie umilkł, otoczyła ramieniem jego głowę i powiedziała:

— Nie, Pawle, nie.

— Ależ dlaczego, dlaczego nie?! — wybuchnął.

— Pawle, gdybyś słyszał własny głos, gdybyś widział swoją twarz, swoje oczy!... Nie, Pawle. Nie mogę ciebie zrozumieć. Nie mogę zrozumieć, dlaczego chcesz ponownie zatapiać się w ten szlam. Tak trzeźwo umiesz patrzeć na życie, a nie chcesz spojrzeć w oczy samemu sobie. Jesteś zmęczony, Pawle, jesteś strasznie zmęczony. Chcesz dać się zaszczuć im wszystkim, chcesz zniszczyć się do ostatniego włókna. Nie, Pawle. Nie wolno ci zrobić tego. Spójrz śmiało na siebie i powiedz szczerze, czy tak wygląda zwycięzca, czy z takimi nerwami człowiek rozsądny ma prawo rzucać się do walki, do walki, którą przecie zawsze będziesz mógł rozpocząć na nowo, gdy wrócą ci siły, chociażby tylko fizyczne. Pawle, przecie jesteś teraz tylko cieniem samego siebie. A kiedyś, kiedyś znowu wrócisz, jeżeli... jeżeli w dalszym ciągu w tym będziesz widział swoje szczęście, swoje straszne szczęście... Nie, Pawle. Nie proszę cię o łaskę dla siebie, nie roszczę sobie prawa do przekonywania cię. Chcę tylko, byś uznał rzeczywistość. Sam mówisz, że jeszcze nie wszystko stracone,

że da się z katastrofy wycofać znaczne kapitały. Odpocznij. Tymczasem ustanie kryzys, poprawią się koniunktury... Odpocznij.

Nagle wybuchnął śmiechem:

— Odpocząć? Jak mogę odpocząć?...

— Zostawić rzeczy własnemu biegowi, na pewien...

— Cha, cha, cha, własnemu biegowi! — przerwał. — A czy wiesz, na czym ten własny bieg będzie polegać?... Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, że przy ogłoszeniu bankructwa tych setek moich firm wyjdzie na jaw fikcyjność ich kapitałów, fałsze bilansowe, bezwartościowość wielu portfeli, fałszerstwo wielu depozytów? Czy myślisz, że na pokrycie pasywów aktywa wystarczą bodaj w czwartej części, zwłaszcza teraz, gdy większość moich papierów utraciła trzy czwarte wartości?... I ja mam odpocząć!

Wziął ją za ramiona i nie wiedząc, co robi, gniótł je w dłoniach.

— Oczywiście odpocznę: w więzieniu! Zamkną mnie jak parszywego psa i będą miesiącami gnębić mnie zeznaniami, śledztwem i całą tą swoją aparaturą do tortur. Tak tylko mogę odpocząć. Rozumiesz?... Mam dwa wyjścia: albo próbować ratunku pomimo wszystko, wbrew nawet zdrowemu sensowi, albo zdecydować się na ostateczną klęskę i więzienie.

Zakrył rękami oczy i siedział nieruchomy.

— Jest jeszcze jedno wyjście — po dłuższej pauzie odezwała się Krystyna.

— Co? — podniósł na nią wzrok — jeszcze jedno?... Ano tak, oczywiście: palnąć sobie w łeb... Nawet przez chwilę myślałem o tym wyjściu. Podczas lotu z Berlina do Warszawy...

— Ja o tym nie myślałam wcale. Jest przecie znacznie prostsze wyjście.

— Zapaść się w ziemię? — zapytał z niecierpliwą ironią.

— Właśnie — spojrzała nań spokojnie. — Właśnie to, Pawle. Świat jest tak duży, zawsze można znaleźć gdzieś taki kąt, w którym można się ukryć.

— Żartujesz. Nie wyobrażasz sobie, moja droga, co się będzie działo po takim zniknięciu! Postawią na nogi całą policję, spuszczą z łańcuchów tysiące psów i detektywów, wyznaczą największe nagrody, póty będą szarpać, aż mnie znajdą, przetrząsną niebo i ziemię. Będą musieli. Zmusi ich do tego wrzask opinii publicznej, która będzie się domagała głowy największego oszusta, jakiego znał świat. Pomyśl tylko: zechcą zwalić na mnie winę całego kryzysu, niezbędny będzie dla nich ten kozioł ofiarny. Nie, najdroższa, nie ma takiego wyjścia. Trzeba wrócić. Napoleon wrócił z Elby...

— Ale on wracał z wiarą w siebie i pomimo to przegrał — z goryczą dokończyła Krystyna.

Paweł rozłożył ręce i opuścił głowę. W duchu całkowicie przyznawał jej rację: na ten raz walka była przegrana, nie wierzył we własne siły, czuł się obezwładniony walącym się nań chaosem.

— Jednakże — odezwała się po chwili — jednakże uważam, że przeceniasz niebezpieczeństwo. Wielu ukrywa się całymi latami z zupełnym powodzeniem. Nie wątpię, że wszystko zależy tu od inteligencji, sprytu, dokładnego obmyślenia planu. A przecież nikt chyba genialniej od ciebie nie może tego zrobić!... O, Pawle, trzeba tylko, żebyś chciał, żebyś postanowił. Pomyśl, Pawle, że przez całe życie dotychczas goniłeś za czymś, co ci wydawało się twoim szczęściem, że zdolny byłeś do największych, najheroiczniejszych wysiłków dla jego zdobycia. A teraz, kiedy nareszcie możesz, kiedy wprost zmuszony jesteś zrobić próbę znalezienia tego szczęścia gdzie indziej, odtrącasz myśl o nim. Powiedz sam, czy żyłeś dla siebie?... Żyłeś dla swych namiętności, dla czegoś, co było tylko odbiciem, skutkiem, odzwierciedleniem twej pasji w świecie innych ludzi. Nic nie robiłeś dla siebie, dla człowieka, dla mężczyzny, dla istoty zagłuszonej przez hałas walki. A przecież ta istota nie została zabita. Wiem, bo ją w tobie kocham, bo jej pragnę, bo ją czuję... Pawle! Nie odzywałam się, nie chciałam być ci najmniejszą przeszkodą w pogoni za tym obcym mi, zawziętym, zimnym szczęściem. Ale dziś, dziś daj mi prawo, pozwól mi zażądać od ciebie głosu dla mojej miłości, dla naszej miłości, bo i ty przecie mnie kochasz, bo nie ma na ziemi bliższych sobie istnień niż my dwoje, chociaż robiłeś wszystko, by tego nie widzieć. Pawle! Pozwól mi spróbować dać ci to szczęście, w które ja wierzę, podaruj mi siebie, ofiaruj. Nie wyciągałam po ciebie rąk wówczas, gdy mogły ci być zawadą, gdy

byłeś zwycięzcą, ale teraz pozwól mnie dać ci inne, stokroć głębsze zwycięstwo, prawdziwie istotne: radość!... A jeżeli nie chcesz jej dla siebie, miejże odrobinę litości, odrobinę dobroci dla mnie. Daj mi ją! Dla mnie świat — to ty, dla mnie szczęście — to ty. Ofiaruj mi siebie, Pawle! Ja żadnego szczęścia nie zaznałam, żadnej radości, i teraz błagam cię o nie, Pawle, Pawle!...

Całowała jego ręce i łzy jej spływały po bladych policzkach. Pod wpływem jej słów Paweł siedział zahipnotyzowany i gryzł wargi. W czaszce jego tłukły się myśli: gdyby nawet chciał, gdyby ona miała rację... Ale jak, jak? Przecie nie ma sposobu!...

— Znikniemy — mówiła — ukryjemy się przed ludźmi, będziemy żyli tylko dla siebie. Będzie pogoda i cisza, i my. Nic nie zamąci nam radości, nie rozłączy naszych rąk. Znajdziemy sobie takie zacisze. A jeżeli... jeżeli kiedykolwiek zapragniesz znowu świata... wrócisz doń. Przysięgam, że nie będę usiłowała zatrzymać cię ani jednym słowem! Wierzę jednak, że nie zechcesz, że zrozumiesz, co znaczy prawdziwe szczęście, które przecie nie leży gdzieś poza tobą samym, lecz tkwi w twoim wnętrzu!...

Spotkały się ich oczy i Krystyna zawołała radośnie:

— O, Pawle!... Dziękuję ci! Dziękuję!

Zarzuciła mu ręce na szyję i wybuchnęła łkaniem. Tulił ją do piersi. Odczuwał coś zupełnie nowego, coś całkiem nieznanego, czego nie umiał nazwać, a co teraz właśnie zawarte było w jego ramionach, wstrząsnęło łkaniem, coś bardzo istotnego, najbardziej cennego, czego nie chciałby wyrzec się za żadną cenę.

I dziwne. Dokładnie przecie zdawał sobie sprawę z klęski, która nań się zwaliła, z nieprawdopodobnej trudności jakiegokolwiek ratunku, przekreślenia wszystkiego, co było treścią życia, a przecie ogarniał go niezwykły ciepły spokój, jakiś dosyt świadomej pogody.

— No, uspokój się, Krzysieńko, uspokój... Już dobrze, dobrze...

— Kochany, jedyny...

— Już dobrze — głaskał jej włosy — dobrze. Noc jest późna. Idź, zaśnij. A śpij spokojnie. Pomyślę o tym i może jakiś sposób znajdę.

— Na pewno znajdziesz, na pewno! — zapewniała go żarliwie.

— Dobranoc, najdroższa.

Odprowadził ją i wrócił do gabinetu. Długo chodził od ściany do ściany miarowym krokiem. Gdy siadł do biurka, świtało już na dworze.

Szybko przeglądał notatki. Z Warszawy nie da się prawdopodobnie nic wyciągnąć. Pierwsza rata pożyczki płatna jest dopiero za dwa miesiące, a o źródłach prywatnych nie było co nawet marzyć. To samo było z Rzymem. Gdyby zaproponował rządowi włoskiemu jakikolwiek rabat za przyśpieszenie wpłaty, wywołałby tym naturalnie podejrzenie. Tu i ówdzie dałoby się wyciągnąć jakieś drobniejsze kwoty, lecz na gotówkę można było liczyć tylko w Austrii. Jutro właśnie muszą przekazać mu trzy miliony dolarów. Może zatem podnieść[225] je sam. To nikogo nie zdziwi. W Banku Pożyczek Międzynarodowych same śmiecie. Efektywną walutą nie zbierze się ponad pół miliona. I oto wszystko. Matce zostawi sto kilkadziesiąt tysięcy złotych, jeżeli uda mu się wydusić taką kwotę z Centrali Eksportowej.

O siódmej rano, gdy zadzwonił na służącego, dowiedział się, że „pan Krzysztof już wyjechał do fabryki, bo myślał, że pan prezes śpi".

Paweł kazał podać śniadanie i wytelefonował[226] Blumkiewicza, z którym zamknął się na długą rozmowę. Około południa pojechał do fabryki. Gdyby nie konieczność, wolałby tam nie pokazywać się. Myśl, że on właśnie wciągnął Zakłady Przemysłowe Braci Dalcz w wir, z którego nie można już ich wydobyć, była dziwnie dlań przykra. Ginęło przecie jednocześnie wiele, częstokroć potężniejszych przedsiębiorstw, ginął Trust Kauczukowy i bank w Brukseli, a jednak nieuchronna klęska, wisząca nad tymi starymi murami, była dlań najdotkliwsza.

Zjawienie się Pawła w fabryce wywołało sensację, od bardzo dawna nie widziano go tu, a wszystkie ważniejsze sprawy, w których nie mógł rozstrzygać naczelny dyrektor, prezes załatwiał korespondencją. Jego osobiste przybycie musiało się wiązać z jakimś wyjątkowo ważnym dla życia fabrycznego zdarzeniem. I zdarzenie istotnie było ważne: dymisja

[225] *podnieść (pieniądze z banku)* (daw.) — pobrać, wypłacić. [przypis edytorski]
[226] *wytelefonować kogoś* (daw.) — dziś: zatelefonować do kogoś. [przypis edytorski]

dotychczasowego dyrektora naczelnego, pana Krzysztofa Dalcza, i nominacja nowego, pana inżyniera Kraszewicza. W gabinecie miała miejsce, jak zapewniano, burzliwa scena między stryjecznymi braćmi, przy czym pan prezes wyraził niezadowolenie z gospodarki pana Krzysztofa i udzielił mu dymisji. Holder, którego pan prezes wezwał do gabinetu i któremu dyktował nominację dla inżyniera Kraszewicza, mógł to osobiście potwierdzić. W pół godziny później lakoniczny okólnik[227] nowego naczelnego dyrektora zawiadamiał szefów poszczególnych działów o zaszłej zmianie. Pan Krzysztof widocznie czuł się bardzo dotknięty bezwzględnością stryjecznego brata, gdyż natychmiast wyjechał z fabryki, oświadczając sekretarzowi Holderowi, iż dziś jeszcze udaje się do Krakowa do matki, dokąd prosi kierować listy dla siebie, jeżeliby jakie nadeszły.

Natomiast prezes kazał zwołać szefów i wygłosił do nich bardzo ostre przemówienie, zaznaczając, że żadnego kryzysu nie ma, że fabryce nic nie grozi, a tylko dotychczasowe nieudolne kierownictwo i niedbalstwo pracowników przynosiło straty.

Jadąc do Centrali Eksportowej, Paweł był zupełnie zadowolony z siebie. Przed chwilą odegrana komedia gwarantowała bezpieczeństwo Krystyny. Po ostatecznym krachu zaczęliby szukać stryjecznego brata głównego winowajcy, podejrzewając, że znikli razem. Teraz zaś, usuwając Krystynę z widowni i pozostawiając świadków wzajemnego ostrego konfliktu, Paweł mógł się spodziewać, że do odszukania Krystyny nikt nie będzie przywiązywał większego znaczenia. Zresztą jej ślady urwą się na Krakowie. Półprzytomnej pani Teresie zdoła ona dostatecznie przekonywająco wmówić, że wyjeżdża do Rosji Sowieckiej. Zakonnicom w klasztorze, gdzie pani Teresa mieszka, pokaże nawet paszport z sowiecką wizą. To zupełnie wystarczy.

W Centrali pomimo najusilniejszych starań nie mógł wydębić ponad sto tysięcy złotych. Zastój ją pierwszą uderzył po kieszeni i dużo trudu kosztowało Pawła, by Kolbuszewskiego przekonać, że trzeba być dobrej myśli.

Jeszcze bardziej przykra była rozmowa z matką.

Pani Józefina nie mogła nic zrozumieć i trzeba było zrezygnować z próby wytłumaczenia jej sytuacji. Niepodobna zaś było wtajemniczać ją we wszystko, zważywszy naiwność staruszki. Ograniczył się też do zakomunikowania jej, że prawdopodobnie zbankrutuje i że wówczas nie zostanie mu innego wyjścia poza palnięciem sobie w łeb. Na jej przerażone okrzyki odpowiedział, że w każdym razie zostawia u pewnej zaufanej osoby pieniądze dla niej, kwotę, która powinna wystarczyć jej do końca życia. Nie należy jednak do tego nikomu absolutnie przyznawać się, gdyż pieniądze wówczas jej odbiorą.

— W razie mojej śmierci otrzyma je mama natychmiast — zakończył — ale pod warunkiem, że zastosuje się bezwzględnie do wskazówek pana Blumkiewicza.

Zdążył jeszcze do domu przed wyjazdem Krystyny. Podróżne sportowe ubranie jeszcze bardziej uwydatniało kształtność jej postaci. Była podniecona i z trudem hamowała objawy radości. Wszystko wydawało się jej teraz już załatwione.

— Wiesz, Pawle — mówiła, ściskając jego ręce — że wszystko uda się wybornie. O, ja wiedziałam, że jeżeli tylko zechcesz, zawsze znajdziesz sposób ratunku.

— Dziewczyno — reflektował ją — jesteśmy zaledwie w początku, nie kuśże losu!

— O, niczego się nie boję. I wiesz co?... To przecie wcale nie będzie twoją klęską! Wówczas, gdy wszyscy będą myśleli, że skończyłeś rachunki z życiem ostatecznym deficytem, że przegrałeś i sam sobie wymierzyłeś sprawiedliwość, ty będziesz zawsze miał możność powrotu. O, Pawle, wszystko będzie dobrze... Jakaż ja jestem szczęśliwa!...

Nic na to nie odpowiedział. Sam widział piętrzące się trudności, które mogą uniemożliwić wykonanie ryzykownego planu. W miarę zbliżania się godziny odejścia pociągu coraz niespokojniej spoglądał na zegarek. Należało liczyć się z potknięciem się zaraz na początku. Paszporty mogły wydać się w konsulacie belgijskim podejrzane. Ktokolwiek mógł na fotografii poznać Pawła, chociaż zdjęcie było wyjątkowo doń niepodobne. Może Blumkiewicz został już aresztowany, może...

Na szczęście zdążył w porę, paszporty nie wzbudziły niczyich podejrzeń, wszystkie wizy były w porządku. Dokumenty stwierdzały tożsamość obywateli belgijskich państwa Marcelego i Katarzyny Duval, prawowitego małżeństwa, utrzymującego się z własnych

[227] *okólnik* — pismo służbowe z poleceniami a. wskazówkami wydane w jednym egzemplarzu i przekazywane obiegiem między odbiorcami. [przypis edytorski]

funduszów. Krystyna starannie ukryła swój paszport na dnie walizki. Była bardzo ciekawa, w jaki sposób Blumkiewicz zdołał je uzyskać, lecz na opowiadanie nie tylko nie było czasu, lecz i Blumkiewicz czuł się osłabiony nerwowo do tego stopnia, że tylko bezsilnie machnął ręką, niezdolny do mówienia.

Dla ostrożności Paweł nie odprowadzał Krystyny na pociąg. Zresztą sam musiał przygotować się do podróży. Początkowo zamierzał spalić wszystkie papiery, które z chwilą krachu oczywiście znajdą się w rękach władz. Zrezygnował jednak z tego. Należałoby również zniszczyć całe laboratorium, służące do podrabiania dokumentów, wielkie zapasy najróżnorodniejszych pieczęci, no i drukarenkę. Poza tym podobne kompromitujące pracownie miał także i w kilku innych miastach. Na usunięcie wszystkiego nie starczyłoby zatem czasu i lepiej było zostawić to ku tym większej zgrozie ludzkości.

Nie bez satysfakcji myślał o tym monstrualnym skandalu, jaki rozpocznie się po jego śmierci. Grzebanie w jego spuściźnie zajmie światu dobrych parę miesięcy. Właściwie mówiąc, dzienniki na tej sensacji zrobią porządne pieniądze i powinny by wypłacić mu grubą prowizję!

Najbardziej cieszyła jednak Pawła myśl, że wielu idiotów, wierzących w dogmaty bezwzględnych wartości, jego własna afera „najuczciwszego człowieka świata" przekona może wreszcie, że jedyną istotną wartością jest nasze przeświadczenie, że każda prawda ma sens wyłącznie subiektywny.

Zastanawiał się nawet, czy nie zostawić czegoś w rodzaju testamentu, zapisującego ludzkości coś znacznie cenniejszego niż fikcyjne miliardy: receptę na ich zdobywanie!

Jeżeli porzucił tę myśl, to po pierwsze dlatego, że nic go ludzkość nie obchodziła, a po drugie gdzieś na dnie tliła się w nim przecież nadzieja, że kiedyś zjawi się znów na arenie, kiedyś, kiedy zapomną o Pawle Dalczu i z równą gotowością będą mogli przyjąć pana Marcelego Duval!

Przed wieczorem wraz z Blumkiewiczem, który dość często towarzyszył mu w charakterze sekretarza, odleciał do Wiednia. Blumkiewicz nie cierpiał podróży samolotem, gdyż zawsze odchorowywał najkrótsze dystansy. W wypadkach jednak, gdy Paweł musiał mieć przy sobie kogoś absolutnie godnego zaufania, rad nierad trzeba było mu towarzyszyć. A tym razem, tym... ostatnim razem, równało się to konieczności.

Telegraficzne zamówienie hotelowego apartamentu dla Pawła Dalcza odniosło przewidziany skutek. Już na lotnisku czekali dwaj dziennikarze, a w hallu hotelowym zebrało się ich kilkunastu. Zwłaszcza w ostatnich czasach powtarzało się to stale. Zwykły czytelnik gazet, gnębiony kryzysem, domagał się od swoich dzienników oceny położenia gospodarczego, otuchy lub po prostu przepowiedni, pochodzących z najmiarodajniejszych ust wielkich finansistów, przemysłowców, milionerów. A któż mógł być miarodajniejszy niż sam Paweł Dalcz, potentat trzęsący gospodarstwem świata, bogacz, jakiego dotychczas nie znała Europa, geniusz ekonomiczny, który zaćmił wszystkich amerykańskich miliarderów, ba, stał się dumą starego kontynentu.

Co on myśli o kryzysie, jak zamierza z nim walczyć, jakie widzi środki zaradcze, czy może sam jest jego sprawcą dla jakichś dalszych celów, niezrozumiałych dla zwykłego śmiertelnika? Jak wygląda, jaką ma minę, po minie można wnioskować o stanie jego interesów, a jego interesy to przecie byt milionów ludzi! Jak się zachowa, czy zechce udzielić wywiadu, co powie?

Niektórzy z dziennikarzy znali już Blumkiewicza i zaraz go zaatakowali. Blumkiewicz jednak milczał uparcie, a po upływie kwadransa oznajmił, że prezes Dalcz udzieli prasie zbiorowego wywiadu, który wywoła wielką sensację.

I rzeczywiście po spożyciu kolacji prezes Dalcz zjawił się w czytelni hotelowej. Wyglądał dość mizernie, sam zresztą na początku zaznaczył, że jest przemęczony i dlatego prosi, aby go nie nużono pytaniami, a zadowolono się tym, co powie. Wszystkie głowy pochyliły się nad notesami, ołówki gorączkowo zapisywały każde słowo.

— Kryzys obecny nie jest, według mego zdania — mówił dobitnie Paweł — wynikiem procesu organicznego, lecz zamętem, wywołanym przez dojście do kulminacyjnego punktu nieodpowiedzialnej polityki gospodarczej różnych państw. Jest wynikiem rozprzężenia psychicznego w masach i braku kierownictwa u góry. Oczywiście, obecne przesilenie ekonomiczne przyniesie i zostawi po sobie znaczne straty, oczywiście, wiele przedsiębiorstw nie zdoła podnieść się z dzisiejszej ruiny. Nie należy jednak przesa-

dzać. Całość struktury gospodarczej zostanie zachowana. Twierdzę z całym naciskiem, że większość jest do uratowania i uratowana będzie. Zależy to od opanowania sytuacji przez czynniki najbardziej zainteresowane. Opanowanie takie może polegać jedynie na udzieleniu pomocy organizmom najsłabszym i poddaniu kontroli niepoczytalnych odruchów doraźnych, w rodzaju ceł prohibicyjnych, stosowanych przez ulegające panice niektóre rządy, w rodzaju ukrywania kapitałów, co jest specjalnością niektórych banków. Jutro wyjeżdżam do Paryża. Tam też przybędą zaproszeni przeze mnie reprezentanci sfer gospodarczych z różnych krajów, z którymi mam nadzieję ustalić środki zaradcze. A teraz przechodzę do spraw skonkretyzowanych. Upoważniam panów do podania w prasie decyzji Banku Pożyczek Międzynarodowych, jeżeli chodzi o pożyczkę, o którą od dłuższego czasu zabiega rząd niemiecki. Doszedłem do przekonania, że większy zastrzyk gotówki w tym miejscu Europy radykalnie przyczyni się do powstrzymania kryzysu. Kwota pożyczki na razie wynosić będzie czterysta milionów marek.

Paweł zrobił pauzę i udając, że nie spostrzega ogromnego zdziwienia, zakończył:

— Dalsze plany Banku i własne uzależniam od wyników narad paryskich, do których przywiązuję wielkie znaczenie.

— Czy pan prezes równie wielkie żywi nadzieje? — z niedowierzaniem zapytał jeden z dziennikarzy.

— Oczywiście. Pozostawienie spraw ich własnemu biegowi byłoby szaleństwem i nie wątpię, że mój pogląd spotka się z należytym oddźwiękiem.

— A jeżeli nie? — rzucił wyzywająco inny dziennikarz.

Paweł zmarszczył brwi:

— Nie przewiduję tego.

— Jednakże, panie prezesie?

— Ha — wzruszył ramionami Paweł — równałoby się to podpisaniu wyroku śmierci na wiele... hm... na wiele najmocniejszych przedsiębiorstw, doprowadziłoby do katastrofy, jakiej jeszcze ludzkość nie widziała. Powtarzam jednak, że osobiście jestem najlepszej myśli.

Znowu posypały się pytania, lecz Paweł potrząsnął głową i powiedział:

— Wybaczcie, panowie, ale to wszystko, co mogłem wam powiedzieć. Dziękuję i żegnam.

Wyszedł uśmiechnięty z podniesioną głową. W ustach czuł gorycz i palce ściskały mu się kurczowo. Wszystko, co mówił, mogło być prawdą jeszcze przed dwoma miesiącami. Dziś nawet żaden z tych dziennikarzy nie podzielał jego rzekomej wiary w możność powstrzymania rosnącego chaosu. Istotnie, jeszcze z Warszawy rozesłał telegraficzne wezwania do kilku grubszych ryb z City, Amsterdamu i Zurychu, zapraszając je na rozmowę do Paryża. Sam jednak wątpił, czy w ogóle przyjadą. Zresztą to już było mu najzupełniej obojętne. Chodziło mu przecie wyłącznie o stworzenie warunków, które usprawiedliwiłyby samobójstwo.

Jutro cała prasa światowa poda czarnym drukiem dzisiejszy wywiad. Uśmiechał się na myśl, co też powiedzą na to finansiści, dobrze rozumiejący sytuację. Orzekną, że Paweł Dalcz zwariował. Przecie doskonale wiedzą, że nie tylko o czterystu milionach marek, lecz nawet o czterdziestu nie mogłoby teraz być mowy. Tłumy jednak uwierzą. Wszystkie pozory będą przemawiały za zupełnie logiczną koncepcją: wierzył w możność uratowania swego majątku, a z chwilą gdy mu odmówiono pomocy, nie miał innego wyjścia poza samobójstwem. Taką też tezę będzie musiało przyjąć śledztwo. Na żadne wątpliwości nie zostanie tu miejsca.

Pomimo wszystko Paweł nie spał tej nocy. Przemęczone nerwy nie chciały pogodzić się z decyzją powziętą przez mózg, z decyzją, której skutkiem w naturze takiej jak Pawła powinien być przecie spokój.

Nazajutrz bez żadnych trudności został przyjęty przez ministra skarbu i otrzymał trzy miliony dolarów, stanowiących ratę długu rządu austriackiego w Banku Pożyczek Międzynarodowych. To, że zażądał wypłaty w banknotach, nie zdziwiło nikogo, gdyż w ostatnich czasach każdy wolał mieć do czynienia z efektywną walutą.

Po południu odlecieli do Paryża. Należało przewidywać, że po wywiadzie podanym w prasie na lotnisku będą go oczekiwali dziennikarze francuscy, pokazywanie się którym byłoby teraz wysoce ryzykowne dla całego planu. Dlatego Paweł kazał pilotowi wylądować

na wschodnim krańcu lotniska i stąd odjechał pierwszą spotkaną taksówką nie do hotelu Ritz, gdzie stawał zazwyczaj, lecz do Carltonu. Tu przede wszystkim zażądał od dyrektora zachowania tajemnicy jego pobytu w hotelu. Przez hall przeszedł szybko z podniesionym kołnierzem futra. Blumkiewicz, który stosownie do polecenia przyjechał w godzinę później, zajął się wszelkimi formalnościami, tłumacząc administracji hotelu i służbie, że jego szef jest tak zajęty, iż wchodzenie do jego pokoju jest absolutnie wzbronione, a dopuszczanie jakichkolwiek obcych osób spowoduje natychmiastowe przeniesienie się prezesa do innego hotelu. Jednocześnie Blumkiewicz głośno wypytywał, czy nie nadszedł jeszcze kufer z rzeczami, które miano wysłać z Brukseli autem.

Oczywiście żadnego kufra nie było, gdyż Blumkiewicz zajął się jego kupieniem dopiero nazajutrz rano. Tymczasem Paweł nie opuszczał swego numeru[228], a telefonistka z centrali hotelowej mogła stwierdzić jedynie to, że niemal bez przerwy rozmawiał telefonicznie z miastem. Wieczorne dzienniki przyniosły wiadomość o przybyciu Pawła Dalcza, podały też kilka nazwisk ogólnie znanych finansistów, którzy od jutra wraz z nim mają rozpocząć narady nad sytuacją gospodarczą. Niektórzy z tych panów wypowiedzieli wobec przedstawicieli prasy poglądy nieukrywanie pesymistyczne i z rezerwą, ale stanowczo podali w wątpliwość samą autentyczność wywiadu Dalcza, a to ze względu na zbyt pochopny jego optymizm.

Istotnie nazajutrz w jednej z agenturowych firm Pawła rozpoczęły się narady. Paweł robił wszystko, by w oczach zebranych wyglądać na najbardziej zdenerwowanego, by wywrzeć wrażenie tonącego, który bodaj brzytwy gotów jest się chwycić. Kiedy zaś przed wieczorem jeden z Holendrów wyraźnie postawił wniosek przerwania bezcelowych narad, Paweł niespodziewanie wysunął argument, który nakazywał ich przedłużenie: otrzymał właśnie depeszę, że okręt „Mauretania" przybywa z New Yorku za dwa dni, a na pokładzie „Mauretanii" znajduje się sam Lincoln Warwick, prezes Union Banku.

Depesza była prawdziwa i zawarta w niej wiadomość również. Zebrani zaś nie mogli wiedzieć, czy istotnie Union nie zechce ratować Banku Pożyczek Międzynarodowych, w którym w razie krachu straciłby przecie pokaźny kapitał. Tylko Paweł wiedział, że Lincoln Warwick przybywa w celu właśnie zażądania rachunku, co będzie równoznaczne z krachem. Przedłużenie jednak obrad było dla Pawła konieczne z innego względu.

W Paryżu przywozi się codziennie do prosektorium przeciętnie czterdzieści zwłok denatów niewiadomego nazwiska. Są to ciała ludzi, którzy w jakiś nagły sposób rozstali się z życiem, najczęściej śmiercią samobójczą. Są to ciała ludzi różnej płci, różnej pozycji społecznej, różnego wzrostu, wieku i wyglądu. Jedne otaczane są wyjątkowym zainteresowaniem policji, inne, należące do obojętnych cudzoziemców, włóczęgów czy osób niepozornej kondycji, nie obchodzą nikogo poza dyżurnym funkcjonariuszem prosektorium. Dyżurny zaś funkcjonariusz pobiera za przyjmowanie, zapisywanie i wydawanie zwłok bardzo skromną pensyjkę siedmiuset franków miesięcznie, wliczając w to i płacę za dyżury nocne, wyjątkowo nudne i bądź co bądź nieprzyjemne, zważywszy samotność wśród trupów.

Człowieka zarabiającego z trudem swoje siedemset franków nietrudno przekonać, że kwota stu tysięcy jest dlań nie do pogardzenia, a Paweł przekonywać umiał. Ostatecznie niezanotowanie jednego bezimiennego trupa i oddanie go zamiast grabarzowi komuś innemu nie było wcale zbrodnią. Małe zaś wykroczenie służbowe warte było stu dużych niebiesko-żółtawych papierków. Trudność polegała na zupełnie czymś innym. Oto klient domagał się, by towar był dużych rozmiarów, by nie miał wiele ponad czterdziestkę i by był jak najbardziej „świeży", pech zaś chciał, że przez całe trzy dni nic takiego nie można było znaleźć w asortymencie nieobchodzącym już policji.

Dopiero na czwarty dzień przywieziono do hotelu Carlton kufer Pawła Dalcza. Nad wniesieniem tego ciężkiego przedmiotu do apartamentu zajmowanego przez prezesa czuwał sekretarz Blumkiewicz.

Prezesa nikt w tym dniu nie widział. Ostatnio wczoraj wieczorem wrócił bardzo zdenerwowany i — jak uskarżał się portierowi pan Blumkiewicz — prezes zamknął się w swojej sypialni, zakazując wstępu i nie chcąc nawet zjeść śniadania. W porze obiadowej sekretarz, coraz bardziej zaniepokojony, znowu dzielił się z portierem swym niezadowo-

[228] *numer* — tu: pokój hotelowy. [przypis edytorski]

leniem. Chciałby wyjść na miasto, a nie może odejść bez pozwolenia prezesa. Tymczasem ten na pukania wcale nie odpowiada. Że nie odpowiada też na dzwonki telefonu, wiedział już portier od telefonistki. Około dziesiątej, gdy znowu doń przyszedł zaniepokojony sekretarz, zdecydowali się zawiadomić o wszystkim dyrektora.

Dyrektor, człowiek opanowany, wywnioskował wprawdzie z półsłówek sekretarza, że Paweł Dalcz znajdował się wczoraj wieczorem nie bez poważnych przyczyn w stanie rzadkiego u niego zdenerwowania, że posiadał rewolwer, że jednak czasami zamykał się w taki sam sposób bez żadnych przykrych konsekwencji. Wobec tego należało jeszcze poczekać.

Czekano też do godziny drugiej w nocy. O drugiej rozpoczęto głośne, a później bardzo głośne pukanie. Wobec absolutnej ciszy, jaka pomimo to panowała w sypialni, zdecydowano się wyważyć drzwi, a na żądanie sekretarza, który nie wykluczył możności zasłabnięcia swego szefa, sprowadzono wraz z policją policyjnego lekarza rewiru.

O godzinie trzeciej wkroczono do sypialni. Na łóżku leżały zimne już zwłoki z raną postrzałową klatki piersiowej w okolicy serca. Paweł Dalcz nie żył. Już z pobieżnych oględzin pokoju można było wywnioskować, że samobójczy strzał nastąpił wczoraj wieczorem. Na bocznym stoliku stała nietknięta kolacja, a na biurku leżał niezaklejony list pisany po polsku, a adresowany do matki denata. Potrawy zakrzepły gruntownie, atrament już zdążył sczernieć. Zresztą i data na liście mówiła za siebie.

Lekarzowi nie pozostawało nic innego, jak stwierdzić zgon Pawła Dalcza i spisać o tym urzędowy akt, na którym podpisali się świadkowie znający denata, jego osobisty sekretarz, portier, dyrektor hotelu i kilka osób służby.

— Taki człowiek — kiwał głową, wychodząc z pokoju, komisarz policji — taki człowiek i kryzys go zabił.

— To jasne — przytaknął sędzia śledczy.

ROZDZIAŁ VIII

Clervaux jest to małe miasteczko przy bocznej jednotorowej linii, łączącej Verviers ze stolicą księstewka Luksemburgiem. Pociągi pośpieszne nie zatrzymują się w Clervaux nigdy, a pocztę wyrzuca się z nich w zielonych brezentowych workach do specjalnego drucianego kosza, umieszczonego na słupie. Poczta z Paryża i w ogóle z Południa przychodzi luksemburskim pociągiem o dziesiątej rano, poczta zaś z Belgii o ósmej z minutami wieczorem. Odkąd z wiosną zaczyna się robić ciepło, szef urzędu pocztowego miasta Clervaux osobiście wysiaduje na peronie w oczekiwaniu pośpiesznych i albo rozmawia z żoną kierownika stacji, panią Woulffi, albo zadowala się towarzystwem jej kota, drzemiącego obok na ławce z podwiniętymi łapami i z jednym półotwartym okiem. Kot jest żółty, a gdy tak leży nieruchomo, dziwnie przypomina panu poczmistrzowi[229] pieczonego królika, którego na każdą niedzielę z takim znawstwem przyrządza pani Nagelmann, jego od lat dwudziestu trzech prawowita małżonka.

Z pocztą jest rozmaicie: część jej pan Nagelmann osobiście roznosi bardziej szanownym obywatelom miasta, część pozostaje w pokoiku, noszącym tytuł urzędu, po resztę zgłaszają się sami adresaci, dowiedziawszy się przez znajomych o nadejściu listu. Listów zresztą przychodzi niewiele, a dzienników jeszcze mniej. Mieszkańcy Clervaux nie utrzymują zbyt ścisłego kontaktu z resztą świata, tak jak i właściciele sąsiednich folwarczków czy tu i ówdzie rozrzuconych letnich willi, stojących zresztą przeważnie pustkami. Kiedyś, gdy były lepsze czasy, przyjeżdżali tu na wakacje zamożni kupcy z Liege i wówczas na parę miesięcy ożywiała się cała okolica. Obecnie tylko w najodleglejszym Passel, położonym na samej granicy niemieckiej, o dobrych dziewięć kilometrów od miasta, mieszkało jedno bogate małżeństwo belgijskie, państwo Duval, bardzo solidna, chociaż dość młoda para.

Pan poczmistrz Nagelmann znał wszystkich, o wszystkich wiedział wszystko, bo po pierwsze należało to niejako do jego obowiązków, a po drugie było to jego przyjemnością. Pan Nagelmann lubił znać dokładnie zwyczaje i obyczaje swojej klienteli, lubił wiedzieć z góry, czego po kim należy się spodziewać. Dlatego też to, co go z początku irytowało u nowonabywców willi Passel, z chwilą gdy się stało nieodmiennym zwyczajem —

[229] *poczmistrz* (daw.) — kierownik urzędu pocztowego. [przypis edytorski]

zajęło uświęcone miejsce w porządku dnia i tym samym przestało być przykre. A przykrym był dla pana poczmistrza każdy niepotrzebny pośpiech. Toteż z początku krzywił się i gwałtownie ruszał swymi siwymi wąsami za każdym razem, gdy pani Duval niemal jednocześnie z przejazdem pociągu zjawiała się przed dworcem w swojej granatowej maszynie, i to tylko po to, aby odebrać dzienniki, gdyż żadnej korespondencji państwo Duval nie otrzymywali. Jeździć dużym samochodem, spalającym Bóg wie ile benzyny, dwa razy dziennie dla marnych gazet aż dziewięć kilometrów, to wynosi równo trzydzieści sześć kilometrów niepotrzebnie odbytej drogi.

Z biegiem czasu jednak pan Nagelmann do tego stopnia pogodził się z tym stanem rzeczy, że ilekroć zdarzyło się zobaczyć pióropusz dymu pośpiesznego, a jednocześnie nie dostrzec na przeciwległym wzgórzu połysków pędzącego auta, czuł się zdziwiony, niezadowolony lub nawet zaniepokojony. I nic dziwnego. Na wirażach[230] o wypadek nietrudno, szczególnie jeżeli ktoś pędzi tymi diabelskimi maszynami po wariacku. Jeżeli zaś tak punktualna osoba, jak pani Duval, nie przybywa na czas, mogło stać się coś złego.

Na szczęście wszystko szło pomyślnie, a pani Duval była dzielną kobietą, która doskonale umiała sobie dawać radę nie tylko z samochodem, lecz i z niedomagającym mężem, i z interesami. Sama przecie załatwiła kupno posiadłości Passel, sama urządziła dom, sama dyrygowała służbą.

A przy tym zawsze była w wyśmienitym humorze. Jej wspaniałe czarne oczy, jak i cała sprężysta a wiotka sylwetka wraz z uśmiechniętą twarzą zdawała się być jednym uśmiechem. Na początku, gdy mąż jej był jeszcze tak osłabiony, że nie opuszczał łóżka, znać było na pani Duval jej troskę, ale już wkrótce poczmistrz miał możność przekonać się, że jest to jedna z najweselszych młodych mężatek, jakie zdarzyło mu się widzieć. Wprost biło z niej szczęście, radość i humor, gdy wbiegała na peron i zapytywała swoim ciepłym kontraltowym[231] głosem:

— Czy niczego nie brakuje z mojej porcji drukowanej paszy[232], panie Nagelmann?

— Wszystko w porządku — odpowiadał i wyjmując z torby gazety, powtarzał codziennie pytanie: — A jakże się miewa pan Duval?

Pan Duval miewał się coraz lepiej. Dawno już opuścił łoże boleści i nie tylko siadywał na tarasie, lecz pomału zaczął robić krótsze przechadzki, a nawet tym i owym zajmował się w ogrodzie. Pani Duval opowiadała, przeglądając jednocześnie wielkie płachty dzienników, i nie dodawała ani słowa o tym, że im mniej z biegiem czasu w tych dziennikach było o śmierci i bankructwie wielkiego miliardera Pawła Dalcza, tym lepiej się miewał jej mąż. Pan Nagelmann nawet nie miał możności zauważyć, by ta skandaliczna afera zbytnio ją interesowała, ilekroć bowiem zaczynał rozmowę na ten temat, który przecie tak żywo obchodził wszystkich, nie wyłączając nawet tej poczciwej pani Woulffi, pani Duval wzruszała tylko ramionami. Zresztą i inne sprawy, mniej może sensacyjne, lecz znacznie ważniejsze, bo dotyczące Clervaux i jego mieszkańców, nie zajmowały jej wcale, chociaż wyczerpujących sprawozdań pana Nagelmanna wysłuchiwała z wrodzoną uprzejmością. Zdaje się, że wszystkie zainteresowania zarówno jej, jak i jej męża, obracały się dokoła literatury i muzyki. Co kilka dni przechodziły przez ręce pana poczmistrza duże paczki książek i nut dla państwa Duval, ludzie to bowiem byli nie tylko spokojni i solidni, ale i bardzo wykształceni.

Pana Duval poznał pan Nagelmann dopiero w końcu lata, lecz nadal widywał go bardzo rzadko. Mąż pani Duval był widocznie zaprzysiężonym domatorem, co potwierdzała poza tym i pantoflowa poczta, której centralą na całą okolicę była znowuż pani Nagelmann.

Przez szereg miesięcy, póki jeszcze nowonabywcy Passel stanowili swego rodzaju innowację, z opowiadań ich ogrodnika, a i pozostałej służby, która od czasu do czasu załatwiała swoje sprawunki w Clervaux, można było się dowiedzieć, że są szczęśliwym i zakochanym w sobie małżeństwem. Nie było wypadku, by się pokłócili, a tylko od czasu do czasu pan Duval robił się, prawdopodobnie z powodu choroby, jakiś ponury i wówczas całymi dniami i nocami przesiadywał przy biurku, pisząc coś i rachując. W takich wypadkach i pani Duval stawała się smutna i zaniepokojona. Nie trwało to jednak nigdy zbyt

[230] *wiraż* (z fr. *virage*) — zakręt drogi, toru, bieżni itp. w kształcie łuku. [przypis edytorski]
[231] *kontralt* (muz.) — najniższy głos żeński. [przypis edytorski]
[232] *pasza* — pokarm dla zwierząt; tu żartobliwie. [przypis edytorski]

długo. On znowu powracał do robót w ogrodzie i w winnicy, a ona zajmowała się gospodarstwem, uśmiechnięta i wesoła. Wieczorami pan Duval pięknie grał na fortepianie albo leżąc w hamaku, wypoczywał, a ona czytała mu różne książki.

Dworek Passel leżał tak bardzo na uboczu, a jego mieszkańcy nie lubili widocznie życia towarzyskiego, że nikt tu nigdy nie zaglądał. Właściwie jedyną komunikację z miastem utrzymywała tylko pani Duval.

Lecz i jej wizyty w Clervaux wkrótce stały się rzadsze. Znać mężowi nie tak już było pilno do gazet, gdyż pan poczmistrz Nagelmann nieraz po trzy i cztery dni na próżno wpatrywał się w żółtą taśmę szosy, wijącej się pośród winnic na przeciwległym wzgórzu. Pośpieszny po dawnemu dwa razy w ciągu doby huczał na mostku i przelatywał przez stację, zostawiając w drucianym koszu brezentowy worek z pocztą, a granatowe auto coraz rzadziej zatrzymywało się przy stacji.

Staruszek segregował gazety i mrukliwie tłumaczył pani Woulffi, ile to niepotrzebnych wydatków robią ludzie, prenumerując gazety, jeżeli jednocześnie wcale nie dbają o terminowy ich odbiór. Gdy zaś nie było pani Woulffi, zadowalać się musiał towarzystwem jej kota, drzemiącego obok na ławce z podwiniętymi łapami i z jednym półotwartym okiem.

Kot był żółty, a gdy tak leżał nieruchomo, dziwnie przypominał panu poczmistrzowi pieczonego królika, którego na każdą niedzielę z takim znawstwem przyrządza pani Nagelmann, jego od lat prawowita małżonka.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/bracia-dalcz-i-s-ka-tom-2

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Dołęga-Mostowicz, Bracia Dalcz i S-ka, Tom drugi, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://www.wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Martę Niedziałkowską. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r.".

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0187-5

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.